WIELKA GRA

MACIEJ WIERZBIŃSKI

WIELKA GRA

POWIEŚĆ

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

TŁOCZNIA WŁ. ŁAZARSKIEGO, WARSZAWA.

SKŁAD GŁÓWNY:
„The Polish Book Importing Co., Inc." — New-York.
1927

I.

Pan Tadeusz Rajewski, często zwany Adziem, a zwykle Fajfrem — dla pałkowatego nosa, który niegdyś kolegom jego szkolnym przypominał fajkę niemieckiego kolonisty—spoczywał w swej „kotlinie zajęczej“. Tak nazywał on swój punkt obserwacyjny, „swoją“ wygniecioną, wytłuszczoną, wąską sofkę pod ścianą narożnej kawiarni i restauracji przy Avenue de la Victoire w Nicei, gdzie siedział nad czarną kawą, lustrując pilnie, niejako zawodowo, przez ogromną, do ziemi spuszczoną szybę, przemykające się z cichem „tuf-tuf“ samochody i strumień przechodniów.

W grubej filiżance fajansu było dużo, a kawy mało. Zdając sobie z tego sprawę, Fajfer brał co pięć minut w usta po kilka kropel cennego płynu z całem zrozumieniem jego wartości tak, jak zapewne drugorzędni bogowie na Olimpie, dopuszczeni do puharu nektaru. Bo, chociaż na zegarze dochodziła trzecia, nie miał on dnia tego jeszcze nic w ustach. Naturalnie, z powodu braku floty czyli dlatego, że mu się nie szczęściło.

Nie po raz pierwszy na lazurowym brzegu. Różnie tam bywało; raz na wozie lub wózku, raz pod wozem, a stale powtarzające się fluktuacje te odbywały się

z taką szybkością, iż przypominał nikłe czółenko na ogromnych falach, raz pojawiające się na grzbiecie pianą łamowych wód, dumne na tle sklepienia, to znów znikające w przepastnej głębi, jakby na zatracenie. Do tych raptownych kaprysów, uśmiechów i kopnięć Fortuny przyzwyczajony oddawna, Fajfer przyjmował zupełny brak „nerwu rzeczy“ z równowagą umysłu stoików, jakby katar lub ból głowy, i spozierał w jutro z niewyczerpanym swym optymizmem, wiedząc z doświadczenia i literatury polskiej, że „dziwnie się plecie na tym Bożym świecie“ i „po złej chwili piękny dzień przychodzi“.

Znał on od szeregu lat tę arterję zbyt dobrze, by miał przyglądać się okiem turysty ulicznemu życiu, podziwiać zielone fontanny palm, tualety damskie, świetne samochody i odczuwać świadomie nastrój wysłonecznionej, przemiłej ulicy. Przypominał raczej detektywa, gdyż szukał znajomych twarzy, by narzucić się nowicjuszom, świeżo ze swej parafji na Rivierę przybyłym rodakom, za cicerone‘a dziennego i nocnego, a u bywalców, „kulturalnych“ tego środowiska znawców, pukać o poratowanie, pożyczkę czyli poprostu o jałmużnę. Wyszkolony w tym zawodzie montekarlista wiedział, niby tajny policjant, gdzie kto z rodaków mieszka, co robi a głównie czy wygrywa w ruletę, i przestrzegał tego, by list jego lub osobista przymówka o „drobną“ pożyczkę przychodziła w stosownym, psychologicznym momencie.

Długo wodził wzrokiem po galerji przechodniów, wreszcie popadł w marzenie. Najpierw śnił, że przyszedł ktokolwiek i dał mu papierosa, potem, wznosząc

się wyżej, roił, że znalazła się „jakaś małpa“ i pożyczyła mu franka, a wreszcie, przypiąwszy sobie skrzydła Ikara, wezbrał gorącem pragnieniem, by jaki porządny człowiek, w odpowiedzi na list jego żebraczy (jakich w ostatnich dniach rozesłał pięć), przysłał mu dwieście „frani“. Albo lepiej trzysta. Poza tę śmiałą cyfrę nie wychodząc, westchnął i zaklął w duchu, jako wysoce kulturalny człowiek, po francusku.

Byli ludzie szczęśliwi... zwykle idjoci. Ot, taki ordynarny jankes Stuart Robinson, co to niedawno jeszcze zapewne wycierał nos przez palce, wygrał onegdaj w „trente et quarante“ ćwierć miljona. Taki cham nowojorski nosi chyba magnes w portfelu.

A ów Julek Zawoja! To bestja! Wygrywa, jakby nie mogło być inaczej. Mieszka w eleganckim „Hotel d'Ostende“, jeździ samochodem, sam za niego płaci, a onegdaj był na obiedzie sam — oczekując zapewne na jakąś „lepszą facetkę“ — w kasynie nicejskiem, w najmodniejszym fraku, ze storczykiem w klapie, w stalowo-srebrzystej kamizelce — paradny, okazowy. Rzekłbyś: pan z panów. A pochodzi to z łyków czy z czegoś równie haniebnego. Dziwne! Skąd ta bestja to wzięła? Czyżby dziewięć miesięcy przed jego urodzeniem matka jego była zgrzeszyła, a z nią jaki osobnik o krwi błękitnej?... Dość, że drab nietylko piękny, ale dystyngowany. Wiedział, dokąd przyjechać. Na tym terenie sezonującej Riviery miał przed sobą bajeczne pole do zrobienia karjery. Posiadał wręcz fenomenalny talent do pokera, grywał wogóle szczęśliwie, a nadto uposażyły go nieba pierwszoklasowemi warunkami na rastaquouère'a. Kobiety szły na niego, jak muchy na miód.

W dodatku mówił po francusku jak Francuz. Niewiadomo gdzie on tego nabył — taki człowiek niskiego pochodzenia. Prawda, czasami miewał kręćka; nie grywał, siedział w lasach, zagrzebywał się w książki. Ale to mijało; znów świecił na widowni, żył jak miljoner. Tego Pan Bóg obdarzył hojnie, jakby przez omyłkę. Tak, nie można go tracić z oczu na Rivierze. Poprostu nie wolno.

Gdy zachmurzony Adzio zastanawiał się, czego, czyli jak wysokiej „pożyczki" obiecywać sobie i ewentualnie żądać może od owego Julka, zbudziło go powitanie:

— Jak się masz, Fajfer! Jak ja to wiem, gdzie cię szukać! Jeśli kobiecie swej jesteś tak wierny, jak tej wysłanej ławce...

Blask opromienił zmięte, czerwone lica wytrawnego a wytrawionego docna montekarlisty. Stał bowiem przed nim Juljan Zawoja, wysoki, uderzająco przystojny, trzydziestoczteroletni mężczyzna z przystrzyżonym ciemnym wąsem, li tylko z elegancji ubrany w leciuteńkie futro.

— *C'est charmant de ta part...* — wycedził Fajfer z uprzejmością, a zarazem grandezzą i wyciągnął niemytą od dwóch dni prawicę, jakby znużony, do „przyjaciela". — Zawsze tu przychodzę na pośniadaniową czarną kawę. W Warszawie do Lourse'a, w Nicei tutaj.

Przybysz przyglądał mu się przez chwilę, poczem spytał:

— A przed tą czarną kawą jadłeś śniadanie?

Adzio zachłysnął się.

— Coprawda, bardzo późno wstałem. Hulało się... I. wyznam ci, noga mi się pośliznęła...

— Lewa czy prawa?

— No — zaśmiał się Fajfer — powiem ci: obie.

— Nic mi nie mów o swych nogach — rzekł Zawoja, siadając naprzeciwko niego przy marmurowym stole — to mało interesujące. Gdyby to nogi jakiej ładnej niewiasty...

— Słuchaj — wpadł zelektryzowany Fajfer i ciągnął z ferworem zapalczywego giełdziarza. — Jeśli ci o to chodzi, znam kobietę nadzwy—czaj—ną! *Ma parole*. Bajkową! Francuzka. W zielonkawej peruce wygląda na balu, mówię ci...

— Pal ją djabli! Nie jadłeś śniadania. Przekąsisz cokołwiek ze mną. Jedyna noga, jaka nęciłaby mnie w tej chwili, to noga wieprzowa. Zjadłbym zacną golonkę z grochem *puré*. Ale tu niema.

Skinął na garsona, zamówił skromne śniadanie i poczęstował Rajewskiego papierosem.

— Zabawna rzecz, że akurat o tobie myślałem, gdyś wchodził! — mówił Fajfer.

— Ten *casus* telepatyczny dowodzi, że zapadłeś na suchoty kieszeniowe. Pomyślimy o tem.

„Moment psychologiczny“ nastręczał się sam. Wszelako nie należało z tem wyjeżdżać tak prosto z mostu. Takie sprawy dżentelmen wytacza dopiero przy likierze.

— Wracasz z Monte i wygrałeś — bąknął Adzio, zauważywszy, że „przyjaciel“ był w radosnem podnieceniu.

— W istocie, wracam z Monte, ale nie grałem wcale.

— Żartujesz!

— Rzeczywiście nie grałem.

— To zaabsordowała cię jaka białogłowa — rzekł

Fajfer, przekonany, że trzecia ewentualność nie istnieje, i po chwili westchnął:—Ty o ruletę nie dbasz. Bardzo mądrze... Taki europejski pokerzysta!... — Pokiwał głową z nabożnem uszanowaniem i znów westchnął.

— Powiem ci, jako prawdziwy twój przyjaciel... — począł zwykłą formułę, gdyż prawdziwą przyjaźń odczuwał dla wszystkich znajomych, którym na złotej skale Monte Carla dobrze się powodziło — daję słowo honoru, nie pojmuję, że ty dotąd nie jeździsz jeszcze własnym samochodem.

— Przyjechałem dopiero kilka dni temu ze St. Maurice. Lepsze to od Riviery.

— Bo z ciebie wielki narciarz. Ale... dla nas niema jednak jak Riviera. Ile tu już wygrałeś?

— Niewielkie rzeczy — bąknął Zawoja nieprawdę, gdyż zabobon zakazywał mu zdradzać się z wygraną. A poprzedniego dnia miał w istocie szalone szczęście; grając maksymami, zdobył pół miljona franków i wyrósł na bożyszcze, na maskotę nałogowych graczów, o czem Fajfer, nie dopuszczany do tego przybytku gry, nic jeszcze nie wiedział.

Zawoja nalał czerwone wino i myślami poszybował gdzieś daleko. Raptem ozwał się:

— Mogę ci dać pięćset franków.

— Przydadzą się... Dziękuję ci. Oddam ci je... — cedził Adzio, postanawiając przy likierze kwotę tę podwyższyć do co najmniej dwóch tysięcy. Tyle bowiem było mu potrzeba, by znów otworzyć sobie przystęp do domu gry, gdzie dłużny był aż dwa „wiatyki“, pobrane

od dyrekcji Klubu na powrót do domu a przegrane prawie bezzwłocznie w nicejskiem Kasynie.

Zanim wykrztusił, kiedy odda przyjacielowi pożyczone franki, Zawoja zawołał:

— Czy dużo Polaków w Cannes?

— Dosyć dużo, sam „cymes“ — odparł Rajewski i opowiedział o arystokracji polskiej w Cannes to i owo, przyczem uprzątnął błyskawicznie z obrusa banknoty od Zawoi.

— A któż z Polaków mieszka tam w hotelu Beau Rivage? — spytał Juljan, zajadając comber jagnięcy.

Fajfer wydobył z zanadrza listę przybyłych na Rivierę gości, będącą głównem źródłem informacyjnem dla pisującego o „drobną przysługę“ dżentelmena, i, przerzuciwszy kilka kartek, począł uroczyście, z całą świadomością tego, jak wielką oddaje przyjacielowi przysługę (oceniał ją na 200 franków):

— A zatem... Tkwi tam sędziwa, zgrzybiała ekscelencja, b. minister austrjacki Ritter von Holtz-Kętrowicz, dalej baron Lesner, może trochę, odrobinę... z przeproszeniem Żyd, dalej jakaś pani — krótko — Ela Wojkowska z pod Starego Sącza, czort wie czemu wplątana w to środowisko arystokratyczne. Czy nie utrzymanka jakiego utytułowanego pana?...

— Czy Cannes tak bardzo pachnie arystokracją?

— Bagatela! Tam tylko śmiertelnicy krwi błękitnej mają wstęp — zawołał Fajfer, wpadając jak zwykle w przesadę. — Gdybyś tam na promenadzie cisnął kamieniem naoślep, ugodziłbyś z pewnością w łydkę jakiej królewskiej wysokości, jakiego księcia d'Alençon,

księcia Parmy, albo w gors księżny Argyll, ciotki króla Jerzego... Panuje tam atmosfera zatabaczono-dworska i... nuda, nuda niewysłowiona. Niestety...

Tu Rajewski przypomniał sobie, że, jako szlachcic, zwłaszcza wątpliwy, powinien zamanifestować sympatję z tym światem oraz zaznaczyć monarchiczne tendencje. Wypadało to szczególnie wobec „łyka“, aby mu delikatnie dać odczuć, z kim ma do czynienia. Jął więc rozwodzić się o przebywających w Cannes monseigneur‘ach, opowiadać błahostki z ich życia i pobytu na Rivierze. Zawoja, pałaszując, co mu przed nos postawiono, słuchał, brał w siebie wszystko, zaczem, jeszcze niesyt wiadomostek, spytał:

— I kto jeszcze mieszka w tym hotelu?

— Przybyła tam... hrabina Anna Rola Morecka z córką i synem z pod Grodna — odczytał z listy Rajewski.

Juljan nagle przestał jeść.

— Morecka... — powtórzył pod nosem i począł nalewać wino w zamyśleniu.

— Jest to osoba książęcego rodu podobno. Mówił mi o niej mój przyjaciel de Millefort, że nosi ślady niepospolitej urody tak, że zauważył ją na deptaku i pytał o nią szwajcara hotelowego.

— O tę hrabinę Morecką, co bawi tam z córką i synem?... I cóż on mówił o niej jeszcze?

— Nic więcej.

— Daj mi tę listę! Muszę ją sobie przejrzeć. A co zacz ten twój przyjaciel de Millefort?

— No, tak jak my... dżentelmen.

— Tak jak my... — wyszeptał do siebie cicho zamy-

ślony Zawoja, poczem kazał podać szybko kawę i likier.

— Ja nie pijam nic z likierów prócz Grand Marnier — zawołał Fajfer.

— Czy to teraz najmodniejsze? Będziesz miał swe Grand Marnier. Pragnąłbym zobaczyć tego de Millefort — ciągnął żywo Juljan — jest on może „mocny w tysiącach"... franków, lecz mimo to, kto wie, czy nie zechce zarobić sobie uczciwie, a co ważniejsza łatwo kilku franków za udzielenie mi informacyj o ludziach w Cannes.

— Czy ty się tam wybierasz? — zagadnął zdumiony Rajewski, a małe, w opuchliźnie tonące oczy jego wyjrzały z kryjówki. Rozwarł usta niby szczupak i, gdy przyjaciel kiwnął głową, wybuchnął:

— Zwarjowałeś?.. Przepraszam cię, ale pomysł twój!.. Czy ty sądzisz, że dostaniesz się tam do cercle'u, do towarzystwa owych „wysokości"? Między wielkiego księcia Meklemburskiego, księcia Portlandu...

— Ależ wiem, wiem! — machnął ręką Zawoja, a Rajewski umilkł. Wychylił duszkiem kieliszek likieru, począł ruszać powiekami niby motyl skrzydełkami, co było dowodem, że myśli, aż wreszcie, zaczerpnąwszy powietrza, zawołał:

— Tam do djabła! Masz myśl genjalną!

Przez długą chwilę nic nie mówił. Rozumieli się bez słów. Rajewski zgłębiał całą genjalność myśli przyjaciela. Wreszcie zauważył:

— I w Nicei błąka się dużo.... ludzi. Grasuje tu teraz banda ordynarnych jankesów...

— Przyjadę ja tu z Cannes własnym samochodem.

— Psiakrew! Toby cię bajecznie tu postawiło! — zawołał Rajewski podniecony.

Wczuł się bowiem w sferę interesów przyjaciela, sądząc, że im lepiej powodzić się będzie Julkowi, tem łacniej kapać będą franki z jego portfelu. Przyjaźń jego dla Zawoi przybrała nagle olbrzymie rozmiary, począł żywić dlań coś podobnego do kultu. Dotąd mając na uwadze jego „talent“ i „warunki“, poczytywał go za mało sprytnego człowieka, nie umiejącego korzystać z darów natury. Gdyby to on miał takie, jak Julek, warunki, takie szczęście!...

Tymczasem teraz Zawoja zawstydzał go swą rzutkością, oszałamiał swym rozmachem, a głównie oczarowywał perspektywą i olśniewał zapowiedzianym własnym samochodem. Ten Julek — psia krew — wyrośnie na wielkość Rivierową, na drugiego Henneberga, na gwiazdę!

W swym altruizmie Rajewski cieszył się już zgóry bajecznemi sukcesami drogiego przyjaciela, widząc samego siebie przy jego boku w roli niby sekretarza i zaufanego, intymnego famulusa, wtajemniczonego w system jego gry, poinformowanego o nastrojach, wenach i fantazjach „gwiazdy“, a zatem poszukiwanego przez rzeszę graczów obu płci, jak satelity krążących z uszanowaniem dookoła wybrańca losu.

Przed niefortunnym montekarlistą otworzyła się idealna przyszłość. Nie pragnął on sam „rozbijać banku“ w domu gry; w gruncie rzeczy nie cierpiał na gorączkę pieniężną, lecz lubił grę dla gry, a nadewszystko łatwe, próżniacze i szykowne życie. Więc będzie on sobie wygrywać raz po raz drobne sumy, a żyć jak miljarder

amerykański przy kochanym Julku, częściowo na koszt tych, którym będzie udzielał informacyj o systemie gry przyjaciela, będzie wyszukiwał dla niego i dla siebie nad-zwy-czajne kobiety, hulał, kąpał się w szampanie i usta nim płókał, słowem: będzie żyć, jak mu się to oddawna należy.

Nastrojony na nutę wymarzonego „dolce far niente" Fajfer byłby najchętniej pił likier jeszcze długo, zamówił butelkę z piwnic wdowy Cliquot, by wychylić godnie zdrowie wschodzącego słońca na lazurowem tle boskiej Riviery, byłby oblewał długo niezrealizowane triumfy najdroższego przyjaciela, lecz Juljan nie mógł już dosiedzieć na miejscu. Zapłaciwszy rachunek, spytał:

— Miałbyś ochotę przejechać się dzisiaj samochodem do Cannes?

— Owszem.

— Masz dwie godziny czasu. Zmienisz bieliznę (czuję, że nie zmieniałeś koszuli od miesiąca), wykąpiesz się, odziejesz. No, nieźle jesteś ubrany, ale trzeba ci rękawiczek.

— Rękawiczek nie noszą w tym sezonie! — wpadł Fajfer, zgorszony ignorancją przyjaciela, który doprawdy potrzebował światłego doradcy.

— Ty będziesz potrzebował, bo wypadnie ci odegrać rolę mego... jakby plenipotenta. Stawisz się w mym hotelu o szóstej. Automobil będzie na ciebie czekać. Oddasz mi drobną przysługę: pojedziesz do Cannes i zamówisz tam na jutro w hotelu Beau Rivage (notabene nie gdzie indziej!) apartament książęcy dla...

Tu Juljan Zawoja wyjął z portfelu litografowaną kartę wizytową i położył przed Fajfrem, który patrzył na nią bez słowa długo, niby sroka w gnat. A gdy wychodzili z kawiarni, szepnął sobie w duchu z czcią i podziwem:

— Nad-zwy-czajny, genjalny chłop!.. Wielka gra!

II.

Z okien hotelu Beau Rivage wzrok, jak ptak z klatki wyrwany, leci w przestwory do bezmiarów morza, ślizga się po tafli jego kryształów, nurza się w orgji niebieskości. Wspaniałą panoramę, wyszkloną, wyzłoconą potokami słońca, oskrzydla ogromnem półkolem ląd — bulwar de la Croisette, biegnący od dalekiego cypla skalistego, spozierającego na wyspę S-te Marguerite, do portu, nad którym panuje i piętrzy się stare miasto, malowniczo ukoronowane wieżycami odwiecznego zamczyska.

Po długim, bardzo długim deptaku bulwarowym, poznaczonym miarowo wysokopiennemi palmami, snują się w godzinach przedpołudniowych nieprzebrane rzesze spragnionych słońca gości, wygrzewają na ławkach, między rozstrzępionemi czubami wysokich drzew, czytają gazety lub drzemią. A wpobliżu Kasyna, czuwającego nad portem, opodal kiosku wśród platanowych alei „de la Liberté“ a zwłaszcza dookoła pomnika Edwarda VII, rojno, niby w salonie. Na wytworne, różnojęzyczne to towarzystwo spoziera ze swej wyżyny król, lecz nie z monarszą wyniosłością—raczej z uśmie-

chem klubowca, sympatyzującego z tem życiem, które znał i lubił. Za chwilę wyjmie prawicę z kieszeni marynarki, zapali zagasłe cygaro, poprawi czapkę żeglarską na głowie i skoczy z postumentu w środek tego klubowego rozgwaru, by w nim znów zakrólować jak dawniej, zatopić się w nurtach jego uciech.

Tymczasem pospołu z innymi lustruje przepływający strumień ludzi, wyłuskuje z pośród nich monseigneur'ów i madame'y, którzy zwykle o tej porze dnia raczą wystawiać się na widok mniej lub więcej wiernopoddańczego tłumu i obdarzać tego i owego z wybrańców ukłonem, uszczęśliwiać uśmiechem i — jednać sobie przychylnych.

Kto może, łowi wszelkie przebłyski zdawkowej uprzejmości, zapisuje je z wdzięcznością, przechowuje w futerale pamięciowym, chwali się niemi zgrabnie niby orderami egzotycznemi na piersi. Oczywiście, rozgłasza, co posłyszał „na własne uszy" od Altesse'y, uwagi Królowskiej Wysokości klasyfikuje między maksymy lub dogmaty, roznosi błahe wiadomostki z ich siedzib. A jeśli wplecie się w opowieść koncept, żart, epigramat czy ploteczka, niema to, jak lica zwiędłych w dystynkcji dyplomatów, rumieńca ni krwi — jest to anemiczne i bezbarwne w swej nikogo nie obrażającej poprawności. Takie błahostki na dobie znać i kolportować należy do dobrego tonu i wypada każdemu osobnikowi, należącemu do „towarzystwa".

A któż do niego w Cannes nie należy lub należeć nie pragnie?

Wprawdzie w ostatnich latach nastąpił tam najazd burżuazji na środowisko królów na wygnaniu i w od-

stawce. Jakby urągając spadłym koronom, rozpanoszyła się demokracja w Kasynie, wniosła z sobą jakiś gminny, krzykliwy ton, wywiesiła na złość chorągiew demokratyzmu i republiki. Mimo to wszakże przybyła akurat do Cannes, by obejrzeć towarzystwo, wydzielające zapach starych bibljotek historycznych, ocierać się o obalone trony, wdzierać w senliwe gniazdo, oddawna jakby zarezerwowane dla królów bez koron, dyplomatów bez kondycji, arystokratów bez pana, tudzież rzeszy wszelakich snobów, podlegających manji tytułów.

Na tym jarmarku próżności żyją ludzie pod wrażeniem, że gdzieś w mieście wznosi się tron, a dwór monarszy opromienia wszystko swym blaskiem. To wrażenie dzielą w Cannes wszyscy, a wśród socjety istnieje złudzenie, że ataszowani do tego dworu w jakimś charakterze wchodzą w poczet zamkniętego koła wybranych, należą do klanu dostojnych, do najwyższej w świecie elity. Odcięci od realnego, twórczego życia, zamknięci w tej sferze, spozierają na zastępy intruzów przez pryzmat uprzedzeń, niechęci i zaskórnej odrazy, lecz z najgrzeczniejszym uśmiechem na świecie.

Że Cannes zachowuje jeszcze swą dawną patynę, świadczy o tem ów deptak bulwarowy, odmienny nieco od „Promenady Anglików“ w Nicei. Na Croisette'cie jaskrawe stroje, jasne kostjumy panien i wytennisowanych młodych ludzi gubią się wśród mrowia ciemnych figur, posuwających się powoli, włóczących starcze, zartretyzowane nogi, stukających ciężkiemi laskami i zatrzymujących się raz w raz czy to na widok dobrego znajomego, czy na wyraźne życzenie starego pieska, czapraczkiem pięknym nakrytego. Chwilami zda się,

że wysypało się tam wnętrze przytułków dla dostojnych emerytów i rekonwalescentów, że zebrano się na wielką rewję mitr książęcych i koron, zielonkawą łuską powleczonych. Wszystko to przegląda się nietyle w kryształowej toni morza, ile w oczach ludzkich, wsłuchuje nie w szmery rozmarzonych wód, lecz w codzienny omłot języków.

Gdy wzdłuż deptaku przemyka się samochód, pojazd lub kawalkada, spojrzenia wychodzą na jezdnię i zbierają materjał do uwag, do miłego nicowania bliźnich.

Ot, paraduje w faetonie, niby nimfa w łożysku olbrzymiej konchy, zawsze piękna hrabina Forestier. Prześciga ją szach perski w automobilu wśród Krezusów z demokracji. Powoli przesuwa się w otwartym wozie młody lord Aylesbury, gagatek wielu dam, i rozgląda się po galerji. Dopędza go kawalkada: kłusują na kucach dzielnie małe, mniejsze i jeszcze mniejsze miss‘y, pod eskortą groom‘ów, a z pod czarnych aksamitnych ich dżokejek spadają i wachlują luźno puszczone włoski i migocą niby chusty.

— Co za koń! Co za koń! — woła młody Francuz z rakietą w ręku do kilku na ławie siedzących osób. I zwracają się głowy w stronę karogniadego pysznego wierzchowca, który prycha, drepce niby panna w tańcu zgrabnemi nogami, kokietuje galerję ruchami karku i łba, niekiedy podrywa się w miękkich lansadach i niby to staje dęba. Wre w nim szlachetna krew, kipi radość i nadzieja hulaszczych zawodów z wiatrem.

— To ogier lorda Pembroke‘a. Pełna krew — opowiada Francuz. — Szlachetny lord ma tu aż trzy swe wierzchowce. Uważa się za doskonałego jeźdźca, który

bez koni nie może wyżyć. A wydaje mi się, że dosiada ich głównie dlatego, by pokonać lub chociaż tylko okiełznać skłonność do otyłości.

— Ależ to nie lord Pembroke w siodle — zauważa przystojna paryżanka i dorzuca ciekawie: — Któż to taki?

— To nie Pembroke. On tak nie siedzi w siodle. To jego serdeczny przyjaciel, rotmistrz z armji polskiej. Nie wiem, jak się nazywa.

— To się dowiedz! — poleca mu kategorycznie paryżanka.

— *Il est très bien* — zauważa z uśmiechem młodzieniec.

— *Ah... mais oui* — wtórzy półtonem a z głębokiem przekonaniem dama i strzałami gorących źrenic przeszywa męską postać, przyrosłą do siodła.

— Nazwiska jego nie znam — wtrąca starszy pan — ale... zapisywał się on wczoraj ze mną w księgę wizytową księcia i księżnej Argyll.

— Ah... Musimy dowiedzieć się, kto to taki — mówi siwa dama i zaznacza wyraźnie, że wolno interesować się przyjętym do towarzystwa dżentelmenem.

Urodziwego „przyjaciela lorda Pembroke'a" podziwiają na deptaku po francusku, angielsku i po polsku, podnosząc, jak to on umie pokazać zalety i piękności konia, jak sam wyrasta z jego grzbietu piękną, niby w bronzie rzeźbioną figurą.

Widok ten budzi bodaj najwyższy zachwyt u trzynastoletniego Kazia Moreckiego. Zrywa się z ławki w podnieceniu.

— Mamo, znam go! To hrabia Zawiejski z naszego

hotelu. Spotkałem go dzisiaj na schodach. Mówił mi: „dzień dobry“ i uśmiechnął się bardzo przyjaźnie. Taki miły! Ach, gdyby on zechciał mnie wziąć z sobą kiedy do stajni!...

— Nie znamy go dotąd — odpowiada matka, a siostra milczy.

Obie panie patrzą z zajęciem na zbliżającego się powoli jeźdźca, rodaka, znanego im z widzenia: hrabina Anna Morecka swemi jakby srebrzystemi, a dziewiętnastoletnia hrabianka Sabina cudownemi chabrowemi oczyma.

Już słychać prychanie rumaka, jeździec przechodzi szybko wzrokiem długi szereg wytwornych gapiów, zatrzymuje na jasnej głowie panny Sabiny, a w źrenicach jego zapalają się gwiazdy radości. Dziewczyna ma uczucie, że gorąca łuna pada na matowe śniegi jej twarzy.

— Gorąco dzisiaj... — zauważa.

W istocie ciepło, choć to dopiero początek lutego, i dlatego takie tłumy wyległy nad morze. Ale silniej od słońca działa w tym momencie na pannę Sabinę nachalne wspomnienie pierwszego z tym panem spotkania. Ona go zna już od kilku dni!

Tydzień temu mama puściła ją samą do Nicei, aby odwiedziła tam kuzynkę, panią Marylę Kromiczową, a po południu przywiozła ją z sobą do Cannes na szczególnie piękny koncert symfoniczny w Kasynie.

Zamiast chodzić z Sabinką po sklepach, pani Maryla, więcej niż słomiana wdówka, porwała dziewczynę z sobą do Monte Carla. Twierdziła, że „potrzebuje wygrać w ruletę, a obecność takiej jak Sabinka gąski, co nie

widziała jeszcze zielonych stołów gry, przyniesie jej szczęście niewątpliwie“.

Dziewczyna broniła się mężnie. Wzdrygała się bowiem na myśl, co mama powiedziałaby na to. Hrabina z najwyższem oburzeniem odzywała się o „jaskini gry“, noga jej nigdy tam nie postała, i samo przez się rozumiało się, że Sabinka nie przestąpi progów takiego raczej dla półświatka stosownego „klubu“. Więc pani Kromiłczowa musiała wytoczyć różne argumenty.

— Moja droga, grać nie potrzebujesz. Nikt cię nie zmusza. Grać nie będziesz, a co zobaczysz wspaniały dom gry — to zobaczysz. Ciebie zaś nikt z towarzystwa z Cannes tam nie zobaczy, bo w południowych godzinach pojawiają się w Kasynie chyba tylko ludzie z najbliższej okolicy Monte Carla. Zresztą, moja droga, któż tam nie bywa?... Wszyscy. A nie widziałaś jeszcze zbliska „la petite Corniche“, tych nieprawdopodobnych zatok morskich, obok których będziemy przejeżdżały.

Owoc zakazany nęcił trochę dziewczynę, która rok temu jeszcze była w klasztorze, jak niemniej sama przejażdżka samochodem oraz rajskie zatoki.

W godzinę potem otaczała je atmosfera dziwnego klubu, w którym ludzie nie znają się między sobą, a jednak niekiedy z sobą rozmawiają—klubu osobników zwykle milczących, a jedną związanych i opętanych myślą.

Jakby u siebie, pani Maryla zdobyła sobie krzesło przy stole „trente et quarante“, a zalękniona wogóle w tem oszołomiającem życiu Riviery Sabinka stanęła tuż za jej plecami, zrazu nic z rozgrywającej się przed nią procedury nie rozumiejąc. Dwa spłaszczone czworo-

boki, czerwony i czarny, oraz rozmieszczone na zielonem suknie litery: O. N. R. wydawały się jej hieroglifami. Zresztą, paraliżowało ją poczucie, że zrobiła krok, który przyjdzie jej zataić przed mamusią. Na mlecznej jej twarzy, odźwierciadlającej wyraźnie wszelkie wzruszenia, zakłopotanie „gąski“ odbijało się kompromitująco, zwłaszcza pod uporczywem, wnikliwem, niemal bezczelnem spojrzeniem, jakie godziło w nią z drugiej strony stołu.

Ów wysoki pan był nadwyraz nieznośny. Patrzał na nią i patrzał w nią, jakby nikogo innego nie było w sali, palił ją spojrzeniem, dokuczał jej. Może dystyngowany ten człowiek był zgorszony widokiem młodej panny w tej, jak mówiła mama, dla półświatka stosownej sali. Piękna historja. Ładne będą mieli o niej wyobrażenie. Pod promieniami wyrazistych, pięknych oczu tego pana chciała przywdziać kapę czarnoksiężnika, co uczyniłoby ją niewidzialną, lub zapaść się w ziemię.

Mimo to raz i drugi zerknęła na niego ukradkiem, i coś szepnęło jej: „Polak“. Miał ciemne, wtył odrzucone włosy bez przedziału, co w jej pojęciu cechowało Polaka, i w twarzy jego, narysowanej śmiało a subtelnie, i wreszcie w postawie całej wyczuwała nieuchwytnie znamiona polskiego pochodzenia. Tem gorzej, że rodak, i to niewątpliwie z bardzo dobrej sfery — poweźmie o niej Bóg wie jakie wyobrażenie. Stała jakby pod pręgierzem, zawstydzona, nieprzytomna, zmiażdżona. Ale nie rozgniewana na niego nic a nic.

Potem zaszło coś niemal strasznego. Niewiadomo jak, odczuła, że stanął za nią, i zdjął ją lęk, jak gołębicę w przeczuwanej bliskości jastrzębia. Dreszcz przeszedł

przez jej plecy, przepływały przez nią jakieś gorące prądy, strasznie upajające. Aby nie zachwiać się, wsparła się mocno rękoma na poręczy krzesła pani Maryli. Przymknęła oczy i doznała takiego błogostanu duszy, jak nigdy w życiu.

Zbudziła się z uśmiechem wewnętrznym. „Głupia jesteś"—szepnął jej w głowie głos jakiś, i rozejrzała się po stole, poznaczonym mnogiemi złotemi centkami. Brzęk złota i żetonów grał jej w uszach. „*Messieurs, faites vos jeux*"—mówił ktoś zboku stołu. Pani Maryla w skupieniu rzuciła kilka sztuk złota przed siebie, a obok Sabiny przesunęło się ramię mężczyzny, który położył całą garść złota.

Raptem dziewczyna zainteresowała się grą. Powstało w niej pytanie: czy oni wygrają? Oni, to znaczy Maryla i ten pan, ten Polak, co stał za nią.

Przegrali. Chciwe, chyże grabki zagarnęły stawki z przed pani Maryli, uprzątnęły wmig całą połać stołu, wśród rozlegającego się po sali brzęku złota. Poczem zaczęto natychmiast ciskać tu i owdzie na sukno monety.

Pani Maryla odwróciła się do niej.

— Gdzie twe szczęście?

— Nic ci nie obiecywałam. Chodźmy już, Marylko.

Chciała uciekać, bo wydawała się jej nieznośną przykra świadomość, że on stoi tak blisko przy niej, ale przygważdżało ją coś do miejsca.

W tej chwili ujrzała znów jego ramię. Kształtna, długa ręka położyła opodal czerwonego czworoboku, jakby przed panią Marylą, ogromną garstkę złota, i to

w sposób może trochę brawurowy, niby zachęcający do gry.

— Teraz wygramy — bąknął ten pan, nie do nich, lecz jakby do kogoś za nim stojącego.

Pani Maryla wahała się jeszcze. Wreszcie ozwała się do kuzynki.

— Spróbuję jeszcze raz.

— Ale to po raz ostatni — upominała ją Sabinka, lecz coś w niej zatrzepotało, i w nagłem postanowieniu sięgnęła do torebki i położyła sto franków obok stawki kuzynki.

— Czy można tak mało? — wyśpiewała naiwnie, przeciągając słodko wyrazy.

— Można — roześmiała się pani Kromiczowa.

Zaraz potem oznajmił przy stole ktoś, którego pani Kromiczowa nazywała „krupjerem“: ...„*rien ne va plus*“, i zapanowała taka uroczysta cisza, że można było posłyszeć brzęczenie muchy. Niepojęta emocja znowu ogarnęła dziewczynę. Udzielił się jej nastrój grających, którzy dwoma, miejscami trzema łańcuchami oplatali stół, i zespoliła się z nimi w uczuciu napiętego, upojnego oczekiwania.

Ktoś coś bąknął, dreszcz przeszedł zebranych i nastąpiło ogólne odprężenie nerwów i poruszenie.

Sabinka nie miała pojęcia, czy wygrała, czy nie. Zapomniała wogóle o swej stawce.

Zaraz pojawiły się na zielonej płaszczyźnie rącze grabki, jęły hulać po niej błyskawicznie i zmiatać gwałtownie kupki złota, lecz ominęły pieniądze, złożone przy czerwonym znaku i literze R. Pani Kromiczowa z ciężkim oddechem rzuciła kuzynce:

— Wygrałyśmy!

W tej chwili Sabinka uprzytomniła sobie, że i ona coś postawiła. Dlaczego stawiała, dlaczego stawiała na czerwony znak, dlaczego wygrała? Wszystko to wydało się jej niezmiernie bezsensowne, wręcz głupie. Poczęła odciągać panią Marylę od stołu, ale pani Kromiczowa, zachęcona wygraną, znowu postawiła tysiąc franków. Przecież „on" nadal grał maksymami. I jeszcze raz wygrali.

— Dosyć, Marylko proszę cię — upominała żarliwie dziewczyna.

— No... dosyć.

Zadając sobie gwałt, pani Kromiczowa dźwignęła się od stołu leniwie, a miejsce jej zajął w mgnieniu oka ktoś inny. Nie mogła jednak jeszcze oderwać się od gry i ciekawa „co będzie dalej", zatrzymała się wpobliżu. Zauważyła, że „on" znów położył 12 tysięcy franków, i z nim razem przeżywała emocję. Gdy wypłynęły na widownię groźne grabki, Sabinka spytała ją zcicha:

— Wygrał?

— Wygrał trzy razy z rzędu. Trzydzieści sześć tysięcy.

W tym momencie zjawił się przed niemi „ten pan" i zwrócił się do Sabiny:

— Przepraszam... Zwracam uwagę, że zapomniała pani podjąć ze stołu swe 800 franków.

— Ah... aż ośmset! — wyrwało się z ust zmieszanej panny. On spojrzał jej w twarz z najintensywniejszą ciekawością. Promienie ich źrenic zwarły się na mo-

ment, i straszne zalęknienie zaparło oddech Sabinki. Lecz on gdzieś znikł. Poskoczył do stołu i włożył jej w dłoń pieniądze.

— Dziękuję panu — wyrzekła.

Przytem spojrzała na niego, i doznała ogromnej przyjemności. Wydał się jej bardzo piękny.

Wygrane pieniądze paliły ją, i postanowiła oddać je zaraz na biednych w Cannes. Niemniej jednak miło jej było, że wygrała trzy razy z „nim".

Rozkołysana usiadła z kuzynką do samochodu, nie zauważywszy ani spojrzeń, jakiemi przeprowadzano ją zewsząd, ani tego, że „ten pan" w tej samej chwili przeciskał się między mrowiskiem wystrojonych ludzi do automobilu, czekającego opodal hotelu de Paris.

Tłum, palmy, piękna fasada hotelu mignęły jej przed oczyma, potem wóz skręcił, spadł po skłonie złotej skały i pędził przez zaczarowany świat lazurów i kwiatów. Cap d'Ail, Eze, Beaulieu, Villefranche przesuwały się przed nią niby w kalejdoskopie. Girlandy will podpinały stoki ciemno popielatej ściany gór, will, obwieszonych glicynjami i pnączami róż. A zatoki kryształowo-szafirowe, w zaciszu rajskiem wygładzone, rozmarzone, wydały się Sabinie czemś zgoła nierealnem — malowaną dekoracją, sztafażem, na oczarowanie ludzi stworzonym.

Pani Kromiczowa puściła wodze refleksji i, jakby sama sobie robiąc wyrzuty za nawiedzającą ją namiętność do gry, zauważyła, iż wszystko to dokoła było zbyt piękne, a więc i ostatecznie demoralizujące. Zatruwało to ludzi beztroską bogów, nastrajało na nutę próżniaczego bytowania. Lecz uwagi jej odbijały się

o uszy Sabinki bez echa. Wcieliła się w nurt tego świata, chciała lecieć jak mewa do słońca i miała w duszy sen o czemś, co nazywa się szczęściem.

I nie było na to ratunku, bo tuż przy drodze, po prawej ich ręce piętrzyły się ściany olbrzymów górskich i zamykały, więziły ją w zaczarowanej krainie. Oskrzydliły ją tak czule, miłośnie, że już tylko przejrzeć się w źwierciadle kryształów morskich, przystroić złote włosy różami wonnemi i uśmiechnąć się czarownie do szczęścia, co zdało się fruwać wokoło jej głowy.

Odtąd nie opuszczało jej wrażenie, że między nią a „tym panem" istniała jakaś tajemnicza nić.

A wszystko to przypłynęło do niej ogromną, zmąconą falą we dwa dni potem, gdy, siedząc z matką i bratem przy śniadaniu na werandzie hotelowej, ujrzała go wchodzącego. Skąd on się zjawił?... Radosne zdziwienie splątało się z radosnym lękiem. Gdy, rozejrzawszy się dokoła, zajął krzesło przy wolnym stoliku tak, że miał ją przed oczyma, nie mogła unieść głowy i spojrzeć w jego stronę. Mimo to jednak zaobserwowała, że przy czarnej kawie ten pan wydobył z kieszeni książkę i pogrążył się w lekturze tak, iż z pewnością nie zauważył, kiedy one znikły z werandy.

III.

Panna Sabina myliła się. Wprawdzie Juljan zaczytywał się nieraz, zwłaszcza w powieści, tym razem wszakże lektura nie przeszkodziła mu wcale wpatrywać się przez rzęsy w tę buzię, jak mówił za Homerem, słodszą „od miodu z Hymetu", w tę rasową, złotowłosą dziew-

czynę, która uderzyła w sedno jego organizacji sercowej i natchnęła go do awanturniczej imprezy.

„Boticelli na polskie przetłumaczony...“ mówił sobie w duszy, zachwycając się delikatnie narysowaną, jak mleko białą twarzyczką z karminowemi ustami; przypomniały mu się „Złote schody“ Burne Jones‘a i tłum białych, wyanielonych dziewic, po nich schodzących. Gdyby dziewczyna ta, tak im bliska, miała ukazać się między niemi, anioły zrewoltowałyby się, zaćmione jej pięknością, i wygnawszy z pośród siebie, wydały ją śmiertelnym na pastwę żądz.

Gdyby kto niejako cyrklem chciał wymierzyć urodę, byłby przyznał, że matka górowała nad nią skończoną doskonałością rysunku twarzy, lecz dlatego może właśnie twarz ta wydała mu się wkrótce mało interesująca. Natomiast drobne nieprawidłowości w rysach Sabinki sprawiały, że twarz jej miała swoisty wyraz, dla niego nieprzeparcie zaciekawiający, a pełen słodyczy i czaru. Gdzieś w kątach ciemno oprawionych, chabrowych oczu, co tak uderzająco odbijały od złotawych włosów, taiły się raz jakieś uśmiechy dziecinne, raz—tony rozmarzenia. A duże, siwe oczy hrabiny Anny zawsze niezmiennym, srebrnym płonęły ogniem. Zresztą, wyższa od matki, Sabina smukłą, elastyczną swą postacią zjawiskowe wywierała wrażenie.

Gdy odeszły, Juljan udał się do ogrodu hotelowego z książką. Wnet odłożył ją nabok i wrócił myślami do momentu, gdy ujrzał ją wchodzącą do sali gry. Natychmiast zaalarmował go okrzyk: „śliczna“ i rozległ się po wszystkich zakamarkach i szczelinach duszy. Wziął ją zrazu za Angielkę lub Amerykankę. Pochwy-

cił jednak uchem kilka słów polskich i z jeszcze większem napięciem ciekawości począł przyglądać się uroczej tej istocie, jak wnet odgadł, po raz pierwszy wkraczającej na posadzkę tego przybytku. Ocenił ją okiem znawcy i miłośnika. Zauważył, że miała dobrze postawione nogi i chód dostojny, swobodny i naturalny. Podobało mu się bardzo, że nie była w biodrach za szeroka, a wogóle nie za szczupła, nie za chuda. Jakby mu ją była przysłała łaskawa bogini z wyspy Cytery, a po drodze na Rivierę zbłąkała się na polskie niwy i uszczknęła tam lubczyku. W szczerem, słodkiem spojrzeniu oraz w uśmiechu wyrażał się czar jej osoby.

Juljan śmiał się serdecznie z jej zdenerwowania, gdy wchodziła do sali gry, z jej zakłopotania przy zielonym stole. Widział jej gesty trwożliwe i zawstydzone minki. Bawił się tem, niby dzieciak cackiem, i coś z tej jej naiwności odźwierciadlało się w mętach jego duszy, wygładzało jej powierzchnię, złociło zorzą zaranną.

A najchętniej wspominał moment, gdy z cudownem zdziwieniem dzieciaka wyrzekła: „Ah... aż ośmset“. Bo słowo nie mogło wyrazić, jak była wtedy nieprawdopodobnie śliczna z tą naiwnością, z różami na licach, ze zmieszaniem zbudzonej do miłości dziewczyny, z rozchylonemi ustami, z wyiskrzonemi źrenicami. I słyszał słodką muzykę jej głosu, i pytał się sto razy, czy moż na nie szaleć za taką dziewczyną.

Sarenka przemiła wynurzyła się po raz pierwszy z poszycia lasu na zieloną polanę życia, gdzie słały się przed nią tak różne zioła i kwiaty. Trwożliwie a cie-

kawie rozwarła śliczne oczęta z zapytaniem, co ono jej da — to życie...

Szalenie się w niej rozkochał. Wziął ją całą w duszę, stworzył raz jeszcze, nosił w sercu jak klejnot, ustawiał w tajnej kapliczce serca i, pędząc ku niej naoślep, nie zdawał sobie nawet sprawy, że stała się ośrodkiem jego istnienia, nostalgją i najwyższą, niezbędną potrzebą. Literalnie wszystko, co robił, zmierzało do jej podboju, i czuł, że niema szaleństwa, jakiego nie popełniłby dla tego celu. Na dnie każdej myśli odnajdywał „sarenkę", i najbłahszy krok jego do niej się odnosił w ostatniej instancji.

Dlatego jedynie żył i był niewymownie szczęśliwy.

Niebawem poznał ją na świetnym dancing'u, tańczył z nią, rozmawiał, magnetyzował ją i dolewało to wina do puharu jego miłości, pogłębiającej się i wzrastającej do ideału.

Hrabianka była wprawdzie jak dwie inne kobiety, które zdobywał uporczywie, fantazją zmysłów szaleńca, lecz ta fantazja ogarnęła tak wielkie, dotąd prawie leżące odłogiem, sfery jego organizacji duchowej i sercowej, że stała się pochłaniającą go namiętnością. Nie wcielał Sabiny w swe sezonowe arlekinady lub romansowe epizody, ubrane w pióra miłości bez miłości. Nie stawiał jej w galerji swych kobiet. Biała jak śnieg, przez czas i ludzi niezbrukana, wkroczyła na tor jego gonitwy za złotem i używaniem i rzuciła nań taki urok, że dla niej pierwszej miał w altruizm wpadającą miłość i szacunek, jakby dla świętości. To nie była „tylko kobieta" jak inne, lecz jedyna, przeznaczona dlań istota, u której szyi uwiesił swe życie...

Narazie dość było mieć ją przed oczyma, pieścić wzrok linją jej smukłej postaci, przytem odzierać ją w myślach z szat, wyobrażać sobie jej kształty. Pragnął być blisko niej, jak najbliżej, śledzić tryb jej bytowania, wyczuwać tętno jej istnienia, oddychać jej czystą atmosferą, chwytać odblaski jej uśmiechów, wchłaniać w siebie fiołkowy zapach jej osobowości. Pragnął wkradać się w wirydarz jej serca, wchodzić w świat jej myśli, przesączać ją żarem swych pożądań i upajać muzyką swych uczuć tkliwych. Pragnął zabierać ją całą, zupełnie całą, przygarniać do siebie i rozkochać w sobie do szaleństwa.

Wiedział, że musi ją zdobyć, ale czuł, że musi nadto na nią zasłużyć.

Czytając w niej, odgadywał, że się jej podoba, że na nią działa i wywiera silne wrażenie. Więc z tem większym ogniem przesadzał przeszkody. Do czego miało to ostatecznie prowadzić — o to nie pytał niebieski ptak, żeglujący pod flagą hazardu. Czyż, grywając w karty, kłopotał się o to, co pocznie z wygraną?

Najpierw wygrać, zdobyć ją. A potem?...

Czasami niegodziwy djablik jakiś niepokoił go jakby szyderczem zagadnieniem: a potem?... Ot, potem będzie, co będzie. Życie samo na to odpowie. Czyżby miał poddawać się trzeźwym wskazówkom kupiecko-burżuazyjnej rozwagi i przezorności? On, wielki gracz, co brał się za bary z losem! Czyż śmiałby rejterować przed widmem piętrzących się woddali przeszkód? Jakgdyby przeszkody jakie istniały dla tego, kto prawdziwie chce, dla niego? Czyż miałby przystrzygać swe ja jak szpaler wersalski, kłaść głowę pod strychulec, obcią

żać i pętać swe skrzydła? On, nietyle „rycerz przemysłu“, ile junak z rodu Farysów?...

Raz, mając ją przed oczyma duszy, padł twarzą na poduszkę otomany, jakby chory z miłości. I dziwnym rzutem myśli, chociaż po niemiecku mówił bardzo licho, przypomniał sobie, iż w języku Goethego nazywa się to „liebeskrank“. Podobał mu się dźwięk tego słowa. Jednakże jego choroba łatwa była do uleczenia, gdyż wynikała z maksymalnego napięcia woli.

Przysięgał, że jeśli niebo mu jej nie powierzy, to piekło dać musi.

IV.

Z wieczora, pogwizdując melodyjkę modnego shimmy, hrabia Juljan Zawiejski ubierał się w garderobie swego książęcego apartamentu, gdzie nad walizami z hrabiowskiemi koronami wisiały różne sportowe odzienia i rekwizyty: rajtuzy, sztylpy, szkarłatny żakiecik golfisty, kapa, kubrak i wspaniały płaszcz futrzany automobilisty. Bo hrabia zarobił sobie już, wprawdzie nie na Rolls-Royce‘a, nadającego w pojęciu Rajewskiego najwyższą markę ludziom, lecz na potężny touring-car, w znacznej części zapłacony. Ta okoliczność, że był to wóz już nieco używany, przekonała Juljana właśnie do niego, gdyż mogło wydawać się, że posiada go oddawna.

Tak dobrze rozwijały się interesy „hrabiego“ na lazurowym brzegu. Niedarmo był zgoła pierwszorzędnym fachowcem, a w tym okresie fortuny oblubieńcem. Dzień,

w którym spotkał po raz pierwszy hrabiankę Sabinę, i tak fenomenalnie pokierowało nim przeczucie przy stole trente et quarante, mógł był czerwono podkreślić w swym kalendarzu. Skoro tylko, towarzysząc pięknej hrabiance niepostrzeżenie do Cannes, stwierdził, gdzie ona mieszka, powrócił do Monte Carla, poczytując ten dzień za szczególnie dla siebie szczęśliwy. I istotnie, wygrał poważny „kapitał zakładowy“ na kampanję w świecie arystokratycznym. Od chwili zaś, gdy wylądował na ziemi, po której chodziła upieszczona w myślach jego „sarenka“, okoliczności sprzyjały mu nadspodziewanie.

Dzięki instrukcjom pana de Millefort‘a, dostał się zaraz pierwszego wieczora w kółko klubowców, gdzie poznał wicehrabiego Pembroke‘a, podtatusiałego hulakę i sportsmana, i pokumał się z nim przy kieliszku. Pił z nim całą noc i, wbrew inklinacjom—upił się z najlepszym skutkiem. Lord powziął przekonanie, że to „a jolly good fellow“, i wprowadził go bez zwłoki do Klubu Żeglugi. A gdy okazało się, że hrabia Zawiejski świetnym jest jeźdźcem, gdy na koniu lorda próbował z powodzeniem swych sił w grze w polo, a nazajutrz odznaczył się chlubnie w konkursie hippicznym, co w prasie podniesiono wysoko, lord, zachwycony, uznał go za pana z panów w wielkim stylu, za świetnego klubowca i czarującego towarzysza, chociaż Zawiejski nie umiał po angielsku więcej nad to, co umie każdy pokerzysta. Otworzył mu przystęp do salonów Królewskich Wysokości. Spopularyzowaniem hrabiego w najwyższej socjecie zajęła się gorliwie niejaka pani Egerton, Irlandka z krwi, a wdowa po magnacie Angliku, czterdzie-

stoletnia, już siwiejąca dama, niezmiernie inteligentna i umysłowo wytworna, wreszcie powieściopisarka, zbyt subtelna i artystyczna, aby podbić rzesze czytających.

Pod urokiem jego powierzchowności i wdzięku, pani Egerton starała się, jak w swych erotyką zabarwionych myślach o nim, zrobić z niego w pojęciu towarzystwa coś w rodzaju bohatera bajronowskiego. Lubiła wciągać go w dyskursy o sztuce, o życiu, o miłości i duszy, a Zawiejski, czując się zaszczyconym jej przyjaźnią, usiłował doróść do wyżyny jej oczekiwań. Począł żywić dla niej niezwykłe, ciche uwielbienie i poddawać się wpływom jej istotnie wykwintnej umysłowości.

Od dość licznej arystokracji polskiej o historycznych nazwiskach hrabia Zawiejski trzymał się zdaleka. Słysząc o nim, czytując w gazetach, widując na koniu lub na „walce kwiatów“ w ślicznie ukwieconym ekwipażu, niejeden z polskich panów i głównie niejedna z pań zastanawiali się, skąd spadł między nich jakiś hrabia Zawiejski, o którym nikt w kolonji polskiej nic nie słyszał. Ale stan mglistej wątpliwości trwał bardzo krótko i ustąpił wnet miejsca zachwytowi. Niedość, że „przyjaciel lorda Pembroke‘a“ pojawiał się na posadzkach Altesse‘ów, ale na balach w Cerle-Nautique funkcjonował jako wodzirej, i wszyscy nie mogli się go dość nachwalić. Zdania pani Egerton, rozsiewane pilnie, jego powierzchowność, jego swada i urok dokonały reszty, i po trzech tygodniach pobytu w Cannes polskie domy poszukiwały go i zapraszały jako człowieka, dekorującego salon. Mimo to, Zawiejski stronił od Polaków, z wyjątkiem hrabiny Moreckiej, kazał się poszu-

kiwać i prosić, i bywał w polskich domach tylko tyle, by spotykać tam „sarenkę“. Towarzyszył mu tam zawsze zaskórny lęk: mógł bowiem „nadziać się“ na kogo ze swych dość licznych, utytułowanych znajomych z Małopolski wschodniej.

Tak rzeczy stały, gdy zdarzyło się coś, co imię jego otoczyło aureolą i wyniosło na świecznik.

Wśród śmietanki graczów z najwyższej arystokracji figurował w Cercle Nautique co wieczór książę królewskiego rodu, na którego oczy całej socjety były szczególnie zwrócone z tego względu, że nie było rzeczą całkiem wyłączoną, by nie miał on przy pomocy boskiej zdobyć sobie korony. Więc chodził po Cannes w świetle majestatu, a w Cercle‘u kłaniano mu się z wielką czołobitnością. Odzywano się do niego: Monseigneur, a znaczyło to tyle, co Najjaśniejszy Pan.

Oczekując cierpliwie na koronę, książę grywał zapamiętale i pewnej nocy przegrał do hr. Zawiejskiego znaczną sumę. Ponieważ nie miał przy sobie gotówki, co niekiedy zdarzało się wogóle, a w szczególności względnie niebogatemu księciu panu, Zawiejski oczekiwał, że, zgodnie z obowiązującym kategorycznie kodeksem klubowym, otrzyma od księcia nazajutrz przed dwunastą w południe jego przekaz bankowy na pokrycie długu.

Aliści czek nie nadszedł. Sprawa zaś poczynała przybierać wygląd poważny, gdy jeszcze w 24 godziny później hr. Zawiejski nie był w posiadaniu tych wygranych pieniędzy. Jednakże milczał; nawet Pembroke‘owi nie pisnął o tem słówka.

Gdy tego wieczora przy zielonym stole bakarata znów

zakrólował, jako bankier, Monseigneur, a Zawiejski, przyglądając się grze, nie stawiał, jeden ze znajomych zainterpelował go na głos:

— Hrabia dzisiaj nie gra?

— Nie — odparł dobitnie Zawiejski takim tonem, że wszyscy gracze wśród ogólnego skupienia i milczenia zwrócili na to uwagę. A po chwili podniósł głos i oznajmił wszystkim uroczyście:

— Nie gram, bo Monseigneur zapomniał przez dwa dni przysłać mi swój czek...

Cisza zaległa salę. Karty wypadły z palców księcia, poczem nastąpiło pewne poruszenie i ogólna konsternacja.

Krok Zawiejskiego, lubo formalnie uzasadniony, wydał się skandaliczną zuchwałością — obrazą majestatu. Któż śmiałby niemal koronowanej głowie cisnąć w twarz takie do szpiku kości przenikające słowa?...

— W istocie, mój drogi hrabio, zapomniałem — wycedził po chwili pobladły Monseigneur. — Zapomniałem na śmierć... Tak dobry przyjaciel, jak hrabia, wybaczy ten lapsus pamięci... Przepraszam sto razy...

Jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej odwróciła się karta. Zuchwalec przeobraził się odrazu w niemal bohatera, wzniósł ponad koronowane głowy.

A książę? Czy w twarz smagnięty publicznie, zachował dla niego na dnie duszy niechęć i animozję? Bodaj nie. Hr. Zawiejski zaimponował mu nadwyraz gestem, w którym było i wysokie poczucie godności osobistej, i nieporównany tupet. Bo książę uświadomił sobie, iż dotąd bagatelizował tego Zawiejskiego, trochę ignorował nawet, i poczytał krok jego za wymierzenie

sobie satysfakcji. Uchylił przed nim czoła i już tej nocy trącił się z nim kieliszkiem.

„Przyjaciel lorda Pembroke'a „awansował“ na przyjaciela J. Królewskiej Mości“.

Przez dwa dni w Cannes nie szeptano o nikim innym, jak o tym pięknym, wytwornym, czarującym salonowcu, o tym najznakomitszym jeźdźcu, sportsmanie, tancerzu, słowem, o tym nieporównanym hr. Zawiejskim, z którym Monseigneur promenował po deptaku pod ramię. Miał on teraz wszystkie zalety i jeszcze kilka innych.

Deszcz zaproszeń spadł na faworyta Monseigneur'a. Wydzierano go sobie. Dwie Amerykanki ciągnęły go niemal gwałtem do swych pałaców, by pochlubić się taką „greatt attraction“ a może nawet zakochać się w nim na przeciąg sezonu. W salonie hrabiny Moreckiej roiło się od gości dlatego, że tam z pewnością spodziewano się spotkać bohatera chwili. Żaden, dosłownie żaden czyn nie byłby w tym świecie stawił Zawiejskiego na takim piedestale, jak to zdanie, wyrzeczone pod adresem Monseigneur'a. Nawet ci, co go krytykowali, odczuwali bijącą z tego siłę, przebłysk indywidualności.

Wnet szalone wzięcie zaczęło Juljanowi dokuczać. Nie mógł przecież wyrzec się dla salonów swych sportowych rozrywek, nie mógł tracić z oka głównego celu swego, a wreszcie trzeba było wyciągać procenty ze znakomicie powiększonego kapitału zakładowego.

Grywał wyłącznie wśród elity graczów. Wyjątkowo zapuścił się dwa razy do miejscowego Kasyna Municypalnego nocą, jakby incognito, lecz, lubo i tam szła mu karta, uznał towarzystwo burżujów paryskich za ordy-

narne. Raziły go maniery tej „hołotki“ w pierze obrosłej, tych nouveau-riche‘ów, episjerów, co nie umieli przyzwoicie przegrywać. W Nicei podobało mu się z tej przyczyny, że ograbił tam w Kasynie bardzo kilku amerykańskich pokerzystów. Chociaż ruleta zabrała mu przy jednej okazji znaczną sumę, miał blisko półtora miljona. Czuł się magnatem.

Zaszła w nim jednak zmiana, z jakiej nie zdawał sobie jasno sprawy. Im więcej wygrywał, tem mniej grywał. Przyłapał się na tem, że gra kilka razy wydała mu się nietylko pracą, ale zaciągiem, orką. Bo rwał się całą istotą do pięknej hrabianki, nie mógł wyżyć dnia bez widoku sarenki i zaprawdę wolał z nią tańczyć, patrzyć w jej oczy, bałamucić ją, niż wędzić się w dymie cygar hawańskich i — zarobkować. Atoli „przyjacielowi“ intymnemu Monseigneur‘a wchodziły w szpony różne grube ryby, których przecież nie było można nie oskubać, jak kapłonów, jeśli się o to zdawały prosić. Zresztą, kto wie, mogły zajść ewentualności, wymagające znacznych funduszów. Niepodobna oczywiście nic przewidzieć, lecz może... Sabinka... Myśl o niej, nie odstępująca go, wplatała się nawet w spekulacje szulera, i nie mógł opędzić się wręcz idjotycznemu przypuszczeniu, że musi wygrać na coś, co w bardzo bliskim będzie z nią związku.

Życie było piękne. Zobaczy ją znów tego wieczora na urodzinowem przyjęciu u pewnego księcia krwi. Na tę okazję wypadnie przypiąć do fraka ordery.

W różowem usposobieniu hrabia Zawiejski, zawsze o powierzchowność swą dbający, poświęcał na tualetę

wieczorową niemało czasu. Niekiedy, spozierając na baterję flakonów, fiksatuarów, mydeł i pachnideł, śmiał się w duchu, gdyż połowa tego była dalibóg zbędna dla 34-letniego sportsmana. Lecz wzgląd na... służbę grał w tem pewną rolę. W oczach jej musiał stać tak wysoko jak książęta, którzy mieszkali w tym apartamencie, jeśli nie miano „obszczekać“ go po całym hotelu. Nauczył się oddawna nie bagatelizować opinji służby. Przecież na dworach monarszych bywali lokaje i garderobiane, wywierający stokroć większy wpływ na bieg spraw państwowych, niż pierwsi ministrowie.

Gdy wreszcie ukazał się sobie w zwierciadle, był z siebie zadowolony. Przeciągnął się, niby ryba w wodzie, stwierdził i sprężystość muskulatury, i znów myśli poszybowały do tej jedynej na świecie kobiety, która nietylko rzuciła na niego urok, ale niepojęte praktykowała na nim czary. I znów, gdy teraz wywołał jej obraz przed oczy duszy, cała potęga jego woli, jego żądzy, podnosiła się w nim falą, a zarazem coś się w nim rozprzęgało i coś topniało.

A potem, co rzadko się zdarzało, przypomniał sobie matkę.

Jakby to matczysko na niego, swego gagatka, patrzało teraz, jakby go zjadało rozmiłowanemi oczyma, gdyby stanął przed nią ot tak, we fraku z orderami, na tle największego świata, sypiącego mu pod stopy wszystkie kwiaty powodzenia...

Ale matka jego była hen-daleko.

Akurat o tej porze, wydoiwszy własnoręcznie dwie ze swych krów, poczynała krzątać się około wiecze-

rzy, rzetelnie umorusana, już wcale niełądna, raczej brzydka, stara cyganicha.

Gospodarowała zawzięcie z mężem na 200 morgach zacnej ziemi podolskiej, którą, wraz z kawałkiem łąki, lasu tudzież ładnym kapitalikiem, otrzymał Franciszek Zawoja za długoletnią służbę kamerdynerską w magnackim pałacu hrabiowskim. Całe życie od wyrostka spędził w cieplarnianej atmosferze, póki stary hrabia, starszy od niego o lat kilka, nie połączył się z duchami swych antenatów. Chociaż na starość bywał często gderliwy i przykry, chociaż „trudno z nim było“ i „trzeba było z nim umieć“, gdy zamknął oczy, Franciszek płakał jak bóbr, szlochał jak po zgonie ojca, a potem pamiętał już tylko wszystkie miłe z hrabią przeżyte chwile. Zrośli się przecież jakoś zczasem, jak prosta jabłoń zrosłaby się z dębem, gdyby je w jeden wkopać dół. Przeżyli społem siła czasu w kraju, we Francji, we Włoszech, ba w Indjach nawet i Afryce. Bez swego Franciszka hrabia istnieć nie mógł, jak niemowlę bez mamki.

W podróżach tych Franciszek nietylko nabrał ogłady i form, jakich mogłoby mu zazdrościć wielu naszych dyplomatów, lecz wykształcił się wcale nie tak powierzchownie. Nauczył się nieźle po francusku, trochę po włosku i angielsku, a w arkanach polityki europejskiej, nieraz o tem z hrabią gadając, orjentował się, bądź jak bądź, wiele lepiej, niż wielu posłów sejmowych. Ale tego hrabia w nim nie cenił. Ani nawet tego, że był z natury pracowity i systematyczny, sprytny i, słowem, nieoceniony. Natomiast za ogromną zasługę i najwyższą cnotę poczytywał mu on jego wygląd, jego

wielkopańską postawę. Budziło to w nim często podejrzenia, i odzywał się na nutę: Franciszku, ty, psia krew (kląć lubił jak furman), masz takie szlacheckie zacięcie, że jeno ubrać cię w kontusz i przypasać ci karabelę. Skąd ci się to wzięło?... Nieczysta sprawa. Powiedz no, jak to tam z twą babką (nie chciał powiedzieć matką) bywało?... Co? Jak myślisz?...

Indagował go o to nieraz, lecz bez skutku. Przyznając mu pewien tytuł do szlachectwa, nigdy jednak nie zdradził się z tem głośno, że Franciszek wywierał na nim wrażenie jakby księcia, czy hetmana. Bolało go to bowiem trochę w duszy. Nie było porządku na świecie, jeśli syn prostego chłopa mazurskiego posiadał cechy rasowego, ze szlachetnego pnia pochodzącego osobnika.

W czasie, gdy zimowali w Biaritz, przyszła kreska na Franciszka. Opętała go tam fertyczna garderobiana pewnej hrabiny. Francuzka, ściśle biorąc Prowansalka. Nim pojawił się przed nią dystyngowany kamerdyner polski, Pierinne'a wybierała się zamąż gwałtownie za pewnego episjera. Wejść w posiadanie sklepu korzennego było szczytem jej ambicji. Lecz Polak spowodował radykalną w tych zamiarach dywersję. Mniejsza, że chłop był piękny jak świeca, a na takie świece łase są białogłowy pod każdym stopniem geograficznym. Ale wręcz druzgocące wrażenie wywołał fakt, że był to... blondyn. Wobec tego padły sprzeciwy zdrowego rozsądku, i praktyczna Pierinne'a straciła głowę. Poczęła wiercić uwodnemi, kasztanowemi oczyma w tym blondynie tak, że aż ciarki go przechodziły. Nie był wszakże z tych, co gonią za spódnicami. Uważał, że

kobieta „przeszkadza“. Któż jednak byłby oparł się tej piekielnicy? Umiała jakoś brać człeka z każdej strony. A kobieta była apetyczna. Mocna, sama w sobie, w biodrach szeroka, w pasie wąziutka, w piersiach najprzedniejsza, choć później w mleczarnię się przefasonowała. Jucha przymilna...

Zaprowadziła Franciszka do ołtarza. Na swe szczęście! Zdobyła bowiem męża trzeźwego, robotnego, hojnego i w pożyciu domowem łatwego, co mógł uchodzić za wzór. Jak to obliczył hrabia, Franciszek upijał się tylko dwa razy do roku, a pod stołem nikt go nie widział. Boże broń! Miałby przypominać świnię w błocie? A od czego honor! Nagradzał mu tę wstrzemięźliwość taniec. Nie było w okolicy dożynek i wesela, gdzieby Franciszek Zawoja nie tańcował do białego dnia. Chociaż liczył sobie w tym czasie coś 68 rok życia, nie ustępował w tańcu najmłodszym. Bywały z tego powodu — nie tańca, lecz raczej tancerek — sceny domowe z Pierinne‘ą, i o starym Zawoju plotki jakieś wałęsały się po okolicy.

Pszenny chleb polski tak służył Francuzce, że, wziąwszy na ambit, wydała na świat aż czworo, nie byle jakich dzieci. Perłą zaś domu i źrenicą matczynego oka był Jules.

W istocie, łobuz ten wziął od rodziców, co mógł najlepszego, jak w całej pełni okazało się to w późniejszym jego wieku. Od ojca wzrost, figurę i rycerską postawę, tudzież słowiańskie serce, od matki zaś djablo wymowne kasztanowe oczy, co potrafiły śmiać się i czarować, nadzwyczajny wdzięk, żywy galicki umysł, rzutkość, spryt i swadę. A od obojga — temperament. Umiał, jak

ojciec jego, odsuwać pokusy miękką dłonią i szaleć, jak byłaby szalała Pierinne'a, gdyby Franciszek, wzgardziwszy nią, inną był upodobał sobie kobietę.

Matka stroiła, rozpieszczała chłopaka nadwyraz. Gdy o niego chodziło, opuszczało ją nawet chorobliwe skąpstwo. Ile razy Jules chciał coś osiągnąć, rzucał się jej na szyję z czułością: „ma petite Pierinne!", i serce matczyne topniało. Jeśli od ojca brał w skórę, matka skakała Franciszkowi do oczu.

Jej wychowanie o tyle tylko bodaj wyszło Julkowi na dobre, że nauczyła go doskonale po francusku, zawsze w tym języku z nim rozmawiając. Francuszczyzna przyczyniła się do tego, że stał się nieodstępnym towarzyszem małego siostrzeńca hrabiego i zaaklimatyzował się w pałacu. Baraszkował się z książęcym rówieśnikiem po parku, jeździł na kucu, grywał w krokiet i siadał z nim do obiadu. Nabrał wnet gustów pańskich, dobrych manier i wyszkolił w sobie czujny instynkt, mówiący mu, co wolno, a co nie wypada, co się nie podoba. Wyczuł istotę tego środowiska, wyrobił w sobie samokrytycyzm i cenną autodyscyplinę.

Szkoła nie zatarła w malcu stempla dżentelmenerji. Uczył się zrazu licho, potem coraz lepiej, lubo nie przykładając się do książki. Tkwiła w nim wszakże głęboko utajona ambicja dorównania tym, na których się zapatrzył. Powieści dla młodzieży, później wszystkie książki bez wyboru osładzały mu czasy szkolne i tęsknotę za koniem. Śnił o wyścigach, o strzelbie, o łyżwach, nartach. Wszystko, co wchodziło w dziedzinę sportu, zwłaszcza oprawionego w wykwintne ramy, miało dla niego urok nieprzeparty. Nie można było

oderwać go od ryciny, przedstawiającej dworskie polowania, wyścigi konne lub saneczkowanie w Szwajcarji, czy bal w barwnych kostjumach XVIII wieku.

Wstąpiwszy na wydział prawny uniwersytetu warszawskiego, zaliczał już do sportu instynktownie karty, do których przystępował z uczuciem sportsmana. Trzymał się najbogatszych kolegów i na nich kształcił w swej sztuce, polegając już wówczas na dochodzie z zielonego stolika tyle, co na hojnej pensji od rodziców.

Wkrótce paradował po Warszawie w mundurze kawaleryjskim, a wojskowość tak sobie upodobał, że jedynie ta okoliczność, iż, jako Polak i katolik, nie miał widoków awansu, kazała mu wyrzec się szabli i konia. Wrócił znów na ławę uniwersytecką, krótko przed wybuchem wojny, która porwała podporucznika ułanów na wschód, a wkońcu umieściła, już jako rotmistrza, w szeregach generała Dowbór-Muśnickiego.

W czasie konferencji pokojowej Juljan funkcjonował jako kurjer rządu polskiego, zaczem wstąpił do ministerstwa spraw zagranicznych. Na krótko tylko. Bo przecież zimą musiał przez miesiąc nartować w Zakopanem, potem musiał polować na dziki w Karpatach, a wreszcie nie mógł nie pojechać do Włoch z pewną warszawianką o niepolskiem nazwisku, która pragnęła oglądać Italję, odbitą w płomiennych źrenicach swego przybocznego bóstwa, za co składała mu w ofierze nietylko swą problematyczną cnotę, ale także owoce bankierskich zabiegów ojca.

Wakacje, spędzone po tej podróży u znajomych hrabiów na Podolu małopolskiem, przedłużył sobie i wy-

plątał się łatwo z ramion syreny. Wszędzie przyjmowany, mile widziany, nawet poszukiwany, przenosił swój afekt z jednego na drugi kwiat cieplarniany.

Gdy po wojnie rotmistrz pojawił się przed matką, Pierinne'a zalewała się łzami radości, nie mogła nacieszyć się jego orderami, całowała go po rękach i błagała, by został generałem. W teorji chciał pójść za jej radą, czując, iż na żołnierza jest stworzony, lecz rozpieszczony przez życie, jeszcze więcej chciał pędzić dni bez najmniejszych więzów i obowiązków. Wydoskonalił już swój talent do kart, zwłaszcza pokera, i zdawało mu się, iż ma lekki chleb w ręku.

Wyhodowana od dziecka intuicja pozwalała mu odgadywać fluktuacje w umyśle przeciwników, a nie paraliżowała go żadna stawka. Skoro gra dochodziła do zawrotnych wyżyn i zamieniała się w chytry pojedynek na florety, wtedy zimny i okrutny wychodził na udeptaną ziemię. Potrafił zawahać się, lub brawurować w momencie, gdy chodziło o sugestjonowanie partnerowi błędnego mniemania, o wyprowadzenie go w pole, ogłupienie, oszukanie. Miewał, w terminologji Fajfra, bluffy pomysłowe, nieporównane, poprostu genjalne.

W istocie musiały tkwić w nim zbójeckie czy piekielne moce, jeśli, w pierze obrósłszy, niebieski ptak zerwał się do wielkiego lotu i stawił czoło Europie.

Na Jasnym Brzegu, tak wszechstronnie i doskonale do wytwornego zbiorowiska herbów przystosowany, syn kamerdynera czuł się jak ryba w wodzie. Nie potrzebował tam udawać, grać roli hrabiego — on nim był, Zatracił zupełnie świadomość swego pochodzenia. Ów hrabia spozierał nawet trochę z góry na książąt i lor-

dów, nosząc w sobie pewność, że, wyjęci ze swych ram i odarci ze swych szat historycznych, nie dorównaliby wcale Zawoi.

Utwierdzony w tem przez fenomenalne powodzenie, byłby popadł w arogancję, gdyby nie dość wysoka kultura umysłu i miłość, a mianowicie — Sabinka. Odkrył swą piętę Achillesową, odkrył serce, i poczęły się z nim dziać dziwy. Zapatrzył się w fascynujące blaski Fata Morgany, wyciągnął do niej tęskne ramiona i szedł ku niej, szedł...

V.

Wielki gracz nie zaniedbywał niczego.

Chcąc zdobyć córkę, trzeba było podbić matkę, uzyskać przywileje przyjaciela domu i wysoko stanąć w pojęciu hrabiny. W przekonaniu, że kobiety biorą pozory rzeczy za rzecz samą, a z błahostek wyciągają daleko idące wnioski, upozował się na poważnego człowieka. Tak jak pierwszego dnia, zasiadał sam do śniadania na werandzie hotelowej niemal codziennie i przy czarnej kawie poczynał czytać gazety i książki, już nie dlatego, by przyglądać się pannie Sabinie, lecz, by wywrzeć na hrabinie dobre wrażenie. Zamiast jadać śniadania ze złotą młodzieżą i oblewać burgundem, hr. Zawiejski, lubo uznany lew sezonu, zadowalał się względnie skromnem „menu“ i sam z sobą spędzał godzinę przy półbutelce Médoc‘u lub przy wodzie Vichy. Umiał się bawić, niemniej jednak był to w gruncie rzeczy poważnie myślący człowiek. Wobec tego odkrycia, ogromne jego sukcesy nabierały w oczach hrabiny jeszcze

większego blasku. A nie inne wrażenie musiało to wywierać na pannie Sabinie, dziewczynie wprawdzie jeszcze naiwnej, lecz, jak wiedział, bynajmniej nie płytkiej. Wyczuwał w niej głębie, których natury, ani rozmiarów nie umiał określić.

Oczywiście nie poprzestawał na tem. Pragnął rozmowy z hrabiną w cztery oczy. Gdy przeto ujrzał ją wychodzącą z rana nad morze, pośpieszył wślad za nią i niebawem siedział obok niej na ławce pomostu. Począł ją mimochodem i bardzo ostrożnie wtajemniczać w swe fikcyjne stosunki rodzinne, czyli kłamać, a gdy wszedł w obręb wspomnień wojennych, rozgadał się interesująco.

Okazało się, że hrabina miała o kilka lat od Sabinki starszego syna i straciła go w jednej z pierwszych potyczek z bolszewikami, pod Lidą. Odtąd szwankowała na zdrowiu, a ostatnio silna influenza tak dała się jej we znaki, że wyjazd na południe stał się konieczny. Opowiedziała Zawiejskiemu wszystko, co wiedziała o ostatnich chwilach syna, a on skorzystał z tego, by grać na strunach matczynego serca, jednać ją sobie głębokiem współczuciem. Owoce tej polityki ujawniły się bezzwłocznie. Gdy po takiej rozmowie miał ją opuścić, hrabina odezwała się:

— Otrzymałyśmy z kraju plikę gazet i przeczytały. Jeśli hrabia chciałby je przejrzeć...

— Bardzo pani hrabina łaskawa. Pozwolę sobie przysłać po nie służącego.

A nazajutrz, gdy hrabina i Sabinka siedziały jeszcze przy śniadaniu, zjawił się przed samotnym Zawiejskim Kazio:

— Mama pyta się, czy p. hrabia nie zechciałby wypić kawę przy jej stole? Chce się o coś spytać.

Przy tej okazji Zawiejski powtórzył paniom najciekawsze wiadomości o zimującem w Cannes towarzystwie, przystroiwszy je w kwiatuszki żartobliwości, i łatwo zdobył markę miłego causeur'a.

Uważał za stosowne spędzać od czasu do czasu półgodziny z hrabiną samą. Dnia tego, wyszedłszy na deptak, poszukiwał jej tu i owdzie, lecz zastał ją w towarzystwie hrabiny Lanzi, otyłej damy włoskiej, odznaczającej się nachalną uprzejmością, zwłaszcza względem hrabiny Moreckiej, bez której, zdawało się, żyć nie mogła. Zamieniwszy więc kilka słów, podążył dalej.

Ujrzał na ławce pergaminową maskę ekscelencji pana Holtz-Kętrowicza, eksministra austrjackiego, wspartego na staroświeckiej lasce, może pamiątkowej, jakby ze zbioru cesarza Franciszka Józefa wydobytej. Obok ekscelencji spoczywała wygodnie rozłożona, trzydziestoletnia, uderzająco wystrojona nie dama, lecz pani, w której Juljan w pierwszem spojrzeniu odgadł typową magnatkę świeżej daty. Upstrzyła się ona mnóstwem świecidełek, palce obładowała pierścionkami i spozierała dokoła siebie, jakby pytając: „Ile kosztuje to całe Cannes?“ Nie przybyła tam chyba dla poratowania zdrowia.

Ukłoniwszy się ekscelencji, Zawiejski miał go minąć, gdy dogonił go starczy głos:

— Może pan hrabia będzie łaskaw na chwilę...

Juljan zbliżył się do ławki.

— Przepraszam pana hrabiego — począł p. Kętrowicz z potrójnem „r“. — Moja dzisiejsza łaskawa to-

warzyszka dopytywała się o hrabiego dwukrotnie. Pozwolę sobie zatem przedstawić... p. hr. Zawiejski — pani radczyni Wojkowska z pod Sącza. Moja rodaczka. Pan hrabia pochodzi, zdaje mi się, z Rosji?

— Nie z Rosji, z Polski, z Podola — odparł dość ostro Zawiejski, gdyż zdawało mu się, że ta „wiedeńska małpa“ poczytywała wszystko, co leżało na północ od Miechowa i Sandomierza, za Rosję, czyli za pół Azję, daleką od błogosławionego słońca państwa i dworu austrjackiego.

— Pani radczyni mieszkała pierwotnie w naszem cichem a dystyngowanem Beau Rivage, ale porzuciła nas.

Tu pani Wojkowska jęła uzasadniać ten swój krok wyczerpująco, nie zdejmując przytem wzroku z Zawiejskiego. Przeniosła się do hotelu Beau Site — gdyż mieścił wiele więcej pokojów niż Beau Rivage, aż 300, posiadał daleko większy ogród i pięć własnych placów tennisowych. Już tylko tego brakowało, aby pani radczyni była ich poinformowała, ilu tam mieszka hrabiów i książąt.

— Z kim to pan hrabia figurował w pięknym swym w glicynje ubranym dog-cart‘cie na ostatniej „walce“ kwiatów?

— Z panią Egerton.

— A za panem hrabią kto jechał w tym wspaniałym ekwipażu, z którego bombardowano w hrabiego różami?

— Wicehrabia Pembroke z kuzynkami i pewnym oficerem.

— Pan hrabia obraca się głównie wśród kół angielskich i francuskich, a nas Polaków bojkotuje.

Zawiejski zaprzeczył, a pani Wojkowska wpadła w zachwyt.

— Prześliczny był pański wehikuł — najpiękniejszy może, w każdym razie najgustowniejszy. — Prawdziwie bon-ton. Zdało się, że ten siwy konik ma zamiast chomąt pnącze glicynij. Serdecznie cieszyłam się nagrodą, jaka dostała się hrabiemu. Popielaty kapelusz jego i strój jego towarzyszki były doskonale dostosowane. Ale pani Egerton to już starsza osoba...

— Starsza. Powieściopisarka angielska.

Nie podobało się to trochę pani radczyni.

— Ale zapewne z arystokracji angielskiej?

— Przez nieboszczyka męża należy do niej, a pochodzi ze szlachty irlandzkiej.

— To wdowa. Bogata?

— Ogromnie bogata — bąknął Julјan.

Przyrzekłszy jej półgębkiem wizytę, uciekł, przyznając jednak, że, bądź jak bądź, ta rumiana, dobrze odżywiona, przystojna kobieta, mogła się podobać mężczyznom.

Dlaczego ekscelencja nazywał ją przed Zawiejskim w swej łaskawości „radczynią“, pani Ella nie miała pojęcia. Jej dymisjonowany małżonek mógł był zostać chyba radcą paskarzy i spekulantów. W tem, coprawda, ona sama dorównywała mu świetnie, tak, że czasu wojny i później prawie z niczego dorobili się bardzo znacznej fortuny. Zaczem nastąpił rozdział majątku i separacja. Pani Ella bowiem, jako właścicielka dóbr, przyszła do przekonania, że „może zrobić wiele lepiej“.

Żałowała teraz, że wyprowadziła się z hotelu Beau Rivage, gdyż byłaby mogła tam łatwiej zbliżyć się do tego eleganckiego hrabiego, mającego tak świetne stosunki towarzyskie. Kto wie, czy zamiast podstarzałej owej Angielki czy Irlandki nie zabrałby jej w swój ekwipażyk na walkę kwiatów i nie wprowadził w najwyższe koła towarzyskie? Było ją doprawdy stać na to. Kto wie nawet, czy ten hrabia Zawiejski, jeśli jest inteligentnym człowiekiem, nie zechciałby zostać następcą t. zw. „radcy“ Wojkowskiego?...

Mężczyzna, jak malowanie. A sportsman i hrabia!..

Gdy w braku kogoś młodszego pani radczyni „flirtowała“ ze zgrzybiałą ekscelencją, Zawiejski zbliżał się do grona osób, przygodnie na deptaku zebranych, skąd wyleciało ku niemu najpierw długie, sympatyczne spojrzenie wysokiej, chudej damy, wspartej na laseczce. Ubrana bezpretensjonalnie, w lekki kostjum angielski, a jednak od stóp do głów nacechowana nieuchwytną elegancją, pani Egerton stanowiła żywe przeciwstawienie pani Wojkowskiej. Nie farbowała i nie ukrywała swych siwiejących za wcześnie włosów, chociaż z niebieskich jej źrenic biła jeszcze młodość.

Zanim Zawiejski powitał przyjaciółkę, wyciągnęła się ku niemu długa, niewieścia ręka Monseigneur‘a.

— Voici Zawiejski!... On nam powie. Sprzeczamy się o to, kto lepszy: mężczyzna czy kobieta.

— Mężczyzna jest lepszy... dla kobiety, aniżeli dla mężczyzny, a kobieta dla mężczyzny, aniżeli dla kobiety. Z wyjątkiem własnego męża...

Za przykładem Monsegneur‘a witano go niemal serdecznie. Baron Rotschild, który świeżo przyjechał

do Cannes, zanotował sobie w pamięci, że tego hr. Zawiejskiego trzeba zaraz wciągnąć na listę osobistości, które zamierzał zaprosić na obiad do siebie.

— Nie dam panu tak łatwo wykręcić się od odpowiedzi na pytanie Monseigneur'a — rzekła do Juljana pani Egerton. — Powtórzę to pytanie raz jeszcze.

— Proszę pani, wszystko — na szczęście nasze — jest względne. Bez tego stałoby się nudne prędzej czy później. Kto jest lepszy: mężczyzna czy kobieta, nie wiem. Dla nas istnieją tylko... mężczyźni i kobiety. To jedno sądzę, że naogół mężczyźni są lepsi, niż się chcą przedstawić, a kobiety o wiele gorsze... Ale niech pani tego nie powtórzy głośno.

— Wykłócę się z panem jeszcze o to — zaśmiała się pani Egerton.

— Albo pani się ze mną zgodzi.

— I to być może. Rzeczywiście, to bardzo możliwe.

W tej chwili znów Monseigneur zaczepił Zawiejskiego, który nie był jednak tak naiwny, by ostentacyjne względy jego brać za dobrą monetę i wić sobie z tego wianek chwały. Rozumiał, że tak każe księciu polityka salonowa. Po owym tak nieprzyjemnym wypadku w klubie, nie pozostawało mu bodaj nic innego, jak markować najserdeczniejszą dla niego sympatję, by suggestjonować wszystkim, że, jeśli przytrafiło mu się raz zapomnieć o długu honorowym, było to możliwe tylko dlatego, że owym wierzycielem był najintymniejszy jego przyjaciel, jego alter ego.

Tak sobie to tłumacząc, Zawiejski nie poszedł na lep miłości własnej i próżności. Wiedział też, ile są warte poklaski i względy tego towarzystwa, chociaż istot-

nie je lubił i wyżej je stawiał od innych, niższych kół towarzyskich. Oceniał te sympatje nie za wysoko, ale także nie za nisko: przyjmował je nie bez wdzięczności, jako kwiaty jednodniowe.

Z pewnością byłoby inaczej, gdyby nie panująca nad nim wielka namiętność, której następstwem było, że czuł się na dnie duszy bezmiernie samotny. Od czasu, gdy był pod urokiem Sabiny, wszyscy ludzie oddalili się od niego o kilka metrów, i miał dookoła siebie próżnię i pustkę. I w tej chwili, gdy otaczała go elita elity arystokratycznej starego świata, on był sam, bynajmniej nie dlatego, że był synem kamerdynera, lecz poprostu z tej przyczyny, że dla niego istniała na całym świecie tylko „ona" jedna. Wyczuwał jakimś nerwem serca jej nieobecność i było mu jej ogromnie brak. Jedyną istotą, która mogła mu poniekąd ją zastąpić, była pani Egerton, bo ona jedna ogrzewała pierś jego swem sercem.

Nawiedzały go różne myśli, prócz jednej, a mianowicie, co powiedziałby Monseigneur i całe to koło osób, gdyby kto zatrąbił im nagle w uszy: Ależ to syn kamerdynera!... Byłaby to świetna, nieporównana scena komedjowa czy farsowa. Ale to mu nie powstało w głowie. Niemniej rozumiał, że, gdyby miał postradać połowę swego blasku, to towarzystwo, zresztą jak każde inne, odwróciłoby się od niego plecami. Niemal całe, z wyjątkiem... pani Egerton. Poznał ją już tyle, że sądził, iż, gdyby jutro stanął przed nią w łachmanach, wyciągnęłaby do niego ręce tak, jak wówczas, gdy Monseigneur witał go serdecznie. Nie byłaby ona jedyną. Właśnie w środowisku arystokratycznem znalazło-

by się niemało takich wyjątków, gdyż mieszka w niem dżentelmenerja, nie pozwalająca nie znać żebraka, jeśli z nim, jako równym, siadało się do stołu onegdaj. Szanujący się książę poznałby w nim swego niedawnego towarzysza biesiady i podał mu rękę, by odtąd unikać spotkania z nim skrupulatnie. Co innego pani Egerton; ona nie przestałaby go znać, bo niezależna ta istota ceniła go ponad miarę i... kochała.

Skoro grono poczęło się rozprzęgać, Juljan i ona, jakby byli ukartowali to zgóry, tak manewrowali, że niebawem we dwoje maszerowali po deptaku hen — w stronę Croisette'y.

— Stawiłem się na lekcję — bąknął Juljan.

— Czego? Ja hrabiego nie mogę nauczyć niczego.

— Przepraszam; uczy mnie pani cennej rzeczy: sztuki pięknego myślenia.

— To źle. To obciąża skrzydła, odbiera apetyt, humor i sen.

— A jednak pani działa tak zachęcająco pod tym względem.

— Myślenie jest ostatnią pociechą tych, dla których skończyło się życie.

— Ale ono nie kończy się dla tych, co umieją myśleć.

— To brzmi pięknie, wspaniałomyślnie, lecz hrabia sam w to nie wierzy. Kto naprawdę całą piersią żyje, nie powinien myśleć.

— Więc co?

— Poprostu żyć, być szczęśliwym. A jestem pewna, że pan należy do tych szczęśliwych, co umieją być szczęśliwi... To wielki dar niebios. I właśnie temu za-

wdzięcza pan najwięcej sympatji u ludzi. W panu jest żywioł.

Raptem Juljan przystanął i roześmiał się.

— Pani jest horrendalną istotą... Najpierw zakazuje mi pani myśleć, a potem robi wszystko możliwe, abym musiał myśleć. Tylko kobieta może być tak nielogiczna. Dodać winienem: tak przyjemnie, czarująco nielogiczna. Dzień, w którym wszystkie kobiety staną się nieubłaganie logiczne, będzie pogrzebem kobiecości.

Pani Cyntja roześmiała się mu w oczy, a on perorował jeszcze z komicznym ferworem.

— Horrendalna jest pani, jak Ewa, która niedość, że zwraca uwagę Adama na owoc zakazany, ale potem ciągle wskazuje go palcem, nie pozwala mu o nim zapomnieć, przynosi mu przedsmak tego owocu. Kobieta sama jest zakazanym owocem. Jest jak trucizna; w małej dawce działa wzmacniająco, niby arszenik, w dużej — zabija. Cała głupota Adama polegała tylko na tem, że zjadł jabłko całe.

Ruszyli dalej żołnierskim krokiem, tocząc takie szermierki, dotykające ich strun serca i duszy dość blisko, aby były bardzo interesujące, a nie tak blisko, aby były poufałe.

Miłe ciepło i oddech wód morskich wytwarzały rajską atmosferę, która panowała między nimi, gdy tak wędrowali pod palmami po asfaltowym deptaku, coraz dalej od ludzi, wzdłuż długiej girlandy luksusowych hoteli, willi i pałaców w kwiatach. Pozostał za nimi olbrzymi Cercle Nautique z dwoma jakby stogami siana, rozmieszczonemi nad szczytem fasady, i wśród subtelnych zapachów rozgrzanych w słońcu krzewów do-

tarli do kresów lądu, wrzynającego się ostrym trójkątem w szafirowe kryształy morza. Minęli małą świątynię grecką, świetny gmach restauracyjny i „ogród Hesperyd“, wspaniałą oranżerję ze zbiorowiskiem rzadkich roślin egzotycznych, i wreszcie przez plac, resztkami starodawnego bastjonu uszlachetniony, doszli na kraj cypla, gdzie przygwoździł ich szeroki, malowniczy krajobraz.

Ku zachodowi mieli przed sobą nad sierpem zatoki — Cannes z małym portem, latarnią morską, mnóstwem gmachów w głębi, ze wzgórzem Chevalier, gdzie ze spiętrzonego zespołu domostw wyrastały wieże zamczyska. W wolnem od wilgoci powietrzu wyraźnie rysowały się woddali potężne wzgórza Tanneron i Esterel. Z drugiej strony otwierał się widok na pinjami obramowaną zatokę Juan, na przylądek Antibes, na fale pagórków nad Niceą i dumną górę Aget. A gdy zwrócili się ku morzu, ujrzeli bliską wyspę św. Małgorzaty, na której skalistej ścianie wznosił się ogromny ponury fort, owiany romantyczną legendą. Wszystko to wzięło ich w ramiona, ukołysało uroczystą ciszą i na poważną nastroiło nutę. Wsparci o chropawe, gąbczaste głazy, roztopieni w tym pejzażu, zamilkli.

I jeszcze wówczas, gdy łódź zabrała ich zpowrotem, długo milczeli. Juljan myślał, kiedy uda mu się nareszcie oswoić tę jego płochliwą sarenkę tak dalece, by raczyła z nim przyjść w to rozmarzone zacisze. Ogarnął go smutek tęskny i głęboki, bo wydała mu się tak ogromnie daleka od niego, jak te kontury wzgórz na zachodzie, spadające na pobrzeże. Coś mu szeptała, że w niej kryją się skarby miłości, lecz czy

ona go kocha?... Czy przeczuwa, jaki bezmiar szczęścia nosi on dla niej w piersi?...

Pani Egerton w milczeniu spozierała w posmutniałą twarz towarzysza i ze ściśnionem sercem domyślała się, że odszedł od niej do tej złotowłosej polskiej dziewczyny, którą raz, niepostrzeżenie przez innych, a w jej oczach argusowych, oplótł tak szczelnie miłosnem spojrzeniem, że powiedziało jej to wszystko.

Smutek przyszedł do nich nawet tam, w ten kraj kwiatów, lazurów i słońca, gdy tak płynęli cicho, niby po tęczach barw, kojących dusze. Bo smutek jest wszędzie, gdzie są ludzie.

VI.

— Z kim to tańczyła pani przed chwilą?

— Z hrabią Lanzim. Czy pan go nie zna?

— Ah, to młody Lanzi... Przedstawiono mi go onegdaj w klubie, lecz nie zwróciłem uwagi na nazwisko. Czy to syn hrabiny Lanzi, którą widuję z pani mamą?

— Syn. Przyjechał onegdaj.

Umilkli. Oboje teraz rozumieli, co kryło się za przyjaźnią starej hrabiny Lanzi dla hrabiny Moreckiej, przyjaźnią tak gwałtowną, że nie można było uwolnić się od niej.

Poprostu włoska hrabina wybrała sobie Sabinę na swoją synowę. Gdy obejrzała sobie córkę i matkę ze wszech stron, sprowadziła syna z Turynu, pewna, że łatwo zapalny, młody oficer zakocha się odrazu po uszy w jasnowłosej, ślicznej i, jak to już wiedziała, bogatej

Polce. Za Cezarem rzekłszy jej: veni, vidi, vici, Kamil wykradnie jak Rzymianin Sabinkę, aby błyszczała pięknością na niebie towarzyskiem Włoch i przysporzyła zarówno majątku, jak splendoru rodzinie Lanzich.

Nowy rywal wyrósł przed Zawiejskim.

Znał ich wszystkich. Nie obawiał się magnackiego Belgijczyka, pana de Bosompierre'a, co wyłupiastemi oczyma wieloryba wodził po sali za Sabinką i groził oświadczynami, ani pana Legrange'a, dystyngowanego dyplomaty francuskiego, chociaż mógł on omotać dziewczynę swadą i perspektywą wielkiego świata francuskiego. Najgroźniejszym wydał się Juljanowi ów książę Zygmunt, co tak wytrwale krążył wokoło panny Moreckiej. Kochał się w niej, jak umiał najmocniej. Że młody magnat, z wielkiego rodu, sympatyczny i nawet zacny człowiek bez zarzutu, zyskałby placet hrabiny Moreckiej na małżeństwo z jej córką, Juljan nie wątpił ni chwili. Pocieszał się jednak tem, że książę sam nie ośmieli się na krok stanowczy.

Przecież w tej sferze związki małżeńskie klecono w taki sam sposób, jak na dworach monarszych. Po długich oględzinach, namysłach, konszachtach, intrygach, wybierano oblubienicę dla młodzieńca, do Hymenu dojrzałego, i podsuwano mu ją, doppingując stosownie, by się w niej rozmiłował.

Ponieważ w tym wypadku rzecz nie była zgóry ukartowana, a książę Zygmunt ośmielił się bez pozwolenia zająć się poważnie hrabianką Morecką, może nawet bez pozwolenia w niej zakochać, koniecznie trzeba było sprowadzić kogoś z rodziny z należytym mandatem do Cannes, by córkę i matkę poddał ścisłemu egzami-

nowi, zastanowił się nad uzgodnieniem tego ewentualnego marjażu z interesami rodziny i zawyrokował w tej sprawie.

Juljan miał przekonanie, że sprawa sercowa księcia Zygmunta weszła w to stadjum. Było źle, lecz miał czas, zwłaszcza, że hrabina Morecka, nie wiedząc, jaki obrót wezmą rzeczy, pozostawiła naturalny bieg wszystkiemu. Sabina zaś — i to największą przepełniało Zawiejskiego otuchą — zachowywała względem księcia Zygmunta jedynie sympatyczną neutralność. O miłości do tego duchowo anemicznego i pozbawionego indywidualności młodego człowieka nie mogło być mowy z jej strony. Wyszłaby ona za niego zamąż, gdyby jej tak nakazano i... gdyby nie było Juljana Zawiejskiego.

Chwilami groźniejszym wydawał mu się młodziutki i ładniutki jak lalka lord Aylesbury, w przyszłości markiz, z różową jak panienka buzią, milutki jak psiaczek modnej damy, wesoły, płytki, rozflirtowany nazabój. Gdy śmiał się zalotnie w oczy Sabinie, wściekłość kipiała w żyłach Zawiejskiego. Nie uśmierzało tej wściekłości nawet to, że „dotychczas“ odebrał temu „smarkaczowi“ dwa tysiące funtów. Byłby najchętniej chwycił go za kołnierz i odrzucił od niej. Wnet jednak przyszedł do przekonania, że dziecinnie próżny, oschłego serduszka lordzik poprostu zbiera wawrzyny sezonowe i pragnie włączyć w wianek podbojów sercowych śliczną Polkę.

Ale ten Lanzi! Zjawił się jak deus ex machina. Niebrzydki, lubo mniej niż średniego wzrostu oficer jazdy włoskiej mógł się bardzo podobać, chociaż elegan-

cja jego i pewność siebie kogucia wydawała się uprzedzonemu jak najgorzej Zawiejskiemu „fryzjerską“.

Jeszcze dwa, trzy dni, a matka jego, siedząc nad morzem z hrabiną Anną, oświadczy się o rękę Sabinki dla syna, który tymczasem szturmować będzie pozycję ogniście. Tu było niebezpieczeństwo aktualne, zazierające w oczy. Zawiejski uświadomił to sobie doskonale.

— Obiecała mi pani shimmy — ozwał się do Sabiny.

— Pamiętam. Ale to nie teraz jeszcze.

— Boję się, by hrabia Lanzi nie zabrał mi.. tego shimmy.

— O nie! — odrzuciła szybko, a Zawiejski miał wrażenie, że niemiłe jej było wspomnienie o młodym Włochu.

Poszła w pląsy, a on stał w grupie osób opodal wyjścia, trochę zachmurzony, przygasły.

Sto barw, sto świateł biło o jego źrenice i złote najady nęciły wzrok lśniącemi łuskami. Peruki najróżniejszych kolorów, wymalowane maski niewieście, nagie ramiona, plecy, gorsy — wszystko to wyprawiało przed nim korowody. Szelest, szum, muzyka czerwono wyfrakowanej orkiestry, za zielenią ukrytej, grała mu w uszach. Cały rozhowor karnawałowy odbijał się w olbrzymich zwierciadłach, powiększał w nich, olbrzymiał. Ale Zawiejskiego radował tylko widok tej dziewczyny, która w myślach należała już do niego, bo należeć musiała...

Cudna była, zjawiskowa, najśliczniejsza pod słońcem!..Na koszulkę, widomą u góry, narzucono jej srebrnobiałą tunikę, nakropioną lśniącemi robaczkami świętojańskiemi. U góry lamowana wąskim, srebrnym szla-

kiem, dołem przystrojona była bogato girlandą srebrnych liści. Nad marmurem czoła świecił diadem nieznaczny ze srebrnej dębiny, a szyję jej oplatał trzykrotny wianek pereł. Wszystko to Zawiejski notował w pamięci i tak ubraną dziewczynę swoją fotografował w duszy, aby obrazek ten dołączyć do zbioru innych jej podobizn. I kochał świat za to, że istnieje na nim takie cudne stworzenie...

Przedziwnie biała, z piany morskiej utoczona, ona jedna nie miała na sobie ni szczypty pudru i, wśród zbiorowiska malatur, jaskrawych podkreśleń, krzykliwych efektów i bachijskich strojów, dostojna a skromna w swem na czole wypisanem dziewictwem, wydawała się srebrnobiałem zjawiskiem, co po wstędze księżycowych blasków spłynęło na ziemię w noc świętojańską. Juljan porównywał ją z innemi gwiazdami na sali, starał się być jak najbezstronniejszym w sądzie o nich, uznawał wartości ich urody, jednakże sądził, że królową balu bezspornie okrzykniętoby tę polską dziewczynę.

Ale królowę wieczoru wyznaczono zgóry, według nienapisanej konstytucji towarzyskiej, w osobie dość ładnej, młodej księżny de Vallentinois, córki miłościwie pod auspicjami rulety panującego księcia Monaco. Na cześć jej i chwałę przystrojono salę w festony o barwach domu Grimaldich i wodzirejom przyczepiono powyżej lewego ramienia biało-czerwone pęki wstążek. Zawiejski przypomniał sobie, że te wstęgi wkładają nań pewne obowiązki, i utonął gdzieś w ciżbie.

Gdy zagrano shimmy, zbliżył się do hrabianki.

— Pani się bawi?

— Bawię... Śliczny bal.

— Niebardzo to brzmi entuzjastycznie. Raczej konwencjonalnie.

— Tak jest w istocie. Ot, bawię się...

— Spotkało panią coś niemiłego...

— Prawda... — szepnęła i pochyliła głowę tak, iż miał przed oczyma długie, ciemne jej brwi, w których zauważył teraz tu i owdzie złote włoski.

Potem podniosła na niego jasne spojrzenie, przywarła się do jego boku, i zakołysali się w takt skocznych tonów, nastroili według podanego rytmu, zharmonizowali i rozśpiewali fizycznie w muzyce.

Panna wyprostowała się, odrzuciła głowę trochę wtył i spotkała jego kasztanowe, rozkochane oczy. I wnet pochyliła się nieco jej głowa, zapachniały mu jej włosy, zaświeciła najukochańsza kula słoneczna. Przeszył ich dreszcz, ogarnęła ciepłota. Tancerz chwytał nozdrzami zapach jej szyi i zbyt ukrytego biustu, wyczuwał miąższość i elastyczność jej członków. Ogarnęło go wrażenie, że ma ją w rękach obnażoną jak nimfę, i gdy w narożniku sali ktoś wśród par ściżbionych trącił ją łokciem, nastąpił bluff, jakby pokerowy. Niby to, ażeby ustrzec ją instynktownie przed kułakiem, opiekuńcze ramię tancerza przycisnęło ją do piersi, i dziewczyna legła na niej jak złamana gałąź jaśminu. Trwało to moment przelotny, lecz dość długo, by rozgorzeć przy drobnych globach piersi i przeżyć chwilę dojmującego upojenia.

— Ciżba nieznośna... Uderzono panią... — wyłgiwał się tancerz, uczuciowo jeszcze przy puklerzach dziewiczych.

Wyplątali się z fermentów, przepłynęli na drugi koniec parkietu.

Panna zadyszana stanęła.

— Zmęczona jestem trochę. Porozmawiamy, jak wtedy...?

Przeszli do oszklonej hali, obramowanej bardzo gęsto olbrzymiem listowiem roślin tropikalnych, gdzie roiło się od stolików marmurowych, barwnych kozetek i fotelików. Niewiele ujrzeli tam osób. Przy jednym tylko stoliku czerwieniły się dwie postaci: jedna w zielonej, druga w rdzawej peruce, chudość swą pokrywające bardzo niedbale zwojami krzyczącej gazy, którą zwiniętą możnaby było ukryć w kieszeni marynarki. Damy te paliły papierosy, piły wino i rozmawiały ze swymi kawalerami w kabaretowym tonie. Przyglądał się temu wygalowany lokaj, bezczynnie stojąc nad tacą z chłodnikami.

Postawił przed Sabiną i Juljanem lody i czarki szampana. A w niej grało już wino, którego nie piła jeszcze. Rozkiełznana, rozhulana przytknęła kieliszek do ust.

— Zatańczyłabym mazura!

— Rzeczywiście?!... To myśl. Zatańczymy mazura i oberka. Nie dziś — za tydzień. U pani Egerton, która urządza u siebie wieczór choreograficzny.

Sabina, siadłszy w foteliku, cisnęła mu w twarz badawcze wejrzenie.

— Chciałby hrabia zrobić przyjemność przyjaciółce...

— Przyjaciółce?

— Czyż pani Egerton to nie przyjaciółka hrabiego?

Ona, która o nim rozsiewa jak groch pochwały i niemal ekstazy?

— Istotnie, bardzo łaskawa. Niezasłużenie. A ja niewdzięczny nie myślałem o niej w tej chwili. Pragnę zrobić przyjemność pani i sobie. Zwerbujemy na ten wieczór panią Kromiczową i...

— To byłoby ślicznie!

— Muszę przylepić sobie wąsy — bąknął niby to poważnie.

— Nie!! — zaśmiała się na głos dziewczyna, a on zachwycony porwał ją spojrzeniem, jak faun. Chciał nosić dzieciaka na ramionach, huśtać, bujać, coś mu śpiewać, pieścić i całować, całować.

— Więc mazur. Za tydzień zobaczy pani samą siebie... w kontusiku. Dobrze?

— Co to za fantazja!

— Mazur bez kostjumu to pół mazura.

— Ale przez tydzień...?

— Przez tydzień Napoleon rozgromił Prusy całe w r. 1806, więc...

— Żarty!

— Żart zrealizowany — to przepyszna zabawa — rzekł Juljan, widząc już w myślach Rajewskiego, pędzącego do Warszawy po kontusze.

— Wyśmieje mnie pan. Odpowiem na to, jak podlotek: „spytam się wpierw mamy". Ha! ha!

— Och, mamy!... To taka przerażająco mądra instytucja. Za mądra dla mnie... Zła sprawa. Mama pani ofuknie mnie, w kąt postawi i jeszcze rózgą wysmaga...

— Ha! ha! Tableau! Chciałabym dożyć tego, by zobaczyć, jak mama moja stawia pana w kąt i rózgą...

ha! ha! Zanim to nastąpi, rzucę okiem i zobaczę, jak mama mi się sprawuje. Czy się bawi.

Powstała, zbliżyła się do otworu drzwi. Naturalnie, znów hrabina Lanzi czuwała nad jej mamą! Przygotowywała teren do oświadczyn. Będą ją nudzić, nękać, dręczyć, ofiarowywać. Nie dadzą jej żyć...

Ach, ten Lanzi! Obcy, a bezczelny i zuchwały. Chciał z nią tańczyć po swojemu! Bezecny. Przekonał ją o tem, że ona umie być okropnie zła.

Odwróciła się do Zawiejskiego — pogodna jak gwiaździste niebo. A Juljan przez ten czas, skubiąc przystrzyżony wąs, mówił sobie, że takie szczebioty karnawałowe, dobre w liczniejszem gronie osób, nie zaprowadzą go daleko z tą dziewczyną. Trzeba mówić z nią, jak nikt inny, korzystać z upragnionego sam na sam, uderzyć w struny jej serca — sercem.

— Ach, żeby to można gdzieś lecieć, frunąć daleko, wysoko!... — wyśpiewała Sabina z westchnieniem, siadając w foteliku.

— Lecieć do szczęścia...

— A gdzie ono jest?

— Bardzo blisko! — rzucił szybko i czelnie Juljan.

Po śniegach jej twarzy przeszedł błysk łuny. Odwróciła twarz do wiązanki goździków, w wazoniku obok niej stojących. Strasznie zalękniona wyjęła bezwiednie bujny kwiatek z kielicha i przytknęła do ust.

A on czytał w niej przez chwilę, poczem mówił spokojnie:

— Chamfort i inne mądre głowy utrzymują, że, jeśli wogóle gdziekolwiek szczęście możemy znaleźć, to tylko w sobie. W sobie, to znaczy w sercu... Rzeczywistość

jest wielkiem zerem, przed którem stawiamy dowolne cyfry, jakie dyktuje nam zwykle król istoty naszej, nasze serce... Co można zrobić z szarej, bardzo szarej rzeczywistości i jak można wspiąć się do zenitu szczęścia, widziałem na własne oczy. Dotykałem się tego tak, jakby tego stołu. Ale to zaprowadziłoby nas daleko...

— Niech pan mówi, proszę — zawołała żarliwie. — Niech pan mówi, co pan myśli.

— Zaczyna się to, jak w bajce Kraszewskiego: „Był sobie dziad i baba, bardzo starzy oboje“. Bardzo byli starzy: on miał ośmdziesiątkę, ona niewiele mniej. Ale bardzo młodzi sercem, pełni wiośnianej wiary w życie, w ludzi, w przyszłość kraju...

— To cudowne. A ja właśnie niedawno czytałam taką przygnębiającą powieść. Powieść Maupassanta: „Życie“. Chwilami chciałam wołać do tych jego kreacyj: wy nie umiecie nic ukochać.

Rozpromieniła się, i zdało się, że ma u ramion skrzydła.

— Mogłaby pani wołać tak do miljonów ludzi, a byłaby pani, jak wołająca na puszczy.

— A ta para staruszków...?

— To było dla mnie rewelacją. Nie widziałem dwojga istot, tak w sobie zakochanych. Źle się wyrażam: „w sobie“. Nie, jedno w drugiem. Zapatrzyli się jedno w drugie, zatracili, on żył dla niej i ona dla niego. Egoizm ludzki splątał się z altruizmem tak, że niczego w tem rozpoznać nie było można, prócz skończonej cudownej miłości. Uwidoczniało się to nietylko w wielkich, ale i w najtrywjalniejszych sprawach codzien-

nego bytowania. Ot n. p. przy obiedzie: on myślał, czy niema przewiewu, którego obawiał się dla niej, a ona myślała, czy on lubi tak przygotowane zrazy. Dowiedziałem się u nich, że miłość ma taką moc cudowną, iż w prozę życia wplata złotą nić poezji i szczęścia... I to poszukiwane szczęście szło z nimi, pod królewskim płaszczem ukryte, wyzłacało bardzo twardą dolę w dworku wiejskim i sypało im pod nogi snać czarodziejskie zioła, jeśli w ich zapachu pozostali tacy pogodni, zadowoleni, wyanieleni i dobrzy jak słońce...

— Zaczepiłem go kiedyś w tej materji — ciągnął Juljan. — Zrazu był niesłychanie zdumiony; taka miłość zdawała mu się najnaturalniejszą, nagminną rzeczą na świecie. Po zastanowieniu tak mi powiedział: „Jak ja nie mam kochać swej Mani, kiedy to moje dziecko? Bo ona nie istniałaby wcale na ziemi, gdyby nie była wyłoniła się z mego serca...“

— Ach... — wyrwało się z rozchylonych warg dziewczyny, wsłuchanej w jego opowieść całą duszą, jak w najcenniejszą naukę. A on, przysunąwszy się z kozetką tuż przed jej kolana, mówił dalej:

— Ludzie są jak owa Peri, anioł z raju wygnany, co u bram jego jęczy i szlocha, błagając, by otworzyły się przed nią podwoje. Nic jej nie pomogą łzy, ni zaklęcia: „Sezamie, otwórz się“. Pani zawołałaby do niej, jak do figur tej maupassantowskiej powieści: „Wstąp w siebie, w sanktuarjum swego serca, a gdy pogłębisz je i wykrzeszesz z niego promień znicza miłości, co stworzył świat, wtedy ty sama otworzysz sobie bramy raju, i już nikt nigdy z niego cię nie wypędzi...“

Tem, co ten dziwny człowiek jej nucił, Sabina tak

była do głębi przejęta, że w zupełnej niepamięci o tej muzyce frywolnej, co dolatała z sali, w niepamięci o świecie całym, w upojeniu nieznanem podniosła ręce i przycisnęła dłonie do czoła, zamykając powieki.

Jej trubadur ciągnął jeszcze zcicha:

— Rajem jest świat dla tych, co umieją kochać, i oni posiedli kamień filozofów... Innego raju niema dla nas śmiertelnych, ale będą do niego wpuszczeni tylko ci, w których duszy przegląda się niebo...

Umilkł, zatonął w obrazie wniebowziętej dziewczyny, którą miłość wzięła w posiadanie, i modlił się do niej: Ty wymarzona... ty najcudniejsza... ty słońce... I wśród milczenia, niby murów kaplicznych czy ustroni leśnych, odetchnął głęboko i w cichym paroksyzmie najwyższej miłosnej tęsknoty rozpostarł przed nią rubinami wyiskrzone westchnienie, siebie całego do stóp jej ścieląc:

— Miłość... Miłość...

Przysłoniła oczy dłonią, bo zdało się jej, że z tego okrzyku serca wyłoniły się powoje gorącej tęsknicy i oplatają całą jej istotę, zabierając ją na własność...

Muzyka umilkła. Rozgwar wtargnął w zielone zacisze ich raju.

— Pauza... — bąknął Juljan.

Ona jeszcze nic bodaj nie słyszała, nie wróciła jeszcze na ziemię.

Spojrzała na niego i poprzez lśniące źrenice rzuciła mu w odpowiedzi na wszystko szczere, zupełne wyznanie, całe swe rozdrgane, gorejące serce, siebie całą...

Juljan pochwycił błyskawicznie to jej spojrzenie, jak z głodu umierający chwyta kęs chleba, schował skarb nad skarby gdzieś głęboko w zanadrze i — uśmiechnął się do kogoś, jakiejś damy, co mówiła do niego:

— Och, pan hrabia Julek wie, co jest najlepszą cząstką zabawy.

Zalał cieplarnię strumień szeleszczących jak sitowie figur, obramowały ich bukiety gęsto przy stolikach skupionych osób i wnet, jak trzaskające karmelki, poczęły strzelać lotne żarciki. Tu i owdzie latały w powietrzu kwiaty, papierowe pajace, barwne kule.

Aby jej nikt nie zaczepił słowem, Sabina jadła pilnie lody z nisko spuszczoną głową — a Juljan brał czynny udział w płochych igraszkach, jakby nie był zapomniał o balu ani na moment. Odpowiadając na zaczepki słowne z sąsiedztwa, wyjął kilka goździków z kielicha i ciskał je pojedyńczo znajomym damom. A przytem podniósł goździk, który Sabina była pieściła ustami, i w jej oczach schował go w zanadrze, niby rycerz z XVIII wieku.

Od chwili, gdy natrętny świat usiłował ich rozdzielić i zakłócić ich modlitwę serc, nie zamienili ani słowa, gdyż wobec tego, co sobie powiedzieli, wszystko byłoby błahe i nikłe. A powtóre grały w ich duszach echa tak wzniosłe i cudne, że obawiali się instynktownie, by nic nie zwiało z dusz tego nastroju. To zaś, co Juljan, niby arlekin, plótł na prawo i lewo, niejako osłaniało Sabinkę przed zbyt wczesną ingerencją ludzi i pozwalało pochylonej nad srebrną czarą dziewczynie słuchać ech, których nikt nie słyszał — tylko oni.

Sami byli, osamotnieni wśród sztafażu barwnego rozgwaru karnawałowego — sami, ale w zaczarowanem kole zharmonizowani w jeden wzniosły akord. A przy nich, tylko przy nich, stało — szczęście.

VII.

Gdy wkradły się dyskretnie do cieplarni powłóczyste, sentymentalne tony walca, spojrzeli na siebie i powstali niby na komendę. Uciec z grona znajomych, którzy „bawili ich rozmową“, prześnić jeszcze kilka chwil razem na miękkiej fali tonów, upoić się subtelnem odczuciem bliskości swych ciał, zapomnieć o wszystkiem, zespolić się w dreszczach miłosnych.

Panna nuciła sobie w duszy rozlewną melodję, a on ukołysał się w błogiej, rozpierającej pierś świadomości, że jest kochany. Mimo to, gdy przesuwał się z tancerką opodal grupy gapiów, uderzyła go maska hrabiego Lanziego, który szedł za nimi wzrokiem.

Skoro orkiestra przestała grać, i przystanęli obok szeregu roślin egzotycznych, poza któremi wznosiła się, miasto ściany, olbrzymia szachownica grubych szyb kwadratowych, Juljan, czując się do tego już uprawnionym, spytał:

— Pani mi nic nie powie o Lanzim?

Chmurka przeleciała przez jej czoło, a potem zarumieniła się okropnie.

— Nie mogę, doprawdy nie mogę... — wyśpiewała, przepraszając go czule, ze spuszczonemi powiekami.

Cóż takiego zaszło między nią a Lanzim? Może on

oświadczył się jej już?... Może, może jeszcze coś więcej... Zaszło coś, czego ona zgoła nie śmiała mu wyznać, chociaż byłaby mu wyznała bodaj wszystko. Przy umizgach czy oświadczynach on coś zbroił, ten obcesowy amant i natarczywy konkurent...

Zawiejski odsapnął i z naciskiem wyrzekł przez zęby:

— Za 24 godziny jego tutaj w Cannes już nie będzie...

— Ale, na miłość Boską, panie hrabio... — poczęła żarliwie, gdy wtem zaskoczył ich piorunujący wypadek, który sparaliżował i ubezprzytomnił wszystkich.

Brzęk twardy i ogłuszający rozległ się po sali. Jedna z górnych szyb szachownicy, snać rozbita potężnem uderzeniem, wyprysła z ram swych z przerażającym szczękiem. Największa część tafli runęła w kielichy palm, przygniotła je ciężarem, a wystrzał brył, bryłek i tysiącznych źdźbeł szklistych, jak z rogu obfitości, rozsypał się aż w pośrodek posadzki.

W pierwszych sekundach przerażenia nastąpił gwałtowny odruch wsteczny spiorunowanych tancerzy. I oni odskoczyli wbok, a Sabina, instynktem samozachowawczym pchnięta, błyskawicznie przywarła się, przytuliła jak gołębica do piersi Juljana, przy niej odruchowo szukając ochrony i bezpieczeństwa.

Po sali rozległy się wykrzykniki paniki, ktoś wołał: „Ach!“, ktoś zemdlał, wiele osób wybiegało, uciekało.

— Jak się przeraziłam!... — uniewinniała się Sabina, cofając rękę, co zabłąkała się w tem przytuleniu pod jego szyję.

— Przeraziliśmy się wszyscy — uniewinniał ją także rycerz.

A ona wybuchła:

— Nic się panu nie stało?

Otoczyła wzrokiem jego twarz zbliska i bliska była mu w tej chwili cała tak, jakby do niego należała.

— Pani ma na włosach drobne kryształy szkła — rzekł z uśmiechem szczęścia, gdyż miał złudzenie, że to jego żona. — Dobrze, że wystrzał przeszedł gdzieś ponad naszemi głowami, i nie widzę, aby panią okaleczył jaki odłamek szkła na twarzy lub szyi.

— Ale pan ma na policzku rys zakrwawiony.

Nadbiegła ku nim hrabina Anna.

— Nic, mamo, nic! — uspokoiła ją córka i spojrzała znów na twarz Juljana. — Hrabia odniósł cięcie — nadmieniła i spytała go: Nie boli? Nie szczypie?

Zawiejski dotknął palcem policzka.

— Nie. Właśnie utoczyło mi się krwi tyle, abym jak Twardowski miał czem podpisać djabłu cyrograf.

— To jednak trzeba zaraz obmyć — upominała dziewczyna. A matka jej, poddająca ścisłym oględzinom jej plecy i ramiona, nie mogła nie zdziwić się, z jaką to poufałością zwraca się do Zawiejskiego owa Sabinka, która, trzymając mężczyzn w pewnej od siebie odległości, nigdy nie byłaby ośmieliła się na ton tak koleżeński.

Sala opróżniła się. Orkiestra zaintonowała coś skocznego, by inny w zebranie wprowadzić nastrój i przygwoździć uciekających z balu. Nadbiegła służba i jęła skrupulatnie zmiatać szkliste rumowiska.

Znikła gra barw i pierzchły gdzieś roje żywych lalek. Śladem wielu osób, ruszyły ku wyjściu hrabina Morecka i Sabina. Przydybał je w westybulu książę Zygmunt, blondyn średniego wzrostu z uderzająco cien-

kim nosem, nieco odstającemi uszami i nadzwyczajnie drobnemi kończynami. Począł żarliwie namawiać je, by nie opuszczały balu, by nie pozbawiać hrabianki nowego londyńskiego tańca sezonowego: „imperialblue“, a mianowicie kotyljona z niespodziankami. Poparł go młody dyplomata francuski, a Lanzi, w Sabinę zapatrzony, zdawał się im sekundować milczeniem.

Hrabina byłaby się dała nakłonić, lecz Sabina, uważając zapewne, że dość było niespodzianek i wzruszeń, pociągnęła ją do domu.

Pojechały. Juljan został szczęśliwy i szczęściem upojony. Jeszcze nosił na duszy zachwyconej odblask tego rewelacyjnego jej spojrzenia, tego wyznania, tego pocałunku serca, jakim go obdarzyła za serenadę, jaką jej wyśpiewał może nieudolnie. I nigdy żaden egzaltowany, namiętny sztubak nie był tak jak on teraz wniebowzięty i nigdy żaden młokos nie wynosił tak pod gwiazdy swej panienki zprzeciwka.

Wykrzesała zeń tego młokosa Sabina, i nastąpiło w nim rozdwojenie jaźni. Wszelako ów chłopiec z płonącą głową pokumał się ze sceptycznym realistą, ogrzał go swą piersią. Żyli z sobą w zgodzie i przepijali do siebie nieraz. Rozpieszczony przez życie hedonista szedł w niewolę młodego głuptasa, wysłuchiwał muzyki jego młodej erotyki i sam młodniał, piękniał i innym przemawiał językiem. Gdy wczorajszy cynik wymawiał teraz słowo: miłość, brzmiało ono poważniej, niby hymn miłości, a zarazem podobnie do trubadurowych westchnień idealisty.

Był szczęśliwy, jak nigdy, w swem szczęścia pełnem życiu. Gdyby teraz fortuna przyniosła mu na jednej

dłoni całe Cannes, wszystko, co ono dać mu jeszcze mogło, a na drugiej wielką miłość, byłby po nią sięgnął bez namysłu, gdyż pojmował, że wśród góry wieńców, złotych puharów, królewskich komnat i zwodniczych hołdów miałby jednak pustkę w duszy, a miłość otworzyła mu raj...

W tym nastroju, jakby psa legawego, co pełen ciszy i spokoju wewnętrznego spoczywa jak długi, wygrzewa się w potokach dobrego słońca, Juljan nie wiedział, co począć ze swą figurą. Trzymała go w tych murach świadomość, że ma tu jakąś sprawę do załatwienia. Więc pozostał w Cercle'u, usiadł sam z sobą na uboczu, wypił szklankę wina i ot, był poprostu szczęśliwy.

„Lanzi..." szepnęło mu coś na ucho. Cóż obchodził go ów Włoch, co znaczył cały świat wobec jednej, jedynie ważnej rzeczy, wobec tego, że był przez nią kochany...?

Mimo to zerwał się raptem na nogi i poszedł go szukać po salach. Ujrzał go grającego przy stole bakarata, spozierał na niego zpodełba i żuł w głowie jakieś myśli.

Sprawa była trudna. Gdyby przystąpił do Lanziego i rzekł: „Pan obraził moją rodaczkę, hrabiankę Morecką", a Lanzi ozwał się na to poprostu: „W jaki sposób?..." — Juljan nie miałby słowa, wystrychnąłby się sam na dudka. Bo nie miał zgoła nic uchwytnego, konkretnego, co mogłoby ugruntować jakiekolwiek pretensje do Lanziego. Z półsłówek Sabiny, jej chmurki gniewu czy oburzenia nie dało się jak z mgławicy nic ulepić. A jednak za dwadzieścia i cztery godziny nikt hrabiego Lanziego w Cannes już nie ujrzy...

Bezradny w tej chwili, a zdeterminowany, przeszedł

przez salony, słuchał, jak młody dyplomata francuski dowodził w kółku klubowców „że niema nad kobiety słowiańskie“, poczem skrył się przed znajomymi do pustej czytelni klubowej. Zapatrzył się przez okno w noc nadmorską, uświetnioną mirjadami gwiazd wyiskrzonych, i myślał, że może ongi na drodze mlecznej było już zapisane, iż kochać będzie tę dziewczynę nadewszystko. Potem utonął, niby w piernatach, w głębokim fotelu klubowym, poza okrągłym mahoniowym stołem, na którym leżało kilka gazet.

Dźwięki muzyki balowej nie dochodziły do niego wcale, ale przypomniał sobie, że ma tańczyć kotyljona z kuzynką Pembroke'a. Znał jednak program balu i wiedział, że ma blisko godzinę czasu.

Aby się upewnić, wyjął z kieszeni ów program, a wraz z nim goździk, przez Sabinę ucałowany, i przytknął go do ust, gdy wtem uchyliły się drzwi i — ukazała się smagła twarz hrabiego Lanziego...

Wszedł. Doskonale. I on go szukał. Tem lepiej. Niechaj rozpoczyna...

Spojrzeli sobie w twarz, i pasma ich źrenic nie rozplotły się już bardzo długo.

Porucznik podszedł do stołu automatycznie, wsparł się o niego lekko i rzekł do siedzącego z drugiej strony stołu, a w pewnej od niego odległości, Juljana:

— Mam z panem hrabią do pomówienia...

— Służę.

— Pan hrabia zabrał mi walca z comtessą Morecką...

— Ja zabrałem hrabiemu walca z ...? — wycedził szeptem Zawiejski i czekał.

— To chyba pan hrabia wie aż nadto dobrze...

Zawiejski milczał, chcąc odgadnąć, co mogło znaczyć u djabła, że Sabinka nie chciała tańczyć z tym Włochem. Nękany ciekawością, kombinował, ale nadaremno i tak długo, że Lanzi ozwał się butnie:

— Czekam pańskiej odpowiedzi.

— No — począł wreszcie leniwie Zawiejski — gotów jestem zabrać hrabiemu każdy taniec z comtessą, wiedząc, jak bardzo mu na tem zależy...

— A więc tak! Pan hrabia wchodzi mi w drogę.

— Źle się hrabia wyraża. To pan raczej stara się wejść w drogę innym. Gdyby hrabia mnie istotnie miał wejść w drogę, to... byłoby źle. Ale o cóż chodzi? Postanowił pan wszcząć ze mną awanturę, szukać pretekstu do pojedynku. Prawda?... W takim razie możemy oszczędzić sobie preliminarjów, niepotrzebnej awantury i przystąpić wprost, bezzwłocznie do pojedynku...

— Niekoniecznie. Jeśli pan hrabia zaręczy mi, że nie rości aspiracji do ręki comtessy Moreckiej...

— Co??...

— Jeśli hrabia da mi słowo, że nie będzie mi wchodził w drogę...

Zawiejski poruszył się w fotelu gwałtownie; zdawało się, że wyskoczy jakby z procy, lecz szyderczy chichot był całą jego odpowiedzią.

— Jeśli nie, w takim razie... przyślę panu hrabiemu jutro swych sekundantów.

— Będę ich oczekiwał około południa. Do dwunastej i pół. Załatwi hrabia sprawę ze mną, jak zechce... A teraz ja zkolei załatwię swoją sprawę z nim. jak uważam za stosowne...

— Jaką sprawę? — bąknął Lanzi.

— Dotąd ja odpowiadałem na pytania, teraz hrabia zechce mi odpowiedzieć na jedno pytanie...

— Służę. Jakie pytanie?

Zawiejski rzucił w popielniczkę zagasłe cygaro, położył łokcie na kolanach i wyrzekł ze stalowym naciskiem:

— Jak hrabia śmiał obrazić moją rodaczkę, comtessę Morecką...?

Lanzi zmieszał się okropnie i wybełkotał:

— Ja? Nie wiem o niczem...

— A ja raz jeszcze pytam, jak hrabia śmiał...?

— Więc... comtessa Morecka mówiła panu coś...? — wymamrotał Lanzi ogromnie zdumiony.

— Jakiejże to haniebnej bezeceności musiał się pan dopuścić, jeśli sam pan dziwi się, że ona mogła mi to powiedzieć...

— Nie. Może nieporozumienie, czy raczej niezrozumienie... Nie jestem świadom niczego... Może mimowoli...

Głuchy na te jego słowa, Zawiejski raptem wyskoczył z fotelu, wsparł się o stół rękoma i stanęli oko w oko, niby gladjatorzy w cyrku przed zapasami na śmierć. Wyprostowany jak struna, blady Zawiejski wyszeptał w furji:

— Za to mi pan zapłaci!...

Zabrakło mu tchu. Odsapnął i począł ciskać mu na głowę słowa, niby tytan granity.

— Jeśli hrabia odważy się jeszcze zbliżyć do niej... jeśli w przeciągu 24 godzin nie zniknie z Cannes, to...

Znów furja chwyciła go za gardło. Skurczyły mu się

brwi, mars zawisł między niemi, zadrgały pobladłe wargi, źrenice miotały pioruny, pięście rozwarły się i wyciągnął ku niemu dłonie. Skurczyły się palce niby szpony sępa głodnego ścierwa i kapały krople roztopionego ołowiu:

— To... ja... pana... temi pazurami zaduszę...

Był straszny jak śmierć.

Czując mróz w kościach, Lanzi odskoczył o krok, niby końcem szpady dotknięty w pierś, i siny patrzał weń obłędnie, uroczony maską Meduzy.

Cisza.

Powoli nastąpiło odprężenie nerwów.

— Bandyta! — rzucił Lanzi i powtórzył raz jeszcze: — Pan hrabia odzywa się do mnie jak bandyta...

Lecz nie było przed nim hrabiego. Był chłop polski, co z kłonicą lub siekierą idzie na przeciwnika wprost, bez pardonu, sam życie swe rzucając na szalę.

Oderwał się od stołu i usiadł bez słowa. Było jasno, że uważał sprawę za ostatecznie zamkniętą. A Lanzi, złamany pod naporem Samsonowej determinacji, nie pozwalającej wątpić, że słowo tego człowieka to czyn, odwrócił się, zbliżył do wiszących przy ścianie gazet, i mogło się wydawać, że odczytuje ich nagłówki. Wreszcie wykręcił się na pięcie.

— Nie mamy sobie bodaj już nic do powiedzenia...?

Czekał przez chwilę słowa — napróżno, potem wyszedł.

Zawiejski zapalił papierosa.

Po chwili zerknął na zegar i wybiegł szybko z czytelni — do kotyljona.

VIII.

Nazajutrz z rana panna Sabina pojechała do parku we wzgórzystej, pięknej „Kalifornji“, gdzie zbierała się młodzież wokoło placów tennisowych. Czekali tam na nią książę Zygmunt, panna Wanda Mierzycka i jej młody wuj, p. Tworzewski, poseł sejmowy ultra-demokratycznego stronnictwa, który był w nielada kłopocie, nie wiedząc, dla kogo być więcej uprzejmym: dla pięknej hrabianki, czy młodego księcia pana. Jak przyrzekła, Sabinka stawiła się, lecz tak była rozstrojona nerwowo, że nie upłynęła godzina, a pożegnała partnerów i pognała samochodem, jakby się paliło, na deptak nadmorski. Poszukiwała nie Zawiejskiego, który o tej porze był zwykle konno za miastem, lecz matki, którą odnalazła wreszcie na pomoście wśród grona pań i starszych panów. Gdy ujrzała między nimi hrabinę Lanzi, jak zawsze ożywioną, gadatliwą i gestykulującą, uspokoiła się ogromnie.

W czasie śniadania jednak znów zatargnął nią niepokój. Hrabiego Zawiejskiego nie było na werandzie. Dwa razy zdawało się jej, że słyszy jego kroki, i dwa razy wypadał jej widelec, czy nóż z ręki.

— Sabinko, co ci się dzisiaj stało? — spytała zdziwiona matka.

— Sforsowałam sobie rękę przy tennisie.

— Ależ dzisiaj właśnie nie grałaś ani godziny...

— ...Zdenerwowana jestem.

Po śniadaniu, przygotowując Kazia do lekcji i przeglądając jego ćwiczenie francuskie, siostra zagadnęła go półtonem:

— Czy nie widziałeś dziś hrabiego Zawiejskiego?

— Widziałem.

— Widziałeś? Gdzie?

— Wracając przed pierwszą z boiska, widziałem go w samochodzie z tym księciem, co to... wiesz, chodzi z nim często po deptaku.

Panna odetchnęła. Osądziła, że ćwiczenie Kazia było wcale dobre. Znaczne zrobił postępy.

Wkrótce z książką w ręku usiadła w ogrodzie hotelowym, o tej porze dość wyludnionym, na „jego“ ławce, z której było widać okno jego apartamentu. Zawiejskiego nie było.

Przecież pojedynki odbywały się zwykle wczesnym rankiem, więc to chyba nazajutrz... Ale on mówił „w dwadzieścia cztery godziny...“ więc... Boże, co się to stanie?

Ot, Lanzi pojedzie tam, gdzie pieprz rośnie... Wstrętny, bezczelny, bezecny. Jak on śmiał zachować się tak, potraktować ją, niby mamzelę z półświatka? Powinna była dać mu w twarz na środku sali. Przelękła się skandalu. Odsunęła się od niego, tańczyła niby manekin, z bólem w duszy. Czyż była tak nieprzyzwoicie ubrana?... Bądź jak bądź, więcej była ubrana od niemal wszystkich innych panien. Może pamiętał przytem, że ona i matka nie miały przy swym boku mężczyzny, któ-ry ująłby się za niemi? Ale Lanzi pomylił się ogromnie. Miała ona swego rycerza. I to rycerza, który się z nim rozprawi... Boże, żeby tylko nie wynikło z tego nic okropnego...

Coprawda, Zawiejski nie zachował się wiele lepiej od niego... Przygarnął ją w tańcu do siebie. Ale to skut-

kiem natłoku. Może nie skutkiem tego. Z pewnością nie. Jednakże trwało to tylko moment. A jeśli miała uczucie, że mdleje, to już nie jego wina. To dlatego, że on taki miły, niewymownie miły...

On a Lanzi — to zgoła co innego. Nie można ich porównywać. Przytulił ją do piersi zgoła inaczej, aniżeli byłby to zrobił ten karczemny Włoch o pozorach dandysa, lub kto inny. Tak mimowoli, miękko, wcale nie ordynarnie. To nawet nie on. Samo się to tak zrobiło. W tym natłoku... On nigdy nie śmiał wykręcać jakichś zygzaków kolanem, jak ten przybłęda, ten podlec. Juljan — taki prawdziwy arbiter elegantiarum...

On był bez winy... Przecież i ona nie dopuściła się niczego zdrożnego, jeśli w chwili, gdy ogłuszający brzęk wypadającej szyby runął na wszystkich — nie wiedząc, jak to się stało, znalazła się na jego piersi... Sprawiła to... (Boże, jak on to cudownie mówił, ten cudowny człowiek) ...miłość, miłość...

Jak jego trzeba ogromnie kochać za taką bezdenną miłość...

Za tę historję z Włochem ona siebie powinna winić. Gdyby była dla Juljana inna, dziś byliby już narzeczeni, i żaden bezczelny Lanzi nie ośmieliłby się po pijanemu w ten sposób... A jeśli to nie stało się jeszcze, nie powinna była zdradzać się przed Juljanem, że nie znosi tego ordynarnego Włocha.

Nie przypuszczała, że Zawiejski, taki ogromnie dobry, weźmie to sobie do serca i postawi sprawę natychmiast na ostrzu miecza. Jak on ją kocha... Była napół tylko przytomna, więc jak tu nie powiedzieć, nie bąknąć choć słówka najlepszemu przyjacielowi?...

Dla tego przyjaciela, co ją tak kocha, bywała nieraz nieznośną, prawie niegrzeczną. Ile razy zabiegał, aby pójść z nią samą bez świadków na pomost lub do portu, szukał z nią sam na sam... Ona, jakby na złość, tak manewrowała, by nie odłączyć się całkiem od towarzystwa, w którem przypadkowo byli. A czyż nie chodzi tak często sama z księciem Zygmuntem? Nawet z Aylesburym. Raz zapuścili się aż hen do Forêt des Maures. Zawiejski miałby powód być na nią rozżalonym. To musi się zmienić, trzeba się zreformować...

Trudno jednak będzie... Bo, gdy on jest przy niej, chciałaby od niego zaraz uciekać. I chciałaby, żeby on ją gonił. Uciekałaby wtedy jeszcze więcej, z całych sił. On, naturalnie, goniłby ją także co sił...

Doprawdy, głupia jest nadwyraz. Gdyby kto odgadł jej myśli, zaśmiewałby się do rozpuku nad tą „gąską“, mającą już 19 lat i 8 miesięcy. Aż wstyd!

Czyż ona umie prowadzić z nim korespondencję, jak z innymi, jak dorosła panna?... Prawda, łatwo rozmawiać z obojętnymi ludźmi, ale gdy w sercu coś gra... A wczoraj?... Wczoraj to nie była rozmowa, lecz sen cudowny pod palmami, wyznanie, spowiedź serc. To były ich zaręczyny...

Z nim. Z tym najprzepyszniejszym człowiekiem na tem tle wspaniałem. Z tym jedynym na świecie, który potrafi tę gąskę tak kochać, który ma w piersi takie płomienne serce... Z tym jedynym jej serca kochankiem, z tym najukochańszym... Z jej królem... Gdyby ludzie odgadli, jakie ją niekiedy nawiedzają nieskromne myśli... Czy on myśli o niej tak samo?... O, z pewnością.

Lecz, Boże drogi, czemu nie powraca? Przecież ona musi mu powiedzieć, zakazać...

W zaklętem kole takich rojeń przydybały ją dwie młode Francuzki z bratem, marynarzem, i zabrały na strzelnicę, chcąc pochwalić się, jak dobrze strzelają do gołębi. Wprawdzie Sabinka nie lubiła mordowania tych białych ptaków, które w Wielkowysku groch z ręki jej jadały, ale pojechała w nadziei, że może spotka tam Zawiejskiego.

Gdy go nie spostrzegła, poczęło ją coś ciągnąć do domu. Nie można było jednak wyrwać się zaraz z ożywionego kółka znajomych, i była szósta, gdy zdążała samochodem do hotelu, gdzie czekała ją wielka radość.

W czasie jej niebytności, hrabina Lanzi wpadła do wypoczywającej hrabiny Anny, jeszcze więcej, niż zwykle, gestykulująca i stroskana. Zaszła przykra rzecz. Syn jej odebrał z pułku depeszę, wzywającą go do natychmiastowego powrotu do garnizonu. Biedny Kamil tak był tem strasznie dotknięty, że natychmiast podarł papier w kawałki, i zmartwiony nie przyszedł się sam pożegnać. Bo — tego taić nie można — pozostawiał serce w tym domu, zajął się bardzo śliczną panną Sabiną. Jak tylko to potrafi Włoch. Ma on nadzieję, że nie tylko będzie mógł wkrótce przyjechać z Turynu, lecz, że hrabina Morecka pozwoli mu zbliżyć się do panny Sabiny w charakterze konkurenta. Kocha ją „nad życie“.

Wysłuchawszy relacji mamy, Sabina wpadła w humor rozpasanego podlotka. Nie posiadała się z radości, triumfowała. „On“ tego dokonał, dotrzymał słowa, literalnie. Była tego pewna. Świetny był jej rycerz. Jak

on ją musiał kochać ogromnie, jeśli dokazał tego, nie bez narażenia się zapewne na niebezpieczeństwo, tak, jakby chodziło o złamanie słomki i wyrzucenie za okno. Wyrzucił rywala za drzwi, niby nieznośnego psiaka! ha! ha!.. Jak on tego dokazał, tak bez hałasu, bez awantur, bez pojedynku? Istny czarnoksiężnik. Jej opiekun, jej ukochany narzeczony, wkrótce... jej mąż. Może już za dwa miesiące? W czerwcu, za siedm tygodni, w dzień imienin ojca?...

Na biegającą po mieszkaniu córkę matka patrzała jak na warjatkę. Nie przypuszczała, by Sabinka do tego stopnia nie lubiła hrabiego Lanziego. To nawet dziwne, skąd po trzech dniach znajomości powzięła do niego aż taką awersję. Hrabina sama także nie martwiła się wyjazdem młodego Włocha. Chociaż wogóle nie miała ochoty pozbyć się córki tak prędko z domu, pogodziła się łatwo z myślą, że Sabinka wyjdzie za księcia Zygmunta. Że on się w niej kochał, dawał to niejednokrotnie a wyraźnie hrabinie Annie do zrozumienia.

Ród jego nie był jej sympatyczny. Między nim a książęcem gniazdem, z jakiego pochodziła hrabina, istniała jakaś zaskórna, ze źródła zazdrości tryskająca animozja. Jednakże ks. Zygmunt był to magnat, co się zowie, i to kwestję zamykało, zwłaszcza, że Sabinka miała dla niego sympatję. Wprawdzie ujawniało się to głównie w tem, że posługiwała się nim na każdym kroku, ale i to już wskazywało na przyjazne uczucia względem niego, chociaż... może Aylesbury i ten lew sezonu, Zawiejski, umieli jej się podobać więcej.

— Sabinko, skończ z tą dziecinadą! — zawołała hra-

bina do córki, która wyśpiewywała i wytańcowywała z bratem walca, granego na balu ubiegłej nocy. — Siadaj przy mnie!

Sabinka otworzyła na matkę szeroko swe słodkie oczy, zdumiona niezwykle kategorycznym tonem.

— Zastanawiałam się dzisiaj na pomoście z panią Dechamps nad tem, który kawaler może najwięcej się podobać z następującej listy: Aylesbury, ks. Zygmunt, Legrange, Zawiejski...

Sabinka parsknęła śmiechem! No, jeśli mama nie była przebieglejsza, to powinna mówić poprostu, o co jej chodzi.

— Żaden! — zawołała. — Nie wiem. Mnie najwięcej podoba się... wie mama kto? Otóż szach perski, Jego Cesarska Mość, szach szachów, o rozlicznych nazwiskach i tytułach. Onegdaj na tej wycieczce jachtem nie odstępował mnie na krok, „robił mi kurę“ według wszelkich reguł i nagadał mi pełne uszy duserów częścią francuskich, częścią perskich. Mam teraz przekonanie, że nigdzie na świecie nie miałabym takiego powodzenia jak w Teheranie.

— Nie można z tobą pomówić rozsądnie!

— Jestem za młodą jeszcze nato!

O projektach mazurowych Zawiejskiego Sabina nie śmiała wspomnieć, gdyż paraliżowało ją wrażenie, że, skoro wymówi nazwisko „Zawiejski“, stanie w ogniu i wytoczy się na tapet wielka sprawa. A ona nie chciała, by ktokolwiek zazierał w wirydarz jej serca.

IX.

O tym czasie hr. Zawiejski powracał swym samochodem z zacisznej restauracji za miastem, pod wzgórzami stacji klimatycznej Le Cannet, gdzie, zwłaszcza przed wojną, gdy w Cannes zimowała liczna kolonja rosyjska — złota młodzież najwięcej urządzała sobie biesiad i orgij.

Lunch, jaki dnia tego wydał wicehrabia Pembroke dla szczupłego grona intymnych przyjaciół, miał być „krótki i skromny“, gdyż uplanowano na popołudnie partję golfu. Lecz pod koniec śniadania pękło między innemi kilka butelek niemal starożytnego burgunda i wywiązała się krótka wprawdzie, ale nieskromna pijatyka. Mimo to kompanja, dzięki wynalazkowi samochodów, dotarła szczęśliwie na golfowe „links“, gdzie przywdziała szkarłatne żakiety i, stwierdziwszy, że murawa jest zielona, przyszła zgodnie do przekonania, że golf jest grą dla starych ludzi. A ponieważ wszyscy mieli się za młodych, więc, chociaż nogi ich w tej chwili były stare, poniechali zamiaru, i skończyło się na tem, że wwindowali się na wyżyny Cannet, chodzili przez kwadrans, niby błędne owce, poczem rozciągnęli się na murawie w dogrzewającem słońcu kwietniowem.

Ten i ów gapił się bezmyślnie na piękną panoramę Cannes i lazurowe bezmiary morza z archipelagiem wysepek Laryńskich, reszta popadała w nastrój senliwy, co zauważywszy, lord Pembroke zakomenderował: „Na herbatę“. Niewiadomo, z czyjego polecenia samochody zatrzymały się przed restauracją. Tam zaś, obok herbaty, pojawił się burgund cenionej marki i uznanej ja-

kości, a wślad za nim karty, które zespoliły drzemiących po kątach dandysów i tchnęły w nich ożywczą iskrę.

Odrazu gra wzięła rozpęd wyścigowy, i Zawiejski w ciągu pół godziny przegrał ćwierć miljona franków. Dawno nie dostały mu się takie cięgi i zaprawdę dawno nie czuł się tak źle do gry dysponowanym. Nie odgrywał on się z zasady, więc cisnął karty i pił. A wkońcu „zwiał“, z głową dość czystą, lecz z ogniem w żyłach.

Gdy wehikuł jego toczył się wśród pięknych, bogato w kwiaty strojnych, siedzib magnackich długim bulwarem Carnot'a ku ośrodkowi miasta, Juljan przypomniał sobie, że otrzymał tego dnia list od Rajewskiego, w którym montekarlista zaklinał go nieomal na zbawienie duszy, by koniecznie wpadł do nicejskiego kasyna i zrobił porządek ze „zgrają“ jankesów i innej hołoty, w ostatnich dniach grywającej „zdrowo“ w pokera. Zachodziła tedy poważna kwestja, czy nie należałoby się przekonać na arenie nicejskiej, ażali dzień ten jest dla Juljana istotnie feralny.

Medytując nad tem, Juljan spostrzegł wychodzącą ze sklepu panią Wojkowską. Wydała mu się mniej źle ubraną, a jeszcze więcej ponętną, niż przy pierwszem spotkaniu. Coś go szarpnęło, zatrzymał samochód, wyskoczył z niego i ucałował rękawiczkę pani radczyni, powitany najmilszym z jej uśmiechów. Jął jej prawić, jak przykro mu było, że nie zastał jej w hotelu i poprzestać musiał na pozostawieniu karty wizytowej.

Niewiadomo, czy pani Ella wzięła to za dobrą monetę, dość, że ze swej strony wyraziła żal, iż nie spotyka

wcale tak przez najwyższe towarzystwo rozrywanego salonowca. I Zawiejski w tym momencie uważał za błąd, że tak całkiem zapomniał o jej istnieniu.

Nudziła się ona w Cannes.

— To może zechce pani pojechać dziś ze mną do Nicei!? — wypalił Juljan, patrząc w jej jędrną twarz, poczem szarpnęło go coś gwałtownie za połę płaszcza — za późno.

— Owszem, bardzo chętnie, chociaż... doprawdy nie wiem, czy to wypada w towarzystwie takiego jak pan osławionego Don Juana — śmiała się dziwnie przynęcająco.

— Doskonale! Nie będę toczył z panią radczynią sporów na ulicy, czy Don Juan jest osławiony czy też sławny. Odwiozę ją do hotelu, następnie — niestety, osobiście rozbierać i ubierać damy nie mogę, więc powierzę ją pieczy i sztuce garderobianej, zaczem sam, liberję zmieniwszy, pozwolę sobie w te pędy przyjechać po nią do hotelu, od czasu, gdy pani w nim mieszka, słusznie zwanego „pięknym“, Beau Site. Est-ce que ça vous va?

Pani Ella znów śmiała się jak bachantka i—wsiadła do hrabiowskiego samochodu.

Wróciwszy do siebie, Juljan jął się myć i ubierać, a zimna woda tak podziałała, że zaklął w duszy siarczyście, że coś go skusiło, i, plusnąwszy niebaczne słowo, obarczył się tą białogłową na cały wieczór.

Mógł był przekonać się, że należał do impetycznych szaleńców, co wpierw działają lub coś postanawiają, nim pomyślą. Tak było na balu, gdy skazywał na banicję hrabiego Lanziego, nie wiedząc, jak to przepro-

wadzić, i tak samo, gdy rzucał się naoślep w pogoń za sarenką, bez zastanowienia się nad ostatecznemi tego szaleństwa następstwami.

Wieczór w Nicei z taką białogłową wystawić mógł jego cnotę na poważne niebezpieczeństwo, zwłaszcza, że cnotę tę, jako bardzo u siebie rzadkiego gościa, honorował nadzwyczajnie. Od przybycia na Rywjerę dorównywał eremitom na puszczy. Nie do wiary! Takiemu eremicie — o ile taki idjota istnieje — ludzie poczytują to za dowód nadzwyczajnej świątobliwości i hartu ducha, a gdyby on przed nimi się pochwalił, nazwaliby go kłamcą albo... wiele gorzej jeszcze. Pani Ella pierwsza... Jakiś piekielny egzemplarz kobiety. Pachniała mu dawno niezakosztowaną rzepą i wydawała się zapaśnikiem, godnym dzielnego sportowca.

Klął na nią z tej przyczyny, i na siebie, myśląc, czy nie dałoby się wymigać od tej wycieczki. Lecz słowo się rzekło, kobyłka za płotem. Zresztą, jeśli ma jechać do Nicei, to weselej będzie z nią, niż samemu. Powtóre, skoro gra rozwinie się tam należycie, taka pani Ella stanie się nielada dywersją, zakłócającą równowagę umysłu jego partnerów.

Nim ruszył po panią Ellę, zboczył do Grand Hotelu i zapytał się w portjerni, czy mieszka tam hr. Lanzi z Turynu, i dowiedział się, że już nie mieszka, gdyż wyjechał przed pół godziną.

Nie poświęciwszy hrabiemu Lanziemu ani jednej myśli więcej, Zawiejski popędził do hotelu Beau Site, i wkrótce samochód uwoził go z miasta wraz z owiniętą w rozliczne zawoje, szale i okrycia panią radczynią.

Gdy automobil przeleciał przed stylowym, jakby na

kwiatach usłanym, pałacykiem pani Egerton, Juljan odwrócił głowę trochę czemś zawstydzony. A potem spadła nań wizja „sarenki“ i targnęło go rozpaczliwe uczucie. I krzyknął w duszy: „Gdyby ona mnie teraz ujrzała, to... chyba strzeliłbym sobie w łeb!“

Odepchnął od siebie wizję całą siłą, ale już nie zdobył się na szampańską swobodę umysłu, bo na dnie duszy miał dla siebie rzetelną pogardę.

— Dzielny samochód, pędzi jak warjat — szczebiotała pani Ella, głęboko wtulona w poduszki. — Muszę sobie kupić automobil, ale kryty. Dziś bez tego kulturalny człowiek istnieć nie może. Ale tu nie kupię. W kraju. Przyda mi się bardzo. Z mego pałacu w godzinkę będę mogła zajechać do Krynicy.

— Pani radczyni mieszka pod Sączem?

— Tak, pół godziny drogi. W majątku, który dawniej należał do austrjackiego, z Polką żonatego, grafa Klevenhüllera. Ale ja nabyłam Chyżów od jego następcy, wielkiego nafciarza, pana Eberta — opowiadała pani Ella, należąca do gatunku ludzi, którzy każdego, w przeciągu pierwszej godziny od chwili poznania, częstują swym życiorysem. — Było to w czasie wojny. Kupiłam dosyć tanio. Majątek duży i ładny, pałac, ogrodu 60 morgów. Ale co to za kłopot! Nie mogę bujać tak swobodnie po świecie, jak pan hrabia.

— Czy to ja bujam?

— O! mało to obija się o me uszy. Za wiele ma pan hrabia powodzenia.

— To może racja.

— Otóż to rozsądne zdanie.

— Rzadko mi się zdarza wygłosić rozsądne zdanie.

— Więc tym razem trzeba się nawet zastosować do niego!

— To trudno.

— Nie tak trudno, jeśli pan hrabia zajmie się rzetelnie jedną kobietą.

— Jakże tu zająć się tylko jedną kobietą, jeśli każda przepada tylko za takim, który ma powodzenie u innych dam.

— Ach, ja nie! Chociaż nie mogę o tem mówić. Taka samotna osoba...

— A pan radca Wojkowski?

— Mieszka w Krakowie. Im dalej ode mnie, tem lepiej. Rozstałam się z nim.

— To smutne.

— To właśnie wesołe.

— Tem lepiej.

— Szczerze mówiąc, pozbyłam się go. Chciał mnie na majątku ukrzywdzić. Zresztą on nie dla mnie. Ale trudne jest życie kobiety bez podpory... Bo co ja mam za kłopot z moją majętnością!

— Są dwa rodzaje kłopotów pieniężnych. Jedne wynikają z tego, że się nic niema, drugie z tego, że ma się za wiele.

— Ja mam mieć za wiele? Prawda, że dla niejednego byłaby to magnacka fortuna. Pragnęłabym, by pan hrabia sam osądził. Może pan hrabia zechce mnie odwiedzić latem? Bardzo proszę. Ręczę, że pan hrabia nie znudzi się. U mnie wesoło. Ale kłopotu mi nie brak. Administrator musi mi co tydzień zdawać raport i odpowiadać na pytania, jakie mu stawiam. Pilnuję, jak umiem, brak mi jednak energicznej, męskiej ręki...

— Jeśli pani tylko o rękę mężczyzny chodzi...

— Panie hrabio!.. — zaśmiała się na głos pani radczyni, zasłaniając usta szalikiem, urwała i mruknęła:

— Okropny człowiek!!...

— I cały mężczyzna z ręką się znajdzie...

— Ale jaki! Ja tak bez miłości...

— Miłość przeszkadza w interesach.

— Często pomaga!

— Jakto?

— Proszę pana hrabiego, gdyby we mnie zakochał się jaki nawet bardzo majętny dżentelmen, czyż nie pomogłoby mu to w interesach?... Chyba, że jestem za mało ponętna...

— Zanadto!

— Co? Zanadto jestem ponętną? ha! ha! Słowo daję, tego nie słyszałam jeszcze...

— Ani z ust ekscelencji?

Śmiech serdeczny był na to odpowiedzią.

Juljan, zapatrzony gdzieś w orgję niebieskości morskiej, pogłębiającej się w tonie, zadał jej do rozwiązania kwestję, czy nie lepiej poślubić zgrzybiałą ekscelencję i zdradzać, aniżeli wziąć sobie za męża kogoś, co nie pozwoli się zdradzać. Ale pani Ella chciała „stosownego“ męża, wytwornego dżentelmena, z dobrem nazwiskiem, któregoby nie zdradzała. Chyba, że on zdradzałby ją w skandaliczny sposób. Wtedy - może, na złość. Jednakże z natury była wierna, aż niejeden nie mógł wyjść ze zdziwienia. Nie nawiązując do tych wynurzeń, pani Ella raz jeszcze prosiła hrabiego do Chyżowa, zaręczając mu, że się zabawi. Cieszyła się

z powodu jego przyjazdu. Przy tej zaś okazji poradzi się go przy kupnie samochodu.

Pędzili przez królestwo kwiatów gościńcem wapnistym po pobrzeżu wśród chróstów, w szafirowe lub różowe ubranych kwiecie, wzdłuż pól kwiatowych i ogrodów, wzdłuż domków, will, pałaców, niby festonami obwieszonych, wśród mozaiki barw i blasków — owiani zapachami kwiatów. Wszystko to, spadając po stokach wzgórz sosnowych, zapatrzone było na płaszczyznę błękitów a wspaniale wyróżowione bengalskim ogniem rubinowego, zachodzącego słońca. Minęli Antibes, uśpione pod strażą fortu nadmorskiego, i amfiteatralne Cagnes z zamkiem feudalnym na szczycie.

Zdarzyło się tam, że, gdy na skręcie drogi silny powiew wiatru uderzył w p. Ellę, padła nosem na ramię towarzysza, przyczem przekonała się, jak piękne i nowiuteńkie miał hrabia na sobie futro. A gdy automobil, wymijając procesję dwukolnych wozów, w muły zaprzężonych, przechylił się raptownie wbok, pani radczyni uczepiła się rękoma jego kolan i przycisnęła go częścią swego niemałego ciężaru.

— Ile pan hrabia wziął z sobą pieniędzy na baka, jeśli wolno zapytać?

— Sto tysięcy.

To zaimponowało jej ogromnie.

Samochód wpadł w hotelowe ulice Nicei. Gdy zatrzymał się przed Kasynem, Juljan bezwłocznie poszedł na poszukiwanie Rajewskiego. Odnalazł go w nowym fraku z chryzantemą białą na sercu, siedzącego wśród półdam i półdżentelmenów.

Na widok drogiego przyjaciela, Fajfer zerwał się od stołu, gotów do wszelkich dlań poświęceń. Z poświęcenia, chociaż był po obiedzie, zjadł z nim i z panią Ellą drugi obiad i, chociaż w tym czasie nie pijał z zasady nic prócz wina Bordeaux, wychylił kilka kieliszków szampana na zdrowie „uroczej pani radczyni“. Zaczem ofiarował się ciceronować jej po salach gry.

Do takich praktyk Juljan zachęcał go gorąco i bąknął mu, że, jeśli nie ożeni się z tą bezwstydnie bogatą paskarką, to jest ostatni osioł. Fajfer zaś, biorąc to dosłownie, przystąpił zaraz do oblegania fortecy.

Pani Ella jednak nie miała czasu na płoche rozrywki. Przylepiła się do stołu z bakiem. Oczy wychodziły jej nawierzch na widok złota, rozrzuconego niby plewy, i gra pochłonęła ją tak, że na przysiady Fajfra żadnej nie zwracała uwagi. Zapomniała nawet o hr. Zawiejskim, który gdzieś się zawieruszył.

Natomiast Rajewski po dwugodzinnej grze, wyniósłszy z niej sto franków zysku, udał się do innych sal, by zobaczyć, jak wiedzie się Julkowi ze zgrają hołoty. Jeśli mu się poszczęści, mała prowizja skapnie z portfelu przyjaciela.

Jednakże Julka nie było nigdzie. Zaalarmowany tem Fajfer, jął biegać raz jeszcze po salach w obawie, czy nie zachorował. Nie powstało mu bowiem w głowie, by Julek mógł nie grać. A tak było w istocie.

Jakby po raz pierwszy w tych murach, Juljan obejrzał sobie sale, graczów, tancerzy, wreszcie wypił herbatę i schronił się na pusty balkon, przed którym rozpościerał się plac, kirem nocy pokryty, a drgający jeszcze hulaszczem życiem Rywjery. W pierwszych dniach

swego pobytu na tym brzegu był Kasynem zachwycony, a teraz wszystko przejmowało go niesmakiem: przebogata, złocista ornamentyka salonów, fizjognomje ludzkie, owe kokoty, wymodelowane na damy, i damy, wymodelowane na kokoty, cała owa przewalająca się przed nim ruletowa Rywjera — ów świat, co się nie nudzi, ale także nie bawi.

Juljan miał wrażenie, że wszyscy dokoła niego udają przed sobą i innymi, że się bawią, a w istocie rzeczy uciekają przed jakiemś zmartwieniem czy troską i wsłuchują się w brzęk złota, jakby ono było uniwersalnem lekarstwem. Błyskały wokoło niego, niby błędne ogniki, pozłacane uśmiechy blichtru i panoszyły się, dobrze ubrane, marnota i pustka. Drażnił go widok mocno dekoltowanej pani Elli, chociaż jeszcze dwa miesiące temu byłaby miłą i pożądaną dla niego zwierzyną, i irytował Fajfer, dość głupi, żeby sądzić, że może konkurować o rękę paskarki. Odwrócił się od tego środowiska, bo nie było w niem miejsca dla tego, którego duszy „ona“ nadawała swój kamerton. Jakaś ręka osobliwa przecięła nici, łączące go z nocną Rywjerą.

Czyż mógł był w idjotyczniejszy sposób zmarnować ten wieczór!? Wlazł w atmosferę, paczulą i tuberozą zaperfumowaną, jakby nie miał w Cannes bukietu wonnych konwalij i róż przy swej „sarence“, lub kamelij i rzadkich storczyków w saloniku pani Egerton. Jeśli nie miał spędzić tego wieczoru w ich towarzystwie, winien był — jak raz w pierwszych dniach pobytu w Cannes — wyjechać kutrem rybackim na całą noc, pomagać rybakom przy połowie i być ze swemi my-

ślami o tej dziewczynie, której serce należało teraz do niego.

I on należał do niej. Tylko do niej! Żaden plagjat, żaden falsyfikat nie mógł uwieść tego, który przez jej miłość, jakby uświęcony, stał się w duszy zbyt dostojnym arystokratą, by miał się pospolitować, by miał zdradzać ją, co nadawała jego życiu całą treść, jedyny cel i sens i podnosiła go ku gwieździe swych dziewiczych marzeń...

W tej chwili widział ją w łóżku, uśpioną — białą wśród posłania białości, w złotej koronie włosów. Na śniegach lic znaczyły się ciemne brwi i rzęsy a na końcach ich wisiał uśmiech rozmarzenia i tęsknoty za nim...

Ona jedna! Prócz niej nie było kobiety na świecie...

W takiem erotycznem uniesieniu nie dopuszczał do głosu trzeźwego rozsądku, który niekiedy ośmielał się pytać pokornie, jak ma ukształtować się jutrzejszy jego stosunek do Sabiny, jak zrealizować ich miłość, jak wcielić w ramy szarego życia. Niby struś w piasek, chował głowę w okropnym strachu przed zaporą, którą w miarę, jak zdobywał jej miłość, nietyle widział, lubo tak wyraźną, co odczuwał coraz boleśniej. Nikogo nie bał się i przed niczem nie cofał, tylko przed nagą rzeczywistością, która stała przed nim jak dzień jasna. Nie miał poprostu głowy, by nad tem się zastanowić, ani siły, by w karnawałowym wirze życia, przypominającego chińską grę barw, zanurzyć w zimnej wodzie głowę pijaną miłością egzaltowaną...

Cóż miał się trapić zawczasu? Przecież nie posłyszał jeszcze z jej ust słowa: kocham...!

Zwykle, zwłaszcza gdy miał ją przed oczyma, słowo to zdawało się wisieć tak blisko, że mógł je, jakby owoc,

zerwać każdej chwili. Wszelako pewnego dnia, gdy wyjechał bardzo wcześnie konno aż na wzgórza pod Tanneron i z wierzchołka zapatrzył się na widnokrąg morski, nawiedziło go wrażenie, że moment ten nie jest jeszcze tak bliski, że musi on wpierw przejść jakąś Gehennę, pielgrzymować i piąć się wzwyż ku „niej“, jakby ku zaświatowej świątyni, gdzie dopiero usłyszy z ust westalki słowo: kocham...

Lecz był pewny, że, skoro padnie to słowo, wtedy cudownym sposobem same przez się znikną zapory, jakby nikłe pyłki, i bez jego udziału wygładzi się powierzchnia wszechrzeczy mocą miłości.

Wrażenie to pierzchło. Pozostało z niego tylko tyle, ile potrzebował do oszukiwania samego siebie, tyle, aby niesforny rozsądek odpędzić uwagą, że niema jeszcze zupełnej pewności, czy ona go kocha, i sprawa cała w dalekiem jest polu.

Oszukiwanie samego siebie jest przyrodzoną potrzebą psychiczną człowieka, koniecznością, bez której życie byłoby nie do zniesienia. Gdy wchodzi w grę miłość, niejeden, zwłaszcza mężczyzna uduchowiony, zdolen jest nie widzieć tego, co widzi, i nie słyszeć tego, co słyszy. Było przeto całkiem naturalne, iż Juljan bronił się uporczywie przed przypomnieniem sobie tego, o czem zapominał przez 24 godziny na dobę tak doskonale, a mianowicie o tem, że nazywa się Zawoja.

Może nie wino i nie pani Ella wyrwały go tego wieczora z Cannes i poniosły na brzeg rozpasanej hulanki, lecz ów robaczek niepokoju, co podświadomie toczył go coraz dokuczliwiej na myśl o jego jutrze z Sabiną.

Teraz wszakże, gdy stał na balkonie nicejskiego Kasyna, miał w duszy tylko wonne wspomnienie chwili na balu, z nią przeżytej, i tak, jak wtedy, gdy ona w ekstazie przysłoniła sobie oczy dłonią, modlił się do niej najczystszej miłości: Ty najcudniejsza... ty anielska... ty moja!

Zbudził go głos Fajfra.

— Julku, co się stało?!... Czy... czy zgrałeś się...?

— Nie grałem wcale.

— Jakto? co?... Nie... grałeś?

— Byłbym zgrał się dzisiaj jak szewc.

— No, jeśli takiego masz „czuja", to dobrze zrobiłeś. Niemniej jednak wielka szkoda. Bo co to za okazja! Co to za bałwany, powiadam ci...

Juljan wysłuchał go cierpliwie.

— Wypijmy jeszcze coś. A potem... oddasz mi przysługę. Proszę cię, zrzuć tę niewiastę z pomostu w morze i utop, albo, jeśli życzysz jej jeszcze gorzej, żeń się z nią, bylem ja nie potrzebował jej bawić ani w taki, ani w inny (mianowicie w inny) sposób. Będę udawał pijanego i zdrzemnę się tutaj gdziekolwiek, a gdy będzie czas na pociąg do Cannes, obudzisz mnie, wsadzisz pijanego w samochód, a sam koleją odwieziesz panią Ellę do Cannes.

Plan ten poddał Fajfer krytycznemu rozbiorowi. Pierwszy punkt programu, t. j. picie, przyjął bez zastrzeżeń, lecz, co się tyczy losów pani Elli, miał inny projekt. Nie rozwinął go całkowicie, gdyż wyszedłszy na salę, zaraz natknęli się na nią — rozpromienioną.

— Wygrałam! Ośmset franków.

— Aż ośmset! — zawołał Juljan i uśmiechnął się do

siebie. — Dalibóg to fenomenalne. Zdaje się, że wszystkie panie, grające pod memi auspicjami, wygrywają, i to ani mniej, ani więcej, tylko 800 franków.

Według programu — pili, potem Juljan był pijany, potem pani Ella przetańczyła raz z Fajfrem i wróciła do zielonego stołu. Następnie pełen poświęcenia Fajfer wsadził pijanego przyjaciela w samochód a sam z kwaśną miną, bo wbrew genjalnemu swemu planowi, odstawił nad ranem do Cannes panią radczynię, nieuszkodzoną, podchmieloną i ostatecznie o 200 franków bogatszą.

X.

— Jak wytłumaczyć sobie ten wypadek na balu, który tak zakłócił zabawę? Tę szybę? — spytała panna Sabina wśród rozmowy w miłym, empirowym saloniku swej matki.

— Pisano o tem w gazecie — rzekł książę Zygmunt. — Podobno drabina, która była oparta o dach, zsunęła się i runęła żelaznemi hakami na szybę.

— Ale ktoś musiałby tę drabinę pociągnąć! — wtrąciła przyjaciółka hrabianki, panna Jacquières.

— O tem gazeta już nic nie mówi — odparł młody książę.

— Zwykle, jak to gazety — ozwał się z przekąsem ekscelencja Kętrowicz — które albo gadają za wiele, gdy nie trzeba, albo, gdzie potrzeba, nie informują czytelników należycie.

— Prawda, że, lubo trochę frywolne, gazety we Francji są lepsze, niż u nas... — zwrócił się do dyplomaty, p. Legrange'a, który, kwestji tej nie podejmując, rzekł:

— W Cercle'u opowiadano, że to sprawka pewnego wydalonego ze służby garsona, który w ten sposób chciał pomścić się na tym zakładzie.

— To daleko prawdopodobniejsze — zauważyła hrabina Morecka.

— Słyszałem o tym wypadku, słyszałem — zabrał głos sędziwy, białogłowy książę Władysław, dla którego rozrywki, jako króla kolonji polskiej w Cannes, hrabina Morecka zaprosiła do siebie na popołudniową herbatę kilka wybranych osób.

Wszyscy zamienili się w ucho, czekali enuncjacji patrjarchy.

— Słyszałem. Zepsuła się przez to zabawa. Jakaś brzydka sprawka... Wywiera to wrażenie... symptomatu naszych czasów...

— W istocie — zwróciła się żywo hrabianka do Zawiejskiego i spytała półtonem: — Czy to nie ręka jakiego komunisty?

— Być może — odparł Zawiejski. — Jeśli tak, to ów śmiałek kosztem tej szyby zrobi karjerę.

— Jakto?

— Otrzyma za taką brawurę mandat, a na mandacie zrobi fortunę, poczem, nie przestając piorunować na wyższe stany, pocznie ubierać swe córki w brylanty i posyłać na tak świetne bale, jak ten nasz ostatni. Tylko oczywiście... ordynarne.

Zdanie to spodobało się ogromnie; wywołało nawet pewne, poklask zastępujące, poruszenie. Jedynie panna Sabina spojrzała na Zawiejskiego, jakby z wyrzutem, i ozwała się:

— Czy nie mogłyby takim anarchistą kierować inne motywy? Może działał w rozterce ducha. Może wyobraził sobie świat inny, lepszy i tak się w niego wpatrzył, że rzeczywistość wydaje mu się karykaturą...

Słowa te, tak słodko z ust jej płynące, wydały się zebraniu niezmiernie śmiałe. Bo czyż ona nie występowała w obronie komunistów?...

— I to być może — odrzekł Zawiejski — lecz, jakie bądź wytoczyłby on argumenty na swoją obronę, czyn jego wyrasta z podłoża ślepej, bezsensownej zazdrości i nienawiści. A to jest nietylko chorobliwym stanem duszy, ale przyznaniem się do swej niższości.

— Hrabia ma zupełną słuszność! — zawołała głośno hrabina Anna, i wszyscy, tym dialogiem trochę zelektryzowani, byli tego samego zdania.

Lecz całkiem odosobniona, nawet przez Zawiejskiego, dziewczyna znalazła tyle odwagi cywilnej, że stawiła czoło opozycji. Zrobiła to w sposób czarujący, miłem spojrzeniem przepraszając Zawiejskiego za to, że śmie nie godzić się z nim.

— A jeśli to, co pan hrabia nazywa „nienawiścią“, nie płynie z pobudek osobistych i niskich, lecz jest... nie wiem, jak się wyrazić... raczej tylko odwrotną stroną miłości ideału...

Tego było już o wiele za wiele. Hrabina, zgorszona czelnością Sabinki, która niemal kompromitowała się obroną fikcyjnego komunisty, chciała położyć kres tej niewczesnej rozmowie. Oczekiwano wszakże jeszcze odpowiedzi Zawiejskiego.

On jeden, zdumiony jak wszyscy niespodziewanym występem tej słodkiej, nawskroś kobiecej

dziewczyny, był jednocześnie nią zachwycony. Był nawet dumny ze swej sarenki. Imponowała mu bowiem czemś, co nazywano bodaj charakterem. Ale stawiała go w bardzo trudnej sytuacji; nie chciał jej zmiażdżyć argumentacją, przeciwnie pragnął wobec tego nieprzychylnego dla niej audytorjum obronić ją, a jednocześnie nie wolno mu było zejść ze swego stanowiska.

— Pani nie poddaje się... — roześmiał się istotnie czarująco i już tym zwrotem kaptował sobie jeszcze wyższe względy słuchaczów — to prawdziwie po rycersku... I ja do dalszej potyczki uchylam przyłbicy. Lecz wpierw muszę oddać najwyższy hołd... kobiecie, która przemówiła przez usta pani w sposób istotnie... przepiękny. Idąc za głosem serca, pani w występnym osobniku wyczuwa przedewszystkiem zbolałą duszę i ustosunkowuje się do niej z współczuciem chrześcijańskiem. Niestety, my mężczyźni nie możemy pozwolić sobie na to, bo musimy na takie objawy patrzyć ze społecznego stanowiska. Ale niech pani nie ma nam tego za złe... Czuwając bowiem nad ukróceniem dzikiej swawoli wywrotowców, czuwamy jednocześnie nad tem, by nie zabrakło na tym świecie kobiet tak pięknie czujących, jak pani...

Zachwyt, temi słowy wywołany, przeszedł ponad ton salonowy, obcinający rogi wszelkim wybujałościom uczuć. Stary książę Władysław pozwolił na entuzjastyczne przyjęcie tej alokucji, klaskając w tłuste dłonie i wołając:

— Brawo!

W istocie, ów Zawiejski był nadzwyczajny. Jego świetna francuszczyzna i galanterja rycerza z 18-go

wieku wielkie wywarły wrażenie, i p. Legrange dziwił się, jak dyplomatycznie wybrnął on z tej sytuacji. Wszyscy zaś byli mu wdzięczni, że temu zajściu konwersacyjnemu, co jakieś groźne przybierało pozory, nadał cechy wytwornej szermierki i zakończył je jakby pokłonem kapelusza dworzanina.

Skoro rozmowa inny wzięła obrót, i potrójne „r“ ekscelencji rozległo się w saloniku, książę Władysław długo kiwał do siebie głową, poczem przechylił się do ucha hrabiny Moreckiej.

— Pani Anno, to jakiś znakomity człowiek... Gdybyśmy to umieli wysunąć takiego człowieka na świecznik polityczny... To byłby przedstawiciel naszej warstwy i obrońca naszych interesów, co?

Hrabina zdanie to podzielała zupełnie. Poczęła opowiadać księciu o nadzwyczajnych Zawiejskiego sukcesach na błoniach wyścigowych zarówno, jak w salonach monseigneur'ów i lordów. A książę kiwał głową, pilnie słuchając.

Tymczasem Zawiejski upolował stosowny moment, by pocieszyć w gruncie rzeczy zawstydzoną swą „bezczelnością“ Sabinkę.

— To było wspaniałe, panno Sabino!

Ona spojrzała w jego oczy głęboko.

— Pan jeden tak sądzi. A czy szczerze?

— Pani wątpi?

— Nie mogę wątpić. Istotnie, pan mnie zrozumiał, choć... przecenił...

— Nie, panno Sabino. Powiedziałem raczej za mało. To było... zachwycające!

Taki zachwyt trysnął z tego słowa, a zarazem z kasztanowych jego źrenic na twarz dziewczyny, że szybko poczęła poprawiać ręką włosy koło ucha, by osłonić swe zdradzieckie lica przed zebraniem. Odwróciła się zmieszana. Zdało się jej, że on ją pocałował.

Juljan ogromnie lubił te jej zakłopotania i gorące rumieńce, gdyż nietylko stwierdzał, jak silnie na nią działa, ale poczytywał to za objaw pełnokrwistości i zdrowia.

— Mówił przez pana wspaniałomyślny zwycięzca— zauważyła.

Nawet w tym, tak niewdzięcznym dla amanta salonie, przebiegły a rozkochany do szału „zwycięzca" potrafił jeszcze dotknąć najczulszej struny.

— Zwycięzca... A któryż zwycięzca nie pada w proch przed... sercem?

Sabina przeraziła się. Boże, ludzie zobaczą, co się z nią dzieje, co ten okropny człowiek z nią dokazuje!

Odwróciła się do stojącej pod ścianą etażerki z nutami. Ach, czemu ona nie śmie, czy nie umie nic mu powiedzieć?

To wręcz okropne, tak w sobie to więzić!

— Doskonale, Sabinko — ozwał się głos jej matki. — Mogłabyś zagrać coś księciu. Może Griega lub Chaminade?

Zawiejski wydobył całą plikę nut, w których Sabinka poczęła przebierać.

— Pan lubi Griega? — spytała go zcicha.

— Bardzo. Np. „Erotykę".

Siadła do fortepianu i zagrała — naturalnie „Erotykę".

Zawiejski rad, że nie musi nic mówić, słuchał i uszczęśliwiony szeptał sobie w duszy: „Ty śliczna sarenko, póki życia, nie wyplączesz mi się z mych miłosnych sideł, nigdy...

Głęboki podziw dla niej towarzyszył mu, gdy wyszedł z salonu hrabiny.

Wywierała nań magiczny wpływ. Przy niej gotów był wierzyć w czystość i szlachetność motywów, kierujących ludźmi, w miłość, jako busolę w stosunkach między narodami możliwą, w ideał, przyświecający ludzkości, i takie rzeczy, nad któremi pospołu ze światem uśmiechał się z pogardliwem politowaniem.

Ona próbowała mu to nawet wytłumaczyć.

Nazajutrz przed śniadaniem zeszła na werandę wcześniej od matki, w cichej nadziei, że może uda się spytać Zawiejskiego, jak on to wyeliminował z Cannes Lanziego.

Zawiejski był już przy swym ukwieconym stoliku. Zaraz przy powitaniu, nawiązując do wczorajszej z nią rozprawy, zagadnął ją o ów „ideał“, na co ona zakłopotana odrzekła:

— Nie będę umiała panu tego uzasadnić. Nic o tem nie czytałam. Myślałam sobie jednak kiedyś, jeszcze w klasztorze... Gdybyśmy tak mogli zebrać wszystkie te wzniosłe, podniebne myśli, te cudowne, jakby boskie tony duszy, jakie odnajdujemy czy to w książkach pisarzy, czy w wieżycach kościołów i rzeźbach, czy to w naszym... Chopinie, w muzyce kościelnej i innej, czyż nie powstałoby z sumy tych szczytnych tonów coś niby słońce, przez samą ludzkość wytworzone i będące jej ducha wyrazem...? Gdy to sobie pomyślałam, byłam bar-

dzo szczęśliwa, bo uzyskałam pewność, że w człowieku jest odblysk Boga... A Bóg to przecież najwyższy ideał...

Po chwili milczenia, patrząc w zamyśloną jego twarz, spytała:

— Czy to bardzo niemądre, co ja panu mówię?

— Nie, panno Sabino, to, co pani mówi, jest cudowne! — wyszeptał przejęty.

Nadzwyczajna dziewczyna. Ona rzeczywiście... myślała, zamiast, jak inne panny w jej wieku, powtarzać, co czytała lub słyszała. Nie, ona nie myślała, lecz czuła. Odczuwała silnie, a że potrafiła swe uczucia tak zrealizować, to dopiero było zasługą jej umysłu.

Jakim ona była dla niego tajemniczym aniołem! Odkrywał w niej codziennie nowe piękno, nie zdając sobie z tego sprawy, że sam ku temu pięknu się wznosi.

Wprowadziła go w jeszcze większe zdumienie, gdy, nawiązując do tego, ozwała się:

— Pan przecież nie ustępuje mi nic a nic w idealizmie.

— Tak pani sądzi? — przeraził się Juljan, jakby daleki od idealnych wzlotów, jakby z niej nie był stworzył bożyszcza i nie modlił się przed niem. Wręcz śmieszne wydało mu się, że ta dziewczyna „fabrykowała“ z niego jakiegoś idealistę.

Ale na ten uśmiech sceptyka Sabina odpowiedziała z przekonaniem:

— Pan jest o wiele lepszy, aniżeli sam sądzi...

Gdy na to nic nie odrzekł, podniosła na niego wzrok i zdziwiła się, że był bardzo smutny. Nigdy dotąd nie widziała na jego czole chmurki. Chyba wtenczas, gdy tak zawziął się przeciwko włoskiemu jej konkurentowi.

Na to pojawiła się na werandzie hrabina z Kaziem, i coś ją tknęło na widok tej pary, która wyrastała ponad obozowisko stołów i stolików i wśród rozgwaru zdała się zapomnianą rzeźbą dwojga dobranych, pięknych postaci.

XI.

Uwagi Sabiny zapadły głęboko w jego duszę...

Mówiąc: „pan jest lepszy, niż sam sądzi...“, Sabina chciała mu powiedzieć jedynie, że dla niej jest on dosyć dobrym, że kocha go, jakim jest. Złota dziewczyna...

Niemniej zdawało mu się, że ona każe mu kategorycznie, pod grozą utraty jej serca, zbliżać się do wypieszczonego przez nią ideału. Snać w czystem jej sercu dziewiczem obraz jego odbijał się zgoła inaczej, niż w jego własnem pojęciu. Dla niej był wcieleniem jej ideału mężczyzny, dla niego—dobrze oszlifowanym hedonistą, hulaką, szubrawcem. Im wyżej stawiała go, tem niżej upadał we własnem wyobrażeniu. Bo przykładał do siebie jej miarę, a przed jej obrazem czuł się jakby przed obliczem anioła.

Był kochany, szczęśliwy, a jednak często bywał smutny, bo sądził, że, gdyby ją teraz miał, ona kochałaby nie jego, lecz w nim kogoś innego, tak doń niepodobnego, kochanka jej serca. Kontrolował więc swe myśli, jakby miał się z nich przed nią spowiadać. Wiara, jaką ona w nim pokładała, działała zarówno sugestywnie, jak podniecająco na jego ambicję. I modelował się według zaznaczonego przez nią wzoru.

W tych bezlitosnych z sobą porachunkach i w godzinach smutku, który, dawniej nieznany, nawiedzał go, jako konieczny towarzysz wielkiej miłości, krystalizowały się jego uczucia, nabierały hartu granitów i blasku diamentów. W nurtach tych wód oczyszczających piękniał wewnętrznie i stawał się istotnie podobnym do obrazu jej ukochanego. W pojęciu jej istniał i jaśniał głównie w aureoli egzaltowanych uczuć, jeśli jednak miłość jest kamieniem probierczym wartości człowieka, to ona była bliższa prawdy od niego. Wiedziała lepiej, co on wart na dnie duszy i kim jest, i nie myliła się, mówiąc: „pan jest lepszy, niż sam sądzi".

Atoli dlatego, iż rzeczywiście był „lepszym", aniżeli w chwili, gdy wszczynał obławę na tę sarenkę, podnosiły się z jego duszy, przez miłość wielką przeoranej, lęki i skrupuły na myśl o ostatecznem, śmiałem wyznaniu miłości. Za wyznaniem takiem bowiem szły oświadczyny. A któż miał oświadczyć się o hrabiankę Morecką?... „Hrabia Zawiejski?".

Odwrócił się stan rzeczy. Pierwotnie on pędził za nią naoślep, a ona uciekała, przelękniona idącym na nią huraganem miłości, a teraz on przystawał, powstrzymywany w zapędzie przez jakąś potężną rękę, gdy obłaskawiona, przywiązana sarenka wychodziła ku niemu i mówiła mu każdem spojrzeniem swych głębokich, dobrych oczu: Kocham cię, kocham i czekam...

Oboje zaś tęsknili za sobą. Nastały słoty i chłody, i tak się złożyło, że przez długie trzy dni spotykali się tylko w teatrze i w licznem, sztywnem zgromadzeniu. W tej duchowej rozterce Juljan ulegał nastrojom zupełnej beznadziejności i, chociaż rozumiał, że, jeśli ma

być jej godnym, tego mu nie wolno, grywał nocami z dawną zapamiętałością rozbójniczą.

Mimo, że wracał do siebie nad ranem, przed południem spędzał jedną lub dwie godziny na błoniach wśród koni, przygotowując wierzchowca do zawodów hippicznych.

Gdy dnia tego wrócił z południa do hotelu, ujrzał w hallu siedzącą Sabinę, która na jego widok zarumieniła się, niby przychwycona na gorącym uczynku.

— Pani wychodzi? Zanosi się na deszcz — rzekł przy powitaniu.

— Chcę pójść do panny Wandy Modrzyckiej, która dzisiaj wieczorem odjeżdża. Mama miała wybrać się ze mną, lecz widocznie przeraziły ją deszczowe chmury. Nie mogę się jej doczekać. Pójdę sama.

Oczywiście, nie mógł jej nie odprowadzić.

Skoro tylko wyszli z westybulu, Sabina zaśmiała się:

— Powtórzę pytanie, jakie postawił mi pan w czasie balu dla księżnej de Vallentinois: „Nic mi pan nie mówi o Lanzim?...“

— Czy pani zatęskniła za nim?

— O, z pewnością — rozśmiała się uszczęśliwiona, że jest z nim razem. — Jako kobieta, jestem ciekawa, a w tym razie doprawdy należy mi się, i to od dość dawna, aby mi pan powiedział, jak to się stało, że hr. Lanzi znikł z naszej widowni tak nagle.

— Byłem szczęśliwy, że mogłem panią uwolnić od natręta.

— Nie wolno mnie zbywać ogólnikami!

Juljan nie chciał się chwalić, stroić sam w barwy jej przybocznego rycerza, ani też wtajemniczać ją w dia-

log i scenę z Lanzim, gdyż nie był wcale pewny, czy nie dopatrzy się ona w tem brutalności. Opowiedział jej, jak Włoch zaczepił go o taniec, jak groził mu pojedynkiem i jak on sam zkolei wytoczył mu sprawę o obrazę rodaczki.

— Jak mu to pan powiedział? — indagowała panna.

— Zakazałem mu zbliżać się do pani i zapowiedziałem, że przed upływem 24 godzin musi wyjechać.

— Zakazał mu pan? Jakto?

— Ot, poprostu, mocą imperatorskiego: „tak chcę— tak rozkazuję".

— „Poprostu"?? To wcale nie poprostu — zaśmiała się. — A co on na to?

— Zamilkł, odszedł i... nie widzieliśmy go więcej.

— Przeraził się pana... Zrezygnował z pojedynku, na szczęście, i uciekł. A... co on przypuszczał, że pan z nim pocznie w razie, gdyby się nie zastosował do tego rozkazu?

— ...Myślał zapewne, że... go zabiję.

— Boże! Panby to uczynił?

— Kto wie... Żołnierz jestem... Uniosłem się, czując, że... kobieta polska jest dla mnie świętością, jakiej, zaprawdę, nikomu na świecie nie wolno uchybiać...

— Nie wiem doprawdy, czy mam panu dziękować, czy na niego się gniewać... — wyszeptała przejęta. — Boże, co mogło z tego wyniknąć!... Ale pan nie byłby go przecież zabił?...

— Panno Sabino... Powiedziałem, że ten bezczelny intruz zniknie stąd w ciągu doby i... to musiało tak być... za każdą cenę...

Przez długą chwilę Sabina kroczyła obok niego w milczeniu. Wreszcie objęła jego twarz spojrzeniem, a w oczach jej lśniło uwielbienie.

Juljan począł szybko mówić o swym projekcie kawalkady. Zjawił się przed nimi Kazio Morecki, wracający z boiska, gdzie grywał w piłkę nożną, i Zawiejski zaprosił na tę wycieczkę nietylko ją, ale i jego, obiecując mu żwawego konika.

Po chwili pożegnał Sabinę, ogromnie i podwójnie zdumiony. Nie mógł pojąć, że, wbrew swemu postanowieniu, powiedział jej całą prawdę szczerze, jakby przed nią wcale kłamać nie potrafił. A powtóre zaskoczony był tem, że za ten swój akt, bądź co bądź brutalny, otrzymał od tej słodkiej dziewczyny spojrzenie złotego zachwytu.

Już następnego dnia słońce weszło w pełne swe prawa, i pogoda była tak piękna, że, przygotowana sumptem Zawiejskiego, eskapada do Napoule we dwa dni potem przyszła do skutku.

Skromna jadalnia w hotelu tej niewielkiej, tylko latem nawiedzanej, miejscowości nadmorskiej przeobraziła się, gdyż Zawiejski z pomocą pani Egerton przystroił ją kwiatowemi i innemi ornamentami nadzwyczajnie gustownie. W mozaice barw przeważały barwy Monseigneur'a, który z małżonką i kilku innemi osobami miał przybyć na śniadanie, urozmaicone komicznemi niespodziankami. Raz jeszcze faworyt socjety chciał zabłysnąć, głównie w oczach hrabianki i jej matki.

Na tych dostojnych gości, z hrabiną Morecką i panią Egerton, oczekiwać miało tam grono jeźdźców

i amazonek, składające się z najlepszych znajomych Zawiejskiego i kilku sportsmanów.

Mieszkańcy Cannes, jak najsympatyczniej usposobieni dla zimujących tam zastępów gości, zwożących im dużo złota, ze szczególną sympatją przyglądali się kawalkadzie, defilującej przez bulwar Feliksa Faure'a i wzgórze Chevalier. Zawiejskiego, który jechał na czele z przystojną Angielką w męskiem siodle, znano w mieście dość powszechnie, dzięki jego sukcesom w konkursach hippicznych, a głównie dzięki urodzie. Szły za nim oczy, gdy na karogniadym wałachu ukazał się w ożywionej, handlowej ulicy.

Wśród gapiów znalazła się także pani Wojkowska, odwiedzająca pilnie różne magazyny. Pożerała wzrokiem obraz kawalkady, notowała w pamięci tysiące szczegółów i podziwiała Zawiejskiego, ubolewając, że, po obiecującej wycieczce ich do Nicei, znów gdzieś się jej zaprzepaścił. A dla tego okazowego „chłopca" można było popełnić szaleństwo, zaryzykować majątek i zapomnieć, jeśli nie o świecie, to o innych mężczyznach.

Najwięcej, i to na kredyt, radował się wycieczką Kazio Morecki. „Ten kochany hr. Zawiejski" dał mu rzeczywiście konika ambitnego, co nie pozwalał wyprzedzać się innym wierzchowcom. Wprawdzie zrazu przykro mu było, że w tym szwadronie przypadło mu miejsce na szarym końcu, wpobliżu masztalerzy, zamykających orszak, wszelako Zawiejski zaradził temu. Gdy po dłuższem kłusowaniu konie przeszły w stępa, i przewódca zorjentował się w ugrupowaniu uczestników, szepnął rozpromienionemu chłopcu, by przycze-

pił się do siostry i jej towarzysza, którym nie był nikt inny, jak wierny książę Zygmunt.

Zawiejskiemu wypadło koniecznie wystąpić na czoło z kuzynką przyjaciela, panną Mary Cranmer-Byng, a pragnął mieć przy boku hrabiankę, zwłaszcza, że nie mógł napatrzeć się na nią, tak rasową i zjawiskową była w czerni obcisłej amazonki, w palonych bucikach, w meloniku na jasnych włosach, w węzeł związanych, z twarzyczką wysmaganą przez wiatr, z gwiaździstemi oczyma. Zauważył — zawsze gotów do adoracji — że w damskiem siodle uwydatniała się jej figura daleko piękniej, aniżeli na obrazku, na jakim wystawiał ją sobie w siodle męskiem. Była jakby z bronzu ulana.

Droga wiodła ich szlakiem nadmorskim, u podnóża pierwszych wzgórz Esterelu, wielkich garbów wielbłądzich, czy bałwanów, głębokiem westchnieniem ziemi stworzonych. Pinjami i dębami porosłe wzgórza załamywały się falisto, miejscami zazębiały. Majaczyły wśród nich posępne kontury średniowiecznego ermitażu. Gdy przejechali obok pięknej alei, prowadzącej do nadmorskiego parku, ukazał się woddali szczyt jednej z wieżyc zamku w Napoule. Przez najładniejszą część drogi, gdzie bulwar pnie się do świerkowo-dębowego lasu, jechali powoli, rozmawiając o swych wierzchowcach. Uskarżali się na kurzawę, jak mąka miałką, co podnosiła się z pod kopyt, i wspominali bal u hrabiny Forestier.

— Nie mówiłem pani jeszcze — począł żywo książę Zygmunt do Sabiny — że miałem wczoraj list od ciotki Zabitowskiej, zapowiadający jej przyjazd...

Nagle hrabianka spochmurniała.

— Kiedy książę oczekuje hrabiny Zabitowskiej?

— Najdalej za tydzień. Pisze mi ona, że z niecierpliwością czeka chwili poznania pani i jej łaskawej mamy. Posłałem ciotce naszą małą fotografję tennisowej kompanji, a zarazem dałem jej rysopis pani taki, że ciotka, jak pisze, już teraz panią kocha. Ona bardzo miła. Polubi ją pani odrazu, chociaż uprzedzam, że miewa ona powiedzenia... dosadne, jak stryj mój zauważył, furmańskie. Niemniej jest jej z tem do twarzy.

— Słyszałam, że bardzo rozumna — bąknęła panna bezbarwnie, aby nie milczeć.

— Z pewnością — ciągnął, zapalając się, książę — ciotka przyzna, że odmalowałem panią w barwach wcale nie za pochlebnych... Może mnie nawet zbeszta od ostatnich, że za mało pochlebnych, bo to wielka entuzjastka. Nie chodzi jednak o słowa, lecz o treść pod nie podłożoną.

— Czy książę sądzi, że słowa są nato, by ukrywać treść?

— Tak mi się zdaje. Notabene okazuje się, że nie omyliłem się, mówiąc pani, iż na początku 18 wieku, za Augusta III, Barbara, córka księcia Jana z mej rodziny, poślubiła kasztelana Moreckiego na Litwie. Pytałem o to ciotki i potwierdziła to.

— Książę ma pamięć znakomitą.

— Nie pamiętałem tylko, jak było na imię temu kasztelanowi Moreckiemu. Natomiast przypominam sobie, że czytałem w niewydanych pamiętnikach, które mamy w bibljotece, że kasztelan polował na dziki z oszczepem. Było mu na imię Marcin — utwierdził sobie w pamięci książę.

Gdyby nie zbyt daleko idąca powściągliwość języka, byłby dodał, że za tę Barbarę trzeba teraz odebrać gniazdu Moreckich Sabinę. Nie śmiał wszakże posunąć się do tego kroku, zwłaszcza, że panna utonęła w zamyśleniu i z całą uwagą spędzała szpicrutą muchy z karku swej kasztanowatej klaczy.

Jeszcze Napoule było daleko, gdy czoło kawalkady zatrzymało się, a za niem reszta. Albowiem jednej z amazonek tak dokuczało pragnienie, że koniecznie chciała się napić wody. A ponieważ słońce dopiekało, i panie były zbyt ciepło ubrane, Zawiejski sądził, iż wszyscy chętnie napiją się grenadiny. Zeskoczyli z koni, bez uwagi na to, że mieli przed sobą drewniany, prymitywny „estaminet“, odwiedzany bodaj wyłącznie przez ogrodników i rybaków. Wtargnęli do niego gromadnie. A że chodzili tylko po posadzkach, brudna traktjernia miała dla nich specyficzny powab, jakby zabawnej extra-tour‘y.

Karczmarz, otyły Włoch z zatłuszczonym fartuchem, pokrywającym piersi i wydatny brzuch, przyjemnie zaskoczony niespodzianym takim najazdem, jął końcem fartucha otrzepywać z pyłu ławy i składane krzesła na werandzie, zmobilizował dwie bosonogie dziewczyny, i wnet pojawiły się na stołach flakony z barwnemi likworami.

Lord Pembroke skorzystał ze sposobności i pił przy bufecie w braku whisky przedni konjak z wodą sodową. Kilka osób poszło w jego ślady. A na werandzie, osłoniętej górą i z boków deskami, rozsiadło się grono pań nad oranżadą i pomarańczami.

Do panny Sabiny zbliżył się zaraz pan Legrange. Pojmując, że między nim a nią stanęli dwaj jej rodacy: ks. Zygmunt i Zawiejski, nie obiecywał sobie u niej powodzenia. Niemniej wszakże nie odmawiał sobie przyjemności popatrzenia na nią zbliska. A przytem zbierał świeży materjał do wiązki swych obserwacyj o kobietach słowiańskich.

Jednak rozmowa nie kleiła się. Panna była widocznie roztargniona, zbyt zwarzona tak wiele jej mówiącą wiadomością o bliskim przyjeździe ciotki księcia. Nadto irytowała ją miss Mary Cranmer-Byng, która, stojąc nieprzyzwoicie blisko przed Zawiejskim, szczerzyła do niego swe duże zęby i, jakby pod dobrą datą, śmiała się mu w twarz, zalewając go wytryskami pustego humoru. Narzucała mu się poprostu jawnie. Francuszczyzna jej zdawała się Sabince zgrzytem chrupanych orzechów, ona sama zaś ciężką, niezgrabną z dużemi nogami, a w swem rozwichrzeniu — niesmaczną, wulgarną.

Zawiejski — taki prawdziwy, typowy ułan z figury, w obcisłym żakiecie i kratkowanych rajtuzach — na śmiech jej odpowiadał śmiechem. Bawili się jak spoufaleni, zgrani koledzy. To Sabinkę bolało. Oby choć na moment nie słyszeć tych szczebiotów i nie widzieć wesołych twarzy.

Śmiechy wnet przeniosły się do wnętrza gospody i odeszły. Na werandzie pozostała Sabinka sama.

Dlaczego Zawiejski był nieodstępnym towarzyszem tego hulaki, Pembroke'a?... Jeśli magnacką panią Egerton uzna za zbyt starą dla siebie, ożeni się z tą jego wulgarną kuzynką. Jedna i druga jest bogatszą od niej,

a on, przez bolszewików ograbiony i wyzuty ze swych dóbr, potrzebuje bardzo posażnej żony. Będzie w Anglji ulubieńcem towarzystwa... A ona zostanie... najdostojniejszą księżną panią we wspaniałym zamku, w złotych ciężkich ramach i wkrótce podobnie, jak owa bohaterka maupassantowskiej powieści, przekona się, że w cieniu wielkiego drzewa genealogicznego jest dokoła niej szaro i ogromnie szaro w jej duszy... Takie jest życie...

Wtem wpadł na werandę Zawiejski.

— Panno Sabino!... — począł i zatrzymał się zdumiony jej smutkiem. — Co się stało?...

Całkiem odruchowo pochwycił w dłonie jej złożone ręce, oplótł, jakby chcąc je ogrzać, i to z taką czułością, że aż prąd przedziwnej ciepłoty przeszedł od niego pod serce dziewczyny.

— Pani taka smutna. Dlaczego?... — wyrzekł gorąco, z akcentami więcej niż tatusinej tkliwości i tak, że tylko paść na pierś jego i płakać ze szczęścia. Bo przecież nie mógł powiedzieć wyraźniej, że ona jest dla niego na świecie wszystkiem.

Oskrzydliło ich cieplejsze od słońca szczęście...

Przez długą chwilę Sabinka nie mogła zebrać myśli. Z pochyloną głową stała przed nim, jeszcze bliżej, niż panna Mary, i nie odbierała mu rąk, które coraz więcej zbliżały się do jego ust.

— Co takiego zaszło?... Czemu tak smutna?... — łkało jego serce, pełne kochania i dźwięków pieszczoty.

— ...Przykro jest robić przykrość przyjacielowi.

— Komu? Księciu?...

Na znak potwierdzenia Sabinka kiwnęła lekko głową.

Lirykę ich serc, w jeden akord splecionych, przerwał Kazio. Wpadł na werandę jak bomba.

— Sabinko! Wsiadamy! Skończ z tą głupią pomarańczą i śpiesz się!

Porwał resztę jej pomarańczy ze stołu, i tyle go było.

W kilka minut potem pędzili cwałem do Napoule. Rzucili okiem na trzy czworokątne wieże starodawnego zamku, przeglądającego się w morzu, i na przyczepiony do nich gmach, zajęty przez amerykańskiego Krezusa, i zapuścili się dalej w osiedle, gdzie, minąwszy dziwaczne skały nad morzem, ujrzeli w dolinie wspaniały wiadukt. Zaczem powrócili do hotelu de l'Esterel i rozeszli się po zarezerwowanych pokojach.

Nie zdarzyło się to wypadkowo, że Zawiejski mył sobie ręce i otrzepywał z kurzawy ubranie w tym samym pokoju, co książę Zygmunt.

— Monseigneur i Madame nie przybędą wcześniej, niż za dwadzieścia minut — zauważył jeden ze snobów.

— Więc możemy spokojnie wypalić papierosa — zwrócił się Zawiejski do księcia, podając mu papierośnicę.

— Czemu to mylord dzisiaj taką ma minę, jakby połknął żabę? — rzucił książę, siadając w fotelu.

— Po trzeciem whisky humor mu się poprawi, chociaż... — bąknął Juljan i mówił żywo dalej: — Mogę to opowiedzieć, jeśli pisały o tem angielskie gazety.

— Co takiego?

— Zdarzyła się w jego rodzinie historja... niemiła i popsuła mu nieco krwi, bo bohaterem jej jest bliski

jego krewny. Młody oficer, na służbie w Indjach, zakochał się w jakiejś młodziutkiej, urodziwej rodaczce. Pokazywał jej pagody i nie wiem jakie inne cuda tego bajkowego kraju, ciceronował jej i ojcu jej, a przytem patrzał głęboko w oczy dziewczyny, aż wkońcu oświadczył się. Panna darzyła go rzetelną przyjaźnią, była mu wdzięczną za usługi, więc pod naporem ojca i brata zgodziła się wyjść za niego zamąż. Ślub miał odbyć się w Londynie. Oficer nie mógł towarzyszyć narzeczonej zpowrotem do kraju. Czekał na zwolnienie ze służby. Ale w Londynie poczyniono zaraz wszelkie przygotowania do wesela. Jeszcze przed przyjazdem narzeczonego figurowały w gazetach podobizny młodej pary, opisy wspaniałej sukni ślubnej i pereł, czy innych klejnotów do tego stroju. Ogół dowiedział się także z pism, gdzie dostojna para spędzi miesiąc miodowy i w jakiej rezydencji zamieszka następnie. W kościele stawiły się dwie rodziny, długa drużyna znajomych i ciekawych. I Pembroke miał pojechać, lecz wykręcił sobie nogę, i to stanęło mu na przeszkodzie. Nie gniewa się o to, bo zaszła niespodzianka...

Opowiadający zapalił zgasłego papierosa, a książę rozciekawiony zapytał:

— Cóż takiego?

— Otóż... — kończył fikcyjną opowieść Juljan — wszyscy stawili się w kościele oprócz... panny młodej. Kilka godzin przedtem znikła z domu. Uciekła z innym oficerem...

— A to skandal. Brzydka historja. Ale ta pannica postąpiła sobie bardzo nieuczciwie...

— Ot, poszła za głosem serca. Istotnie, względem na-

rzeczonego postąpiła nieładnie, lecz on postąpił sobie nierozważnie, budując na przyjaźni, którą wziął za miłość, snać istniejącą jeszcze i pokutującą w naszych demokratycznych czasach na tym praktycznym świecie.

Umilkli.

Po chwili Zawiejski zerwał się na nogi.

— Zdaje się... głos syreny... Jadą. Monseigneur będzie z nami za moment.

XII.

— Czy hrabia wcale nie grywa w tennisa? — pytała hrabianka Juljana wśród grona znajomych na deptaku.

— Owszem. Wprawdzie zdaje mi się, że jestem za wysoki a zatem za mało zwinny i nie doprowadziłbym w tennisie do doskonałości, lecz grywam chętnie.

— Nasze kółko zbiera się teraz aż w „Kalifornji“, bo tam tak ładnie. Za obserwatorjum. Pan zapewne nie był tam jeszcze wcale?

— Byłem i wiem, gdzie są place tennisowe. Teraz, po zawodach hippicznych będę mógł przyjść z rana i popatrzeć na grających.

— Jeśli pan ma ochotę zagrać z nami, to może jutro... o wpół do jedenastej — wyrzekła panna, odwracając zakochane oczy.

Ona naznaczała mu schadzkę!...

Radość jego zakłócił głuchy niepokój i zdławił ją. Wróciwszy do hotelu, Juljan chodził po pokoju jak błędny, niby zwierz w ostępie bez wyjścia. Wreszcie, nie czekając na śniadanie, puścił się samochodem w stronę Monte Carla. Od Nicei, sam kierując wozem,

obrał dalszą drogę, t. z. Grande Corniche, wykutą w skałach grzebienia górskiego, którą ongi Hannibal, a w wiele wieków później Napoleon przekraczali Alpy. Posuwał się naprzód żółwio, rozkoszując się popielatemi kulisami gór, zestawionych eszelonami amfiteatralnie, oraz bezmiarem błękitnej równiny, nisko przed nim spoczywającej niby kobierzec czy parkiet z kryształów, w których odzwierciadla się niebo. Utopił oczy w tym obrazie i czuł, że dusza w nim rośnie i unosi się ponad świat pragnień i żądz wszelkich ku wiekuistości, wznosi ponad udrękę, co wzięła jego serce w swe szpony.

Uciekał myślami od jutrzejszego spotkania z Sabiną, od momentu nadewszystko dawniej upragnionego, wymodlonego sercem, gdyż miał tam wyrzec słowo ważkie, rozpoczynające nową w ich stosunku fazę, fazę tonącą w czarnej mgle niepewności. Cóż za złośliwa, okrutna potęga tratowała tak brutalnie radość szczęśliwego amanta i wzębiała się w trzewia duszy, jakby mistycznym lękiem? Nie chciał kategorycznie jej znać, ni nazwać. Nie myśleć o niczem, co boli! A jeśli myśleć o „niej", to jedynie o tem, jaka ona piękna, jak urocza w blasku swej majowej, sielankowej miłości, i jak on tulić będzie w ramionach tę ślicznotę. A potem — jak porwie ją całą na własność! Bo jeśli niebo mu jej nie powierzy, piekło dać musi.

Zatrzymał się przed Kasynem w Monte Carlo, gdyż u progu jego pozostawia się wszelkie poważniejsze myśli. Grał w ruletę, by zaprzepaścić się w bezmyślnej rozrywce. Wdrożył się w tryb gry, gdy poczuł czyjąś rękę na ramieniu.

— Zawoja! Jak babcię kocham, Zawoja!... — rzekł półgłosem adwokat z Warszawy, uradowany spotkaniem znajomego.

Juljan żachnął się i odwrócił tak posępną twarz do niego, że przybysz nie wiedział, co sądzić o takiem powitaniu. Może mu przeszkodził w grze, może Zawoja przegrywał ostatnie pieniądze?

— Niech pan siada na moje miejsce. Ja mam już dosyć — rzekł Juljan, powstając.

Pragnął zaprząc go do kieratu gry, by go się pozbyć. I to mu się udało. Lecz w pół godziny potem adwokat odnalazł go przy innym stole rulety, i nie było można od niego się uwolnić. Juljan powiedział mu, że mieszka w Nicei i tego wieczora wyjeżdża do Warszawy. Zabrał go na kieliszek Madery, pogadał z nim o tem i owem i uciekł.

Zawoja!... Chociaż w Cannes był tak świetnym hrabią Zawiejskim, pozostał i był... Zawoją. Czyż, zapierając się swego nazwiska, nie zapierał się on swego ja?... Być może, lecz naonczas, gdy kreował się hr. Zawiejskim, nie miał dla siebie poszanowania...

Cóż miał z sobą począć w Monte Carlo? Przeszedł w umyśle girlandę mnogich, nastręczających się tam przyjemności. Zauważył dwie bardzo ponętne i dystyngowane gamratki, zastanowił się, czy nie zabrać ich na przejażdżkę samochodem, a następnie na dancing do restauracji. Przyszedł jednak do przekonania, iż najlepiej będzie mu na duszy w atmosferze zacisznego saloniku pani Cyntji, więc niezwłocznie, w szalonem tempie popędził zpowrotem do Cannes.

Zdawało mu się, że nazajutrz wzejdzie dzień całkiem

niepodobny do wszystkich innych dni w jego życiu. A tymczasem słońce tak samo, jak w ubiegłe ranki, świeciło na lazurowym brzegu, lekki zefir marszczył powierzchnię wód, karbował ją miekką dłonią, stroił tu i owdzie w grzywy piany. Mewy hulały w przestworzach wesoło, niekiedy spadając na szyby wodne. Kołysały się na fali leniwie, niby w hamaku, i znów podrywały, fruwały w beztrosce słonecznej. Z oddali na widnokręgu, gdzie morze ze sklepieniem niebios w jedną kolorystyczną zlewało się harmonję, posuwał się, niby łabędź, olbrzymi statek, ubielony wydętemi żaglami. A cudowny, niepokalany spokój wisiał nad krajobrazem, wyłaniał się z jego wiekuistej, błękitnej duszy.

Gdy Juljan, wysiadłszy z samochodu w głębi olbrzymiej, wzgórzystej dzielnicy parkowej, w lasach ginącej, kroczył wzwyż zygzakowatym chodnikiem, dołem i górą osłoniętym sosnami i krzewami, pejzaż morski ukazywał mu się między pniami lub ponad wierzchołkami drzew coraz rozleglejszy, wyolbrzymiony.

Nic nie zakłócało dokoła ciszy leśnej; królestwo pinji czekało w skupieniu na swą panią, która raptem pojawiła się na zakręcie drożyny. Jak duży, biały ptak zawisła przed Juljanem, nad jego głową, tak jasna, że jasno zrobiło się w jego duszy od tego zjawiska.

Sabinka, lekka, chyża, niby sarenka, spadała z góry szybko, w białem obuwiu, w kremowej sukience plisowanej, w słomkowym kapeluszu, z rakietą w ręku. Na widok Zawiejskiego zatrzymała się bardzo zmieszana i zawołała ze sztuczną swobodą:

— Opuścili nas wszyscy! Nie stawili się jeszcze, ani

panny Jacquières, ani ks. Zygmunt. Ale zapewne zjawią się.

Podając mu rękę, ciągnęła nerwowo:

— Wobec tego chcę pozostawić rakietę u strażnika parkowego w domku, który pan minął przed chwilą, i pójść do zielonego kiosku, gdzie się często spotykamy. Skoro partnerzy nasi nadejdą, stróż skieruje ich do mnie. Czy pan ma ochotę poczekać tam na nasze towarzystwo?

— Ależ naturalnie. Nie znam tajników tej bezkresnej „Kalifornji".

— Tu bezporównania przyjemniej, niż na deptaku. Zapomina się o tym „salonie" tutaj, a przypomina nasze lasy litewskie. W Wielkowysku nieraz godzinami błąkam się konno po lasach.

— Że doskonała z pani amazonka, stwierdziłem kilka razy.

— Lubię konie, ale nie tak, jak pan. Inaczej. Pan lubi je dla sportu, ja dlatego, że to zwierzęta dobre, jak krowy, psy, ptaki, należące do wsi. Już mi trochę tęskno za domem.

— Panie pozostaną tu jeszcze do maja?

— Z pewnością. A pan?

— Dłużej jeszcze.

Wszystko, co mówili, było czarowne, gdyż spodem słów wibrowała muzyka serc, a z niej wysnuwały się tęcze, otaczające ich głowy wiankiem weselnym.

Weszli do domku strażnika, porzucili tam rakiety i ruszyli wgórę innym, ubocznym chodnikiem, osłoniętym parasolami świerków morskich. Posuwali się w leśne odludzie powoli, skuci obręczą magnetycznych prą-

dów w jedną całość, obciążeni podświadomością, że musi między niemi zajść coś wielkiego, że są w mocy przeznaczenia.

Byli sami, ze swą miłością. Zapomnieli o tennisie, o partnerach, którzy, jak wiedziała to Sabinka, mieli wcale nie przyjść, o całem Cannes, o wszystkiem. Tak intensywnie zasklepili się w sobie. Zatracili poczucie miejsca i czasu, płynęli leniwie, niby duchy wybranych na polach Elizejskich, istnieli oderwani od świata, jakoby dwa zawieszone nad nim ogniki.

Zbliżyli się do szeroko otwartego kiosku, w którym biegła półkolem trzcinowa ławka. Przed nią stał niewielki, prymitywny stół zielony, osadzony na wbitym w ziemię pniu. Drzewa, pokrywające ściany wzgórza, ustąpiły z przed podnóża altany, i otwierał się tam rozległy widok na trójkątny kres lądu, na morze i wyspy.

Juljan umilkł, zachmurzył się. Ciążyła na nim wewnętrzna, imperatywna konieczność; wiedział, że nie może nie powiedzieć jej, że ją kocha, a jednocześnie szeptało mu coś, że będzie to czemś gorszem, niż ostatnie szaleństwo.

— Tak pan nagle umilkł, posmutniał?... — szepnęła Sabinka z odcieniem współczucia, i sama spoważniała.

— Pani zaprawdę bardzo dobra...

— A czyż pan nie okazał mi współczucia w chwili, gdy nawiedziły mnie smętne myśli?...

Spadło na niego wspomnienie czarownego momentu w nadbrzeżnej karczmie, i rozprzęgły się w nim uczucia. Panując jeszcze nad niemi, milczał. Odrzucił słomkowy kapelusz gdzieś w stronę stołu i oplótł dłonią czoło, nie patrząc na nią.

— Pan ma jakieś wielkie zmartwienie... — zadrgało słodko raz jeszcze wezbrane serce dziewczyny.

— Ach, panno Sabino!! — wyrzucił rozpaczliwie, chwytając się za głowę. Uspokoił się na moment, skupił i mówił jakby do siebie: — Dostałem się w matnię, w położenie bez wyjścia... Znalazłem się na krawędzi granicznej między szczęściem a nieszczęściem, niby na huśtawce. Z nieba radości wpadam w piekło katuszy... Dowiedziałem się przez panią, co to jest raj, lecz tylko nato, by stał się dla mnie najwyższą rozpaczą...

Chmura przysłoniła jej wszystko.

— Rozpaczą?... Dlaczego? Nie mogę tego pojąć...

— Moja rozpacz jest tak ogromna, jak ogromna jest moja miłość dla pani...

Oderwał dłonie od czoła, spojrzał na nią — w tej chwili jasny i świetny jak goniec niebios. I ona natychmiast rozkwitła najwyższą radością.

Chmura znikła, rozwiała się pamięć co dopiero wyrzeczonych zdań. Oboje w aureoli miłości, nieprzytomni, z gwiazdami w źrenicach padli błyskawicznie w sploty swych ramion.

— Ty cudna! Ty szczęście!... — uleciał spazmatyczny, palący szept, i przez usta jego, do ust jej przytulone, spłynął na nią strumień niewysłowionej radości.

— Kochasz mnie?... — wyszeptał, jak zwykle kochanek, co szczęściu wierzyć nie chce.

Na to węże jej obnażonych ramion zacisnęły się dokoła jego szyi jeszcze mocniej. Odczuł na piersi żar ciała leciuteńko odzianej dziewczyny, która przysłoniła jego oczy rączkami i w upojeniu przywarła się ustami do kielicha tajemniczej, niepojętej, jak życie,

słodyczy. Poczem z zadyszanej, wzburzonej piersi wyrwało się cichuteńkie dziewczęce uniewinnienie:

— Kocham... Tak, kocham...

Porwał go cudowny obłęd. Zdjął jej kapelusz, położył na stole, przyciągnął powolną dziewczynę i znów zakuł w obręcz ramienia. Oszalał, czując jej kształty, czarowny jej ciężar. Musnął dłonią ondulowane włosy, by się przekonać, że nie są złotą złudą, całował oczy, czoło, szyję, obsypywał płonącą twarz kwiatami zaklęć namiętnych, i znów zamknął rubinowe jej wargi pieczęcią szalonej miłości.

Gdy głowa upojonej dziewczyny spoczęła na jego piersi, nakrył jej włosy dłonią i pieścił jej ucho modlitwą serca:

— Najśliczniejsza... wyśniona, anielska...

Przesiliło się coś w jej życiu: nie należała już do siebie. Dostała się w ukwiecone, wonne pęty najcudniejszej niewoli i wyszeptała dwa bogate w treść ważką słowa: Twoja jestem...

Powiedziała wszystko, z cichem bezbrzeżnem oddaniem.

Był u szczytu swych snów, pragnień i dążeń. Lecz na ten dźwięk najsłodszy podniósł się w nim lęk, bo nie mógł zawtórzyć: „bądź moją żoną“. Dobił do mety zwycięski i — uderzył o nią głową.

Zadźwięczały dramatyczne akcenty.

— Boże! Gdybym mocą swej miłości mógł czynić cuda!...

Przerażenie stanęło w jej oczach, utkwionych w tragiczną, w bólu przepiękną jego maskę.

— Co panu, panie Juljanie?... Proszę mówić, proszę!

— O, najdroższa moja!... — rwały się kawały torturowanego serca. — Kocham cię, kocham!... Będzie cię kochało w życiu stu mężczyzn, lecz suma ich uczuć zerem będzie wobec bezmiaru mojej wulkanicznej miłości — tem potężniejszej, że beznadziejnej, rozpaczliwej, straconej...

— Nie! Nie! Nie, panie Juljanie, nic nas nie rozłączy!

— Nic, tylko los.

— Nic! Ja nie jestem dzieckiem, ja jestem mężna. Panie Juljanie, niech mi pan powie wszystko. Ja odbiorę ci tę udrękę, i smutek stopnieje przy mnie...

— Na miłość Boską! — jęknął, ukrywając twarz w dłoniach. — Niech pani tak nie mówi, bo czuję się jej niegodnym, zbrodniarzem...

— Zbrodniarzem?... Może pan był lekkomyślny, popełnił szaleństwo. Może pan przegrał... wszystko, cały majątek. Może co innego. Lecz nie dopuścił się pan niczego brzydkiego, niehonorowego... To wiem... Więc czemu pan mi nie mówi, nie wierzy we mnie tak, jak ja w pana?...

Jęk wyrwał się z jego piersi. Ona mówiła: „nic niehonorowego"! Ona wierzyła w niego!...

Przejawy jej wielkiej miłości zgrzytem bólu przechodziły po włóknach katowanej duszy. Pokutował za grzechy, tarzał się w prochu swych nieprawości, kajał w najwyższem poczuciu swej dawnej nikczemności.

— Cóż może stać między nami tak strasznego?...

— Niechaj pani nie gubi się w domysłach! To nadaremno. Nie mam majątku, to prawda, lecz... kto wie, może nie byłoby to przeszkodą...

— Nie! Nie!

— Niech pani nie przypuszcza, że noszę w sobie zarodki gruźlicy lub innej, strasznej, zabójczej choroby. Ale duszę mam chorą, bo rozdartą przez rozpacz... Bo widzę między nami przepaść...

— Przepaść?! Jaką?... Pan mi powie wszystko. Ja mam prawo wiedzieć. Całem sercem zaklinam... Jeśli mnie kochasz...

— Ach, jeśli kocham!!... Ja na klęczkach pielgrzymowałbym do ciebie po ostrych kamykach — ty święta! Dla twego dobra mordowałbym ludzi bez wahania — ty czarowna! Ja rzuciłbym się w pożar dla ciebie. Bo lepiej zginąć, niż istnieć bez ciebie...

Pełnemi łez oczyma Sabina przeszywała twarz jego, skurczem bolesnym zmarszczoną, gdy targał włosy bez pamięci, wyrzucając lawę swych spienionych uczuć. Nie załamała się pod obuchem tajemniczej tragedji. Drżące rączki położyła na jego czole, niby chcąc uśmierzyć szalejącą tam burzę, i zapanowało między nimi ciężkie milczenie. Oplotła jego szyję ramionami miłośnie, a on przycisnął ją do krwawiącej rany serca. I jak przed chwilą miłość, teraz boleść splotła ich w jeden akord.

— Ja wiem... wiem, że... powiesz mi wszystko, mój kochany... Niby swej żonie...

Bez słowa przykuł ją jeszcze mocniej do siebie i milczał z dłonią na oczach.

Na te wszystkie prośby, błagania, zaklęcia krzyczało w nim coś: nie! nie! miljon razy nie!...

A przecież, jako „hrabia Zawiejski“, mógł był odrazu wygładzić powierzchnię rzeczy. Mógł jednym uśmie-

chem, jednem: „bądź moją żoną!“ rozpędzić czarne chmury nieszczęścia!... Lecz zawładnęła nim samym jakaś mistyczna, mocarna potęga i zakazywała mu kategorycznie kryć się za tarczę herbową, oszukiwać, kłamać... Za cenę takiego wypróbowanego z powodzeniem kłamstwa mógł ją poślubić albo wykraść i uwieść, słowem mieć. Mimo to „hrabia Zawiejski“ nie mógł wykrztusić ni słowa. Bo już nie żył. Tę dziewczynę kochał mocą żywiołu Zawoja i on to, Zawoja, chciał ją mieć... w słońcu prawdy.

Nie mógł jej wyznać: „nazywam się Zawoja...“ Bo czyż miał jej powiedzieć: „nie zasłużyłem na twoją cudną miłość i wiarę, lecz na nienawiść i pogardę“? Miał jej to wyraźnie powiedzieć i zabić siebie samego w jej pojęciu i sercu, wyrwać z niego wonne kwiaty jej miłości? Miał zedrzeć z oblicza maskę oszusta w oczach najukochańszej i wierzącej w niego kobiety i rzucić się ze skały Tarpejskiej w kałużę hańby bez dna?...

I miał tej swojej dziewczynie odbierać brutalnie złudzenie, że kochała godnego siebie człowieka?...

Nie mógł przed nią kłamać i również nie mógł wyznać strasznej prawdy. I to był jego dramat.

— Najdroższa moja, najświętsza... — rzekł wreszcie powoli i spokojnie. — Przysięgam ci, że wyznać ci wszystko — to przechodzi siły ludzkie... Uczyniłbym dla ciebie wszystko, lecz tej tajemnicy nie wydrze mi z piersi sam Bóg...

Jakby w obliczu okrutnego fatum, Sabina długo nie mogła znaleźć słowa.

— Więc nie proszę już, nie błagam... Wierzę głęboko, znając pana serce... Będę rozsądniejsza od Elzy z Brabantu, mniej ciekawa a więcej kochająca i... nigdy, nigdy nie spytam się swego Lohengrina o to, czego mi wyznać nie może...

To go złamało. U szczytu rozpaczy zarył palce we włosy i, drżąc, wyjęknął:

— O, cudna moja!... Zabijasz mnie szlachetnością i pięknością swej duszy!... Ale nam nic nie pomoże, ani nawet Bóg. Bo stoi przede mną — fakt, jakiego żadna nie zmieni, nie obali potęga. O tę skałę mogę tylko rozbić sobie głowę na miazgę...

Milczenie weszło między nich jak mara.

— Więc niema dla nas nadziei żadnej?...

— ...Żadnej...

Zachwiała się na nogach. Zaszlochało w niej serce na moment i omdlało.

On pochwycił ją, posadził na ławce w kiosku i przypadł na klęczkach do nóg złamanej, bladej dziewczyny. Przymknęła powieki, zagasła, a cisza położyła na ich głowy matczyną dłoń.

Ani słowo skargi nie spadło na niego — złoczyńcę, co sprowadzał ją systematycznie i chytrze z właściwego szlaku jej życia, wodził po manowcach swej erotyki, wprowadził w knieje bez wyjścia, co zagrodził do niej przystęp godnym rywalom, odpędzał ich wszelkiemi sposobami, izolował ją, hipnotyzował, budził w niej czarodziejskie wizje miłości, obiecywał bezmiary wymarzonego szczęścia. A gdy wreszcie, pełna wiary w niego, w dobroć ludzi, szlachetność pobudek i czystość serc, składając rączęta, wyszeptała pokornie: twoja

jestem... — ugodził ją sztyletem zdradzieckim w serce i cisnął złamaną. Okrutnik, wampir, zbrodniarz!

— O, pani moja święta... — szeptał łzawo, pełen skruchy i bólu, z głową o kolana jej wspartą. — Wielkim jest mój grzech, ale straszniejszym los... Nieszczęścia mego ciernistą koroną jest to, że taki zawód, taki ból niosę najukochańszej na świecie istocie... To, co jest jakby ciałem mojem, sercem i duszą, to, co kocham, co sto razy nadewszystko kocham — zabijam... I dlatego dopiero jestem najnieszczęśliwszym z ludzi, najnieszczęśliwszym ze straceńców...

Dwie łzy ołowiane, pokutnicze stoczyły się po jego licach na ziemię.

Ona nic nie odrzekła. Skamieniała w niemej rezygnacji. Ale, lubo taka biedna, jak słabe dziecko, położyła litościwą rękę na jego skołatanej głowie. I tak pogrążyli się oboje w topieli nieszczęścia.

Juljan poruszył się i chciał odejść, uciekać, lecz ona, jakby chora i bezsilna, wyszeptała słodko:

— Niech pan nie odchodzi jeszcze...

Boże mój! — łkało w nim serce. Miasto znienawidzieć go, przekląć, zakamienować, to cudowne dziecko prosiło cicho, by został i dzielił z nią ból, którego był sprawcą. Nie mogła być z nim szczęśliwą, więc chciała być z nim nieszczęśliwą. Byle z nim...

Najwyższa radość splątała się w nim z najwyższą boleścią.

O! Dlaczego nie umierał? Dlaczego to mordowane serce kołatało się jeszcze w jego piersi?...

Ujął jej obwisłą rękę i przycisnął do czoła. I jedno tylko opanowało go gorące pragnienie: umrzeć, umrzeć..

W tej niebotycznej, najszczytniejszej chwili swego życia zrozumiał, że najwyższem, literalnie najwyższem szczęściem jest pojąć wszystkiemi włóknami swej istoty, że jest niem śmierć.

Świat przypomniał im o swem istnieniu. Gdzieś nad ich głowami, na serpentynowym chodniku leśnym ozwały się głosy przechodniów. Juljan spojrzał na bladą, martwo w obraz morski zapatrzoną dziewczynę. Wziął w dłonie jej głowę, wtopił się wzrokiem w chabrowe głębiny jej oczu, z których spłynęła na niego zakrwawiona, najczulsza, ogromna miłość. A nad to z cierpienia wyłonione spojrzenie życie nie mogło mu dać nic cudniejszego.

Ozwał się zcicha głos zmysłów. Juljan położył usta na jej ustach i zabrał w ostatnim pocałunku ostatni blask radości.

Zerwał się na nogi. O krok dalej potknął się o coś. Kapelusz. Słomkowy jego kapelusz. Pochwycił go i puścił się szybko wdół, jakby niesiony na olbrzymich bałwanach uczuć. Biegł między drzewami niżej i niżej, czując, że stacza się ze świecznika swych świetności, spada z zenitu wyśnionego szczęścia w otchłań nicości.

XIII.

W gabinecie Zawiejskiego rozpierał się na tureckiej otomanie Fajfer-Rajewski. Palił wonne cygaro przyjaciela i czekał na niego, spodziewając się, że przyjdzie do hotelu na śniadanie.

Gdy pojawił się Juljan i z przerażeniem spostrzegł na barwnem tle otomany fajkowaty nos montekarli-

sty, Rajewski, wyciągając do niego prawicę gestem granda hiszpańskiego z operetki, zanucił:

— Witaj nam, witaj, miły hospodynie!

Zaczem puścił język w ruch młynkowy.

— Przywożę ci wiadomość nad-zwy-czaj-ną! Będziesz mi chyba wdzięczny. Wygrałeś wielki los, nie grając wcale. Wyobraź sobie, wczoraj... powróciłem z Monte już o szóstej, bo miałem spotkać się w Palais de la Jetée z Żanetą. Znasz ją z widzenia. Ta szatynka z żywem spojrzeniem i... drobnym felerem w lewem oku. Trochę za gruba w pęcinie, ale wogóle apetyczna i nad-zwy-czaj-nie miła. Gwiżdże artystycznie. Nieoceniona. Niestety, nie stawiła się. Nie wiem jeszcze, z jakiej przyczyny. Błąkałem się tedy wokoło „koników", postawiłem dwa razy — przegrałem. Nagle spostrzegam — Wojkowską. Ładna baba, choć pachnie prowincją. Nie dostosowała się jeszcze do Rywjery. Powitała mnie radosnym uśmiechem. I ja ją. Była sama. Wyperswadowałem jej głupie koniki i obiecałem zabrać ją po obiedzie na baka. Gawędząc, poszliśmy do restauracyjki zacisznej a nad-zwy-czaj-nej, słowem, do mego protegowanego Philippe'a. Kuchnia... powiadam ci, klasa! Stawiłem pani Elli burgunda. Gdyby ją tak prowadzić umiejętną ręką, pracować nad jej edukacją, byłby z niej numer pierwszej klasy. Warunki są, temperament, żywiołowa wesołość... Dałem jej coś niecoś do zrozumienia. Śmiała się, pokazując zęby. Lubi, gdy się do niej umizgać, oj! lubi! Było bardzo przyjemnie. Obiecująco.

Juljan mógł był się przekonać, jak bardzo jest cywilizowanem i wytresowanem zwierzęciem, jeśli nie

wypędził dotąd tego pytlującego intruza na cztery wiatry. Nie słuchał. Jakiegoś tępego ćwieka miał w głowie. Siadł przy oknie, zapalił papierosa i zapatrzył się w niebieskość morza.

— Notabene — ciągnął Fajfer, któremu nawet milczenie nie mogło odebrać językowej weny — Wojkowska ciągle o tobie wspominała. Biadała, że nie widziała cię od kilku dni na oczy. Bałamuci się, mówiła, albo raczej bałamuci grafinie i ich progenitury. Kogo? — pytam. Różne! On nie daruje nawet siwiejącej Angielce czy Irlandce. Flirtuje z pewną Francuzką, promenuje po deptaku z ładną hrabianką Morecką, największą ozdobą kolonji polskiej w Cannes. Ty podobno masz bajeczne wzięcie i zaczynasz narzucać tu mody, jak ks. Walji w Londynie. Twój oryginalny sposób wiązania oryginalnego, kremowego krawata znalazł licznych naśladowców.

Wypadkiem Juljan posłyszał to i bąknął:

— Nic o tem nie wiem.

Były to pierwsze słowa, jakie wyrzekł do Fajfra.

— O! Wojkowska wie o tobie i twych poczynaniach wszystko i może jeszcze trochę więcej. Bo baba... leci na ciebie najwyraźniej. Potrzeba tylko wyciągnąć rękę. A bogata, aż złotem od niej zalatuje. Ma majątek ziemski, dwie kamienice w Krakowie i, jak dość niedelikatnie się przechwala, może pod twoim adresem — kapitały. Tej Krezuski stąd tak wypuścić nie można.

— Więc... — trajkotał dalej zaślinionemi ustami Fajfer — niema nad czem myśleć. Myślenie nietylko indykom, ale i ludziom szkodzi. Zawieź babę do ołtarza i to bez zwłoki. Kościoły są nawet tutaj. (Jedyne to lo-

kale na Rywjerze, gdzie nie grywają w baka.) Ja dam wam ślub przedtem cywilny, i za to zaprosicie mnie do siebie na wieś latem...

— Mój przyjaciel de Millefort twierdzi — jechał dalej niezmordowany montekarlista — że na Rywjerze istnieją tylko dwa gatunki niewiast: takie, które używają życia, i takie, które im zazdroszczą. Pani Ella należy zawsze jeszcze do tych drugich, poprostu dlatego, że nie wie, jak się zabrać do używania życia. Ty i ja, my ją tego nauczymy... A to skarb, nie kobieta. Jak ona gra oględnie! Choć na złoto łapki jej się trzęsą. Jak mądrze manipuluje! Kuta na cztery nogi, gdy chodzi o grosiwo! Rozumie się na interesach jak Żyd. Da ci ta paskarka solidne życiowe podstawy (sama to wzmiankowała) i wytworną, podobno pałacową przystań. Dalibóg, tego ci tylko trzeba, aby zostać najprawdziwszym hrabią. Kto wie, galicyjskim hrabią zostaniesz jeszcze post festum... Ona to wyspekuluje i przeprowadzi tak czy owak, szyję daję. Aby wyrość na hrabinę. Słowem, masz w ręku złote runo. W czepku się rodziłeś...

— No, Julku, jakże z Ellą?... Oświadczysz się? Ona poprostu prosi się o to, drży na myśl o tobie. Gdy zima nastanie, nie zaziębisz się przy tej białogłowie, a gdy w grze noga ci się poślizgnie, to upadniesz na jej — raczej na swoje hrabiowskie poduszki.

Nareszcie Fajfer zapragnął posłyszeć głos przyjaciela. Ale Juljan prawie nic z jego monologu nie pochwycił. Utonął w widoku wyzłoconego przez słońce morza i wypoczywał nerwowo w bezmyślności. Ale trzeba było coś począć z Fajfrem. Kołowrotek ten zaczął

go drażnić. Wreszcie powstał, przeszedł się po pokoju i, spostrzegłszy na biurku dwa listy do siebie, rzucił je Rajewskiemu.

— Bądź tak dobry, przeczytaj!

Fajfer rozdarł kopertę.

— Prosi cię na fajf jutrzejszy do siebie (Villa du Plantier) pani Dioniza Levi-Monart. Obiecuje włoskiego wiolonczelistę i paryską śpiewaczkę z „Opery Comique“.

Otworzywszy drugi list, Rajewski parsknął śmiechem.

— Patrz! Czytaj! — wołał z triumfem — Wojkowska. Nie mówiłem ci.

— Czegóż ona chce?

— Masz po śniadaniu do niej pójść i udzielić jej rady w ważnej jakiejś sprawie. Bo nikt tego nie potrafi, prócz jednego hrabiego Zawiejskiego. Może to chodzi o poradę lekarską?... Na gorączkę, której nikt prócz ciebie uśmierzyć nie zdoła, ha! ha! Wzięło tę niewiastę!... Jeśli zgrałeś się, ona ci pożyczy z przyjemnością. Dalibóg, ty mógłbyś jej podyktować waruneczki ślubne!... — westchnął ciężko montekarlista i zawołał:

— Idź do niej. Pal djabli stan kawalerski... No, wszak istnieją rozwody.

— Idź ty do niej zaraz! Powiesz jej, co zechcesz: no, nie mogłem się stawić... Ty jej dasz dobrą radę.

— Ale jej nie dam rady, jeśli ona tylko o tobie śni i marzy... No, uczynię to dla ciebie i spróbuję jeszcze— rzekł po namyśle.

— Na śniadanie nie mogę cię zabrać z sobą.

Rajewski patrzał w Julka wytrzeszczonemi oczyma. Przecież ten chłop karjerę miał w ręku. Ale cóż? Miał znów jakiegoś kręćka. Warjat!

— Czy ty masz na widoku coś od niej lepszego?...

Juljan odwrócił się i milczał. Na takiej płaszczyźnie nie chciał nawet zestawiać Sabiny z innemi kobietami, a cóż dopiero z panią Ellą.

Gdy Fajfer, zabrawszy w kieszeń dwa cygara, wyszedł, by raz jeszcze poświęcić się dla przyjaciela, Juljan siadł znów przy oknie, zanurzył się w ciszy i w widoku lazurowego pejzażu morskiego, który wydał mu się potężnym symbolem życia.

W wieczystym ruchu, w ciągłej fluktuacji, wrzące, niezbadane dla oka, tajemnicze, mocarne morze było jak życie. I w tem bodaj taił się największy jego powab. Dlatego pociągało ono tak starganą jego duszę, a niemniej dlatego, że kołysało ją na fali, uciszało, koiło, brało w ton niepamięci i w czar swej tajemniczości.

Wypoczywał duchowo. Aż poczuł głód. Wymknął się z hotelu i udał się w głąb starego miasta do restauracji, przez obcych nieodwiedzanej. Zasiadłszy tam do stołu, dziwił się, że człowiek na duchu zabity, żywy trup — może zajadać niemal tak, jak bezduszny płaz ludzki.

Snać ciało jest niezależne od ducha; ma swoje potrzeby i postulaty, swój rozum i logikę, swój gust, smak i swą estetykę. Ma swe odrębne pragnienia i zachcianki i działa samodzielnie. W jednej z duchem gospodarząc domenie, toczy z nim waśni, stacza boje, prowadzi go na pasku, zawojowuje, tyranizuje, chociaż w machinę jego tchnęła życie iskra, poczęta z ducha.

Dlaczego człowiek nie umiera w momencie najwyższej rozpaczy, gdy dusza jego słania się tęskliwie w objęcia śmierci?... Czyliż nie byłoby jedynie rozsądne, logiczne i humanitarne, gdyby był wyzionął ducha u stóp swej nieszczęsnej dziewczyny? Gdyby był skończył w chwili, gdy życie stało się dlań nędznym łachmanem?... A tymczasem zdrowe, silne ciało jego kazało mu wegetować, jeść, pić, spełniać mniej lub więcej automatycznie tysiączne funkcje, kazało mu udawać, że żyje, jakby komuś na tem mogło cokolwiek zależeć... Matka przyroda niemądrze i źle zarządziła, oddając ducha pod tak bezwzględną komendę ciała... Samobójstwo nie jest niczem innem, jak całkiem logicznem naprawieniem tego krzyczącego nonsensu przyrody. Jest rycerskim sprzeciwem przeciwko hegemonji marnego ciała.

Dla czego, dla kogo żyć, jeśli kto żyć nie chce?... Wogóle dla czego, lub dla kogo żyjemy? Na to niema odpowiedzi istotnie przekonywającej, a ponieważ jej niema, życie ludzkie jest potworną tragifarsą bez sensu... Takie myśli przepływały przez głowę Juljana, lecz nie rozwiewały się z dymem papierosa.

Zagasły dla niego wszelkie blaski, zagubił punkt ciężkości i dźwigał ciało z poczuciem lodowatej samotności i bezsensowności swego istnienia. Mimo to z przyzwyczajenia zatęsknił za koniem. Dnia tego bowiem nie był jeszcze w stajni i nie oddawał się żadnemu sportowi. Zatelefonował więc z hotelu po huntera „Ramzesa“ i wkrótce potem cwałował w kierunku Napoule.

Zatrzymał się przed rybackim „estaminetem“, gdzie otyły Włoch przyjął go czołobitnie, z wielkiemi hono-

rami. Począł bawić go konwersacją, ale Juljan skrył się na pustą werandę, która bezwiednie stała się celem jego wycieczki. Przyjechał tam po wspomnienia tych momentów, z „nią“ samą ukradkiem spędzonych, gdy byli sobie tak przedziwnie bliscy, gdy serca w niemal sakramentalnem podniesieniu dawały im ślub.

Juljan rozejrzał się dokoła.

Nic się tam nie zmieniło. Na łożysku przepłókanych kamyków, dzielącem werandę od tafli morza, walały się jak wówczas ości, odpadki ryb, krewetek, polipów i frytury oraz szczątki stłuczonego szkła. Wśród tego śmietniska srebrzyła się pusta, zgnieciona puszka. Juljan zapamiętał ją wzrokowo, i widok jej dziwną asocjacją myśli przyniósł mu silne wrażenie momentów, z Sabinką sam na sam spędzonych na tem miejscu.

Powódź sentymentu ogarnęła go, pochłonęła. Zapadł się na dno swego serca i w istotnem tem siedlisku miłości odnalazł absolutne przeświadczenie, że niema dlań innej alternatywy, jak tylko: ona albo śmierć.

XIV.

Koń wspinał się powoli niewyraźną drożyną wgórę, na wyniosłe płaskowzgórze Esterelu. Miejscami muskały twarz jeźdźca gałęzie pachnącej czeremchy. Na szczycie rozpościerało się, niby błonie, pustkowie nagie, trawą porosłe i zrzadka nikłemi krzewami poznaczone.

Raptem strzeliła do głowy Juljana dzika fantazja. Ścisnął boki przepysznego huntera, dotknął go zuchwałą ostrogą. Rumak, srodze obrażony, prychnął, w pierwszej sekundzie żachnął się, jakby chcąc ukąsić dzikiego

jeźdźca, i cisnął się naprzód. Pędził jak wicher stepowy, wyciągniętym cwałem, walił na skraj wzgórza. Jeszcze moment jeden, drugi, a koń i jeździec runą i stoczą się ze stromej wyżyny na złamanie karku...

Ale to nie jego koń! Nie był dość bogaty, by za niego zapłacić. Więc całą siłą muskulatury i kunsztem pohamował się w biegu, zboczył wczas i jak strzała przeleciał nad krawędzią przepastnego skłonu.

Pyszna była to jazda, godna Farysa. Poczucie niebezpieczeństwa i zagłady prześlizgnęło się po nerwach, niby zimny uśmiech.

Rozerwało go to doskonale, i siły cielesne wzięły przewagę nad duchowemi. Wróciwszy do siebie, zapalil papierosa, rzucił się na otomanę — i zaśmiał się z siebie. Dziwna, głupia przyszła na niego choroba. Choroba nerwów, pełnych tak niezgłębionych tajemnic. Był „liebeskrank". Farys, warjat! A warjat musiał sobie rozbić głowę, jak dziki koń o mur.

Jak kto jest szulerem, niech gra i nie wzywa imienia innych bogów. Jak kto jest szubrawcem, niechaj nim pozostanie, w sztukach swych doskonali się i nie stroi się przed sobą w togę uczciwego osobnika, nie pnie ku latarniom etyki.

Skończony łajdak wyprowadziłby go z tej przepastnej matni, w jaką zarył się na swym Pegazie tak beznadziejnie... Ot, szeptał mu on teraz na ucho, by, odrzuciwszy na śmietnik przestarzałe jakieś skrupuły, poprostu pozostał hrabią Zawiejskim, jak najdłużej się da, wykradł i uwiódł tę rozkochaną, gorącą dziewczynę. Kocha ona hrabiego Zawiejskiego, więc trzeba

mu jej go ofiarować. Ona będzie szczęśliwa i — hrabia. To jasne i niewzruszone, jak dwa a dwa cztery.

Przecież nie nato przesadził wszytkie przeszkody z wspaniałą fantazją bieguna, by przed ostatnią zaporą zgapieć, stanąć niby wół u malowanych wrót. Nie nato, by wkońcu poddawać się, samochcąc, mękom Tantala i paść kornie przed ołtarzem moralistów. Zaprawdę nie nato zdobywał tę dziewczynę, wymodlił od Kupidyna, by ją opuścić w ostatnim akcie i podarować księciu Zygmuntowi... Gdzież on w tej gorączce nerwów zatracił zdrowy, trzeźwy rozsądek?...

Rzecz bardzo prosta: brać tę ślicznotę, brać to, co zdobył, co mu się należy prawem miłości i prawem zwycięzcy. To jego własność, co ona sama potwierdziła, podpisała swem cudownem: Twoja jestem...

A zatem wyjawi jej tajemnicę — ale taką tajemnicę, która ją przekona, że jedyna droga do ich szczęścia wiedzie przez tylną furtę. Ona pojedzie z nim w świat, odważy się na wszystko, byle z nim...

Nie będzie pierwszą jego „ofiarą“. Jako student, „unieszczęśliwił“ młodą koleżankę, jedną z tych adeptek wiedzy, które więcej od wiedzy pragną, aby jaki „egoista“ je „zhańbił“. Przeszedłszy zapewne potem przez ręce innych „brutalnych“ mężczyzn, Stasia wyszła przykładnie zamąż i dzisiaj wystrojona, przystojna, wesoła, jest zacną obywatelką stolicy. Gdy spotka wypadkiem „niecnego uwodziciela“ — „ofiara“ wita go czarownym uśmiechem. Nie miałaby nic przeciw temu, gdyby zechciał uwodzić ją raz jeszcze od samego początku. Ha, ha!

Tylko bez dramatów, bez rozdzierania serca... To

nie licuje nawet wcale z Julkiem, szulerem, który o sercu nic nie wiedział.

Więc wykradnie Sabinkę. A potem?... Już znowu to niemądre pytanie. Czyż pytał się: co potem? w ciągu swej obławy na sarenkę? I tylko dzięki temu, że nie zaprzątał sobie głowy takiemi kwestjami, pochwycił ją w sidła. Stworzy fakt dokonany, o który mamusia i inni mogą sobie rozbijać głowę. Nastąpi ślub, o ile już przedtem jaki duchowny włoski nie zechce związać stułą rąk kochankom. Włosi kochają tych, co się kochają. Niechaj galerja z jej rodziny bryzga na niego śliną. Ostatecznie świat się nie przewróci, gdy hrabianka Rola-Morecka wyjdzie za rotmistrza Zawoję. A jeśli kto krzyknie: „łajdak"! — to rotmistrz szablą się z nim rozprawi. Za wszystko trzeba płacić. A niema za wysokiej ceny za nią...

Nieinaczej postąpiłby mocny człowiek, jakim bywał przy pokerze i kobietach, a któremu zawdzięcza literalnie wszystko w życiu, nie wyłączając Sabinki. On to, ten mocny a rozumny człowiek, co nie bierze życia poważnie, lecz uważa je za farsę, którą traktować należy z uśmiechem groteskowym, położył mu na piersi tę prześliczną, rasową dziewczynę, dla książąt przeznaczoną. On przyniósł szczęście jemu i — jej. Za głosem tego mędrca iść trzeba po jedynie racjonalnej drodze życia...

Co za niepojęty obłęd opętał go, że, lubo ostrogą zmysłów podniecany, raptem ugrzązł w piachach skrupułów, osłabł, zbankrutował w momencie, gdy wygraną trzymał w objęciach? Musiała to być władcza, nad-

ziemska potęga, co wydarła mu całą jego wygraną, co w ostatniej stawce zabiła go... asem kierowym.

Atoli Julek nie jest z tych, którzy cofają się; podejmie walkę o nią nawet z potęgą mistyczną, z upiorem i pokona ostatnią, najstraszniejszą przeszkodę. Djabeł oddaje mu tę ukochaną ślicznotę, i on ją weźmie...

To postanowione.

A wykonanie...? Zadanie byłoby łatwe, gdyby nie to, że nie zdobędzie się wobec niej na potworne, w następstwa brzemienne kłamstwo. W masce hrabiego nie przedsięweźmie nic, nic niehonorowego, nic, co sprzeciwiałoby się jej etyce, co urągałoby ideałowi, jaki ona wytworzyła sobie o nim. Zawoja wykradłby hrabiankę bez wahania, ba, nawet z kozacką fantazją Bohuna. Ale hrabia Zawiejski żadną miarą, za żadne skarby nie wykrztusi przed jej obliczem słów: uciekajmy w świat!... Padnie przed nią znów, jako przed aniołem, i będzie sobie rwał włosy z głowy w poczuciu swej sromoty. To bardzo dziwne... A może to poprostu nic innego, jak tylko... miłość?

Więc cóż począć wobec tego?... Najpierw należy wskrzesić dawnego Julka, uleczyć go z sentymentalizmu, bo on choruje poważnie. Konieczna jest radykalna kuracja; trzeba sprowadzić silną przemianę materji, głodne zmysły nasycić, uspokoić nerwy, przywrócić równowagę psychofizyczną. Da się to uskutecznić z pomocą porywającej pani Elli. Jedynie osobnik całkiem „liebeskrank“ mógł oprzeć się tej zmysłowej kobiecie. Rozsądny, trzeźwy mężczyzna ulega pokusie, byle tylko była rzeczywistą pokusą, a nie okazją. A zatem zabierze ją jeszcze dzisiaj do Nicei na orgję miłosną.

Kto wie wszakże, czy, po takiej nieprzytomnej nocy, nie zawyje w nim, jak wilk, rozdzierająca tęsknica zarówno oszukanych zmysłów, jak nieszczęsnego serca, do tej jedynej, której zaprzedał całego siebie? Czy nie będzie szalał z bólu, gryzł rąk swych w rozpaczy?... Przecież on oddał tej dziewczynie wszystko: ciało, serce i głowę, ukoronował jej czoło diademem z klejnotów, z tych trzech piewiastków złożonej, miłości, skończenie doskonałej i świetnej. Przesiąkł do szpiku kości aromatem kwiatowym jej osoby, i nie było w nim atomu, do którego nie byłaby dotarła... Gdy ją spostrzegał, miał wrażenie, że wschodzi słońce, że ziemia, na której stoi, jest święta. Całe jej otoczenie podnosił w samym sobie ponad szary świat, który mocą jej obecności pięknial. Nastawało święto, w którem kazał uczestniczyć wszystkim.

Teraz, gdy miał ją niemal za straconą, ujawniały się przed nim ogromy jego miłości, nie dziwił się, że on to prawił jej na balu dla księżnej de Vallentinois takie wzniosłe słowa, jakby przez kogoś suflerowane...

Walka o nią, to walka z samym sobą, z sercem, z miłością.

Trudno, walczyć o nią będzie tak, jakby walczył o życie. Kuracja ciężko chorego będzie chwilami bolesna, chwilami szalenie hulaszcza. Trzeba wypalać z nerwów truciznę idealnej miłości żarem pocałunków pani Elli, aż nie powstanie dawny Zawoja, pełen swobody umysłu, zapału do kart, i nie pocznie znów — do niczego i do nikogo nie przywiązując idealnych wartości — żeglować, jak urodzony król życia, po je-

go powierzchni. Z tym uśmiechem Adonisa, za którym tak przepadały wszystkie one...

Niestety, wówczas Sabina przestanie być dlań tem cudownem, świętem ukochaniem... Miał przeto do wyboru: albo Sabinę obniżoną do poziomu tamtych, albo nic. Lecz musiał ją mieć, jeśli miał żyć...

Oddać mógł mu ją jedynie dawny, ze skrupułów wyzuty Julek, bo on jeden zdoła przeprowadzić ten plan, ukrywać się nadal pod maską hrabiowską, okłamać ją raz jeszcze, wykraść, uwieść, zabrać.

Innego wyjścia nie było. Wszystko inne — rozpacz czarna bez dna, koniec. Więc dość! Narazie nie wolno myśleć o tej królewnie!

Ósma się zbliża. Teraz do pani Elli. Czy nie za późno?... Nie zastanie jej w hotelu. Może pojechała z Rajewskim do Nicei? Trzeba to zatem odłożyć do jutra. Lecz możnaby zapytać telefonicznie, czy jest u siebie w hotelu... Nie warto. Za późno. Jutro. Tak, jutro z pewnością.

Nie poszedł do hotelu Beau Site. Natomiast udał się do stajni. Przypomniał sobie bowiem, że obraził, pohańbił „Ramzesa“ swą ostrogą, i chciał go za to przeprosić. Dał mu kilka kawałków cukru i pocałował go w nozdrza.

XV.

Cichy hotel Beau Rivage spał oddawna, gdy nagle zaświeciło się w dwóch oknach mieszkania hrabiny Moreckiej.

Sabina dzień cały panowała nad sobą i trzymała swe nerwy na uwięzi. Wracając z „Kalifornji“, przemyła sobie oczy w morzu i w czasie śniadania zdobyła się na kilka uśmiechów, poczem z książką w ręku usiadła w ogródku hotelowym, tam, gdzie on zwykł był spędzać godzinę — na ławce, oskrzydlonej gaikiem różnobarwnych kamelij i gęstwiną drzew mimozy. O kilka kroków przed nią sterczała niewielka piramida heljotropów, sztucznie spiętrzonych, a otaczał ją krągły kwietnik, narzucający się oczom kolorystyczną, orjentalną świetnością. Była to mozaika z renunkulów; jedne białe, drugie złote, trzecie rubinowe, miały wszystkie zielone ośrodki. Pewnego razu Zawiejski zwrócił Sabince uwagę na te jaskry i unosił się nad nieporównaną soczystością ich barw.

Panny Jacquières zapowiedziały hrabiance swe przybycie i niebawem zabrały ją na daleką przechadzkę do Croisette. Towarzyszył im ich brat, młody „aspirant“ marynarki francuskiej z Tulonu, który bawił Sabinkę opowiadaniem o Madagaskarze i uroczej wyspie Réunion. A ona poczęła wypytywać go o to i owo, zachęcała go do dalszego wykładu geograficzno-etnograficznego, gdyż zainteresowała się tem szczerze. Przeniosła się bowiem umysłem w świat ogromnie daleki, zgoła inny, odpływała od siebie i swego bólu. Młody oficer był tem zachwycony, bo wyobrażał sobie, że ta piękna, polska panna, taka interesująca, taka słodka i kobieca, która w aureoli swych jasnych włosów ukazywała mu się coraz częściej, gdy pełnił nudną służbę na pokładzie „Demokracji“, i płoszyła mu sen — idzie z nim w krainę jego wspomnień pod-

zwrotnikowych, otoczona jego ramieniem, coraz mu bliższa i bliższa.

Gdy wracali, szepnął jednej z sióstr, by zaciągnęła Sabinkę na obiad do ich willi, lecz hrabianka wymówiła się i wróciła do matki. Oficer zaś, idąc z siostrami w milczeniu, uprzytamniał sobie, że hrabianka miewała chwilami w wyrazie twarzy tony głębokiego smutku.

Przez cały wieczór Sabinka była niezwykle a sztucznie ożywiona. Zjawiły się u hrabiny dwie panie z polskiego towarzystwa, z któremi rozmawiała inteligentnie, z fosforycznemi blaskami w źrenicach, z rumieńcami zapału na licach, chociaż raz i drugi pobladła jak chusta. Wiadomość, że hrabina Zabitowska, ciotka ks. Zygmunta, miała przybyć za kilka dni i spędzić w Cannes Święta Wielkanocne, nie zrobiła na niej wrażenia. Zobojętniała na to całkiem. Wreszcie fizycznie znużona, duchowo znękana i moralnie przybita, nie mogąc dłużej utrzymać się na nogach, opuściła towarzystwo i, położywszy się zaraz do łóżka, usnęła snem kamiennym.

W godzinę po północy hrabina ocknęła się i poczęła nadsłuchiwać. Płacz? Szlochanie?... Zrazu nie wierząc własnym uszom, nie poruszała się, potem, odkręciwszy elektryczność, zerwała się z łóżka, zarzuciła na siebie coś ciepłego i pośpieszyła do córki, przedstawiającej obraz rozpaczy.

Skoro wypoczęła fizycznie, zbudził ją jakiś kurcz sercowy i w sumarycznem uświadomieniu wszystkiego, co przeszła tego rana, chwycił ją za pierś spazm bólu. Zaszlochała na głos. Z kurczowo zaciśniętych oczu polały się strumienie łez, zmywały bladą twarzyczkę,

spływały po niej na szyję. Z potokiem łez rwały się kawały serca. Zdało się, że, gdy ich nie starczy, zsinieje jak marmur i skończy.

— Sabinko! Dziecko... — wyszeptała przerażona matka.

Wszelako całkiem bezprzytomna dziewczyna nie słyszała, nie odczuwała jej obecności. Hrabina podążyła do umywalni, zanurzyła w wodzie ręcznik i położyła Sabince na czoło. Chłód dojmujący a luby przeszył stargany organizm. Szlochanie poczęło ustępować etapami, raz wstrząsając nią jeszcze, to znów milknąc. Aż wreszcie odetchnęła pełną piersią i zapadła w bezruch, w martwotę. Wnet zaświtało uświadomienie tego, gdzie jest i co się wokoło niej dzieje.

— Sabinko, dziecko moje, co tobie? Co się stało?... Co ci dolega?... — pytała hrabina, ocierając jej twarz chustą.

Burza przeszła, uciszyło się w niej wszystko, i ból przypadł do dna duszy. Bezsilna, blada jak kreda, spoczywała w śniegach bielizny, od której odbijały tylko ciemne brwi i rzęsy. Na czole zawisł ton bolesnego skurczu. Profil z noskiem, o misternie wykrojonych nozdrzach, wtulony w poduszkę, przypominał kameę.

Nie podniosła powiek, lecz nareszcie rozwarły się pobladłe wargi, i wyszeptała z głębi duszy:

— Kocham go... bez nadziei... bez nadziei...

— Kogo?... Zawiejskiego?....

Na dźwięk tego nazwiska ścisnęły się powieki dziewczyny jeszcze boleśniej, i łzy zaszkliły się między brwiami. A z serca wyrwało się westchnienie długie,

przeszywające, z którego trysnął płomień potężnego uczucia.

— Kocham go, mamo!.. Kocham!!

W tym momencie matka miała wrażenie, że stanęła w obliczu bezapelacyjnej miłości, od jakiej niema rekursu do żadnej instancji. Milczała, przejęta tem odkryciem. A Sabinka jęknęła:

— Bez nadziei, bez nadziei...

— Dlaczego?... — zagadnęła nieśmiało hrabina, patrząc rozpaczliwie na swoje biedne dziecko.

— Nieszczęście... Jakby widmo. Przepaść... Nie wiem, nie wiem, nieszczęście...

Po chwili dziewczyna wyjąknęła jeszcze w poduszkę:

— Nie chcę żyć, nie mogę... umrę...

— Sabinko! Dziecino, namyślimy się, zobaczymy jutro... Znajdzie się rada, droga wyjścia. Trochę spokoju, rozsądku.

— Niech go mama ratuje! On tak strasznie nieszczęśliwy!... Taką rozpacz ma w sercu... Boję się...

— Ależ z jakiego powodu?

— Nie wiem. Tajemnica... Przepaść...

Matka nie chciała przyrzekać, ale też niczemu się nie sprzeciwiała, by nie rozkrwawiać jej rany sercowej. Uspokajała ją ogólnikami, półsłówkami, jakby godząc się z faktem tej miłości. A, lubo ogromnie rozciekawiona, nie śmiała pytać, gdzie i kiedy nastąpiła między nimi wymiana miłosnych wyznań.

— Mama pozwoliłaby na to?... — wyszeptała Sabinka, nabierając młodzieńczej otuchy i nadziei.

— Ależ zobaczymy... Jutro rozejrzymy się w sytuacji...

— Ja go kocham, mamo! — zawołała z najwyższą intensywnością Sabinka i powtórzyła: — Tak, kocham... Nadewszystko, nad świat cały.

Nic już nie mówiąc, matka powtórnie zrosiła ręcznik i złożyła go na jej czole. I nowa fala błogiego ukojenia spłynęła po nerwach dziewczyny i zgasiła świadomość.

Po chwili ciężkie westchnienie podniosło jej piersi, i usnęła jak dziecko.

XVI.

Lord Pembroke od kilkunastu dni groził wyjazdem na „sezon“ do Londynu, gdzie lord Aylesbury zbierał już trofea w sztuce flirtowania. Wyprawił w swym pałacyku pożegnalną biesiadę dla przyjaciół, na co oni odpowiedzieli tak świetnem przyjęciem, że wicehrabia postanowił przelicytować ich najlepszemi płynami ze swej piwnicy. Tak więc stało się, że raz on ich żegnał, raz oni jego. Wszelako tego wieczora miał rozstać się z nimi nieodwołalnie.

Trudno było Zawiejskiemu wymówić się telefonicznie od tego obiadu i nie mógł nie przyrzec przyjacielowi, że zjawi się u niego, choć o późnej godzinie. Gdy przybył tam przed północą, sam z sobą spędziwszy cały wieczór, zastał już wszystkich przy zielonym stole, prócz Monseigneur‘a, który, pokonany przez Bachusa, spał twardo w wysokim, ogromnym, stylowym fotelu.

Pembroke zabrał niezwłocznie późnego gościa do ja-

dalni, wypił z nim kielich wina i zaprosił do siebie nad Tamizę, na okres wyścigów wiosennych. Przyczem robił mu wymówki.

— Zawiejski, pijasz stanowczo za mało. To się źle skończy, zwłaszcza, że za dużo kręcisz się między spódnicami. Kobiety nie dają ci spokoju. A to niebezpieczne nasienie. Ty obabisz się tu jeszcze w Cannes. Jeśli nie z inną niewiastą, to... (pozwól, że będę szczerym), z tą niewiadomo co gorsze: siwiejącą czy przemądrzałą panią Egerton.

— Możnaby zrobić większe głupstwo nad to—bąknął Juljan.

— Masz tobie! — zaśmiał się Pembroke. — Na ładnej jesteś drodze.

— Mon cher, wyznam ci, że, gdybym był dziesięć, piętnaście lat starszym, nie mógłbym zrobić nic mędrszego, jak z nią się ożenić.

— No, jest ona bajecznie bogata. Bogatsza od króla.

— To wtedy policzyłbym na jej dobro. Dziś?... Nie jestem w tej fazie życia. W dwudziestej wiośnie pragniemy kochać, w trzydziestej pragniemy kochać i być kochani, a w pięćdziesiątej jesieni pragniemy tylko... być kochani. Ja zaś nie mam jeszcze pięćdziesięciu lat...

— Na Jowisza — zawołał wicehrabia. — Jesteś djablo interesujący, gdy mówisz o dwóch przedmiotach: o koniach i o kobietach.

— Oba są trudne do poznania — uśmiechnął się blado Zawiejski.

— I oba równie niebezpieczne do studjowania, gdyż i tu, i tam można sobie skręcić kark. Ja poprzestaję

na koniach. A ty nie. W tem bodaj główna między nami różnica — rzekł mylord, gładząc łysinkę.

— Nie wiem w istocie, czy to warto, jak Legrange, studjować kobiety, wszelako bardzo warto raz w życiu dowiedzieć się do dna, co to miłość.

— Mnie samo to słowo przejmuje strachem. Kojarzy mi się to w umyśle z szaleństwem.

— Jest czemś strasznie szalonem i szalenie strasznem. Dlatego jednak właśnie jest czemś tak interesującem. Dość o tem jednak... Na twoje zdrowie, z życzeniem, abyś nie dowiadywał się, co to jest miłość — za późno.

— Jestem pewien, że konie wystarczą mi do śmierci. Ty należysz do rasy romantycznej.

Nie podejmując tej kwestji, przeszli do grających w karty, gdzie najgłośniej zachowywał się cienki, świszczący nos Monseigneur'a. Na rozkaz gospodarza przeniesiono fotel, a w nim królewską wysokość do sypialni lordowskiej, co nie zwróciło szczególnej uwagi graczów.

W podejrzeniu, że Zawiejskiego gryzie jakiś robak, i chcąc go rozerwać, Pembroke zaproponował Juljanowi pokera. Lecz ten odmówił. Przyczepił się do stołu baka na pół godziny, a potem położył się na szezlongu.

Wkrótce stanął przed nim Pembroke z dużem cygarem w dwóch palcach i jął go zapewniać, że takiego odleżałego i szlachetnego produktu Hawany nie dałby mu sam Rotschild. Wreszcie obciął cygaro i postawił przed nim srebrny dzbaneczek, z którego tryskał spirytusowy płomyk. Przyczem odezwał się, jak zwykle,

gdy dobywał z siebie głęboko utajoną myśl, rozpoczynając od angielskiej alokucji:

— I say, old chap, grasz dzisiaj bez werwy. Jeśli... chwilowo... nie masz na swem koncie bankowem dosyć pieniędzy, to ja ci chętnie służę. Jaki mam ci napisać czek?... Dwieście, trzysta?...

Zawiejski żachnął się i pochwycił go za rękę.

— Nie. Dziękuję ci. Nie potrzebuję. Nie mam ochoty do gry.

Juljan nie przypuszczał, by przyjaźń mylorda sięgała poza konie i kieliszek. Bardzo jego propozycją ujęty, miał wrażenie, że żaden Polak nie byłby zdobył się na akt tak rzetelnej przyjaźni.

Wkrótce potem wymknął się z komnat. Przy rozstaniu Pembroke widocznie chciał zaczepić go jeszcze w jakiejś intymnej sprawie. Nie umiał jednak nic wykrztusić. Uścisnął tylko dłoń jego tak, że Juljan odczuł, iż ma w nim serdecznie oddanego sobie człowieka.

— Przyjedź do mnie do Anglji. Telegrafuj z drogi. Adres znasz — rzekł Pembroke i bąknął jeszcze coś o koniach.

Wyszedłszy w dość ciepłą noc bezksiężycową, Zawiejski puścił się po deptaku przed siebie, niby automat bez myśli pod czaszką. Przeszedł obok oświetlonego jeszcze Cerle Nautique i zanurzył się w cichą czerń nocną. Latarnie kładły tu i ówdzie plamy mdłego światła. Od lekko rozfalowanego morza zrywał się chwilami wietrzyk i zmiatał źdźbła z chodnika, a szum wód, raz podnosząc się jak westchnienie, raz opadając, zdał się cichuteńką kołysanką, z zaświatów płynącą.

Wpobliżu portu, za Kasynem, Juljan zatrzymał się

przy kamiennej balustradzie i spozierał na barki rybackie, na kontury jachtu spacerowego i żaglowców, co majaczyły w mrokach, na smugę świetlaną od latarni morskiej i drobne złociste węże świateł, igrające po sfałdowanej ciemnej płachcie wód, a przypominające roje lilipucich rybek, które za dnia w słońcu snuły się figlarnie mirjadami przy brzegu nad mozaiką kamyczkową i bawiły, niby rzesze dzieciaków bez troski.

Ślicznie było nad tem południowem, ciepłem morzem, nawet w nocy. Ślicznie i cicho. Nawet smętek włóczył się po ciemnicy, jakimś czarem południa przesączony, i melancholja kroczyła w ciemno-granatowej szacie, z koroną gwiazd na głowie, królewska, przecudna, jak poezja natury.

Juljan myślał, jak ogromnie był szczęśliwy na tym słonecznym brzegu. Wogóle życie rozpieściło go, a tu fawory swe posunęło do najwyższych granic. Rzuciło mu pod nogi girlandy różnobarwnych kwiatów tak, iż szedł po nich, jakby oczekiwany, upragniony królewicz — on, syn kamerdynera, wśród królewskich wysokości! Świat wdzięczył się do niego uśmiechem, wyciągał do ulubieńca ramiona, stroił go w szaty bohatera i mianował królem sezonu — syna kamerdynera. Fortuna, odważnych służebnica, przyniosła mu złoto, a miłość przyprowadziła mu różne swe wybranki. Więcej! Obnażyła się sama przed nim, ukazała cała ze wszystkich stron, jak milońska Wenera... niestety bez ramion, które byłyby przygarnęły do jej piersi — syna kamerdynera...

Los dał mu wszystko, po co sięgał, lecz, gdy ręką

niehonorowego człowieka chciał zabrać Miłość, sroga Ananke powaliła zuchwalca w proch obuchem... Otrzymał wszystko, prócz tego, co było dla niego wszystkiem. Taką była ironja życia...

Juljan siadł na ławce między platanami, zamknął oczy i ujrzał siebie samego, w ciemnym żakiecie, wchodzącego do empirowego saloniku hrabiny Moreckiej.

Hrabina czekała na niego, ciemno ubrana, bardzo blada, z piękną, jakby w marmurze rzeźbioną twarzą, ze srebrzystemi oczyma, które pytały go o coś. Wskazała mu krzesło. On usiadł i milczał.

— Więc co? Więc co, panie hrabio?... Co hrabia zrobił z moją córką?... — zawołała hrabina, próżno czekając słowa. A on rzekł nareszcie:

— Nazywam się Juljan Zawoja, jestem synem kamerdynera, bez zawodu, bez kondycji, bez majątku... Wygrałem w karty coś zgórą miljon, ale bezczelności mam za miljony. Proszę zatem o rękę hrabianki Rola-Moreckiej...

Nie. On tego wszystkiego nie powie. Bo na dźwięk pierwszych kilku słów rozlegnie się łoskot, i z poza kotary przy oknie runie na podłogę dziewczyna, jakby w przedzgonnem omdleniu. Skamienieje, ostatecznym ciosem jego powalona. Gdy wreszcie docucą ją, gdy otworzy swe cudne, słodkie oczęta i zwróci zbolałe, modrakowe gwiazdy na niego... skurcz bólu zmarszczy twarz dziewczyny piętnem dramatu. I policzek pogardy padnie na niego z tych oczu... Odwróci się, by nie spojrzeć nań już nigdy, jak dawniej. Nigdy, nigdy...

Juljan podniósł się, jakby prądem galwanicznym

tknięty, i puścił się szybko zpowrotem, niby uciekając przed obrazem, jaki odmalowała mu wyobraźnia.

Zatrzymał się przy pomoście, uszedł po nim kilkanaście kroków i padł na ławkę. Przymknął powieki, i znów przesuwały się przed nim obrazy.

Uciekli. Wzięli ślub i ukryli się przed światem nad jeziorem włoskiem. W płomienne dni miłości, niepamięci i upojenia, wślizgał się, niby wąż, straszny zgrzyt i przeszywał go do szpiku kości. Przy tej wymarzonej biesiadzie życia czuł się w chwilach jasnowidzenia skazańcem, który wie, że lada godzina przyjdzie kat, by stawić go pod pręgierz i popchnąć na szafot.

Sabinka w raju, uszczęśliwiona nadzieją dziecka, lecz pełza ku niej nieszczęście, niby zbrodzień, by uderzyć ją niespodzianie ztyłu sztyletem. Dziecko ma stać się rzecznikiem ich sprawy wobec jej rodziców, których łaski hrabia Zawiejski zażąda z pewnością.

Pewnego dnia, pozostawiwszy w domu żonę, hrabia sam wyjeżdża samochodem do Medjolanu. Powraca z wieczora. Zamiast Sabinki, przyjmuje go starszy, łysawy, wysoki mężczyzna, czerstwość rolnika łączący z dystynkcją wielkiego pana. Hrabia Erazm Rola-Morecki. Nie podaje mu ręki, natomiast gradem słów, jak ołów zabójczych, godzi w uwodziciela.

— Panie Zawoja. Pan ukradł mi córkę, jak złodziej, jak oszust, jak szarlatan, jak handlarz żywym towarem, jak... ostatni łotr i łajdak z pod szubienicy... Pan niewart, by mienić się synem uczciwego ojca, eks-kamerdynera. Pan niewart, by słońce nad nim świeciło... Zbrodniarz, co zabił mi dziecko...

Tak mówi ojciec. A ona?

Blada, spoczywa w łóżku. Nie podnosi się z niego przez długie dni i tygodnie, oscylując między śmiercią a życiem, migocącem w niej, niby błędny ognik. Młodość zwycięża, złamana kobieta wychyla się trwożliwie na powierzchnię świata, zadowolona tylko z tego, że nie będzie matką jego dziecka.

— Cóż teraz, Sabinko?... — pyta ją ojciec.

— Ślubowałam, lecz ślubowałam panu Zawiejskiemu, honorowemu człowiekowi, a nie temu panu... Zawoi. Żyć z takim człowiekiem byłoby to ponad me siły. Zresztą ja już nie mam serca. Zabito je... Więc pójdę z tobą, ojcze, i będę starała się zapomnieć...

Dla pana Zawoi jedno spojrzenie bólu, żalu, rozpaczy, jeśli nie piołunowej pogardy. On wtedy poszuka w walizce rewolweru lub wsiądzie w łódkę i popłynie na jezioro, by nie wrócić więcej, by uwolnić ją od szubrawca, łajdaka, który złamał najhaniebniej życie niedoszłej księżnie — od zbrodniarza, który zabił jej cudowne serce. To jedno będzie tylko mógł uczynić dla niej dobrego. I dla siebie...

Ha! Gdyby na wstępie swej zapamiętałej gonitwy za sarenką był przez moment zastanowił się trzeźwo, musiałby był pojąć, że niechybnie zabrnie w sytuację absolutnie bez wyjścia, że zamierzenie jego zgóry skazane jest na fiasco i rozbić się musi o dramat lub doprowadzić do zbrodni. Aliści, gdyby był zastanowił się nad tem rozsądnie, nie byłby sobą...

Stało się jednak dobrze... Lepsze wielkie szaleństwo, niż bierna uczciwość. Mniejsza, jaką cenę przyjdzie mu zapłacić za to. W szaleństwie tem rozwinął skrzydła do orlego lotu po złote runo szczęścia, puścił w bieg

zawrotny swe zdolności, moce i czary, zdobywał, podbijał, zwyciężał i dzięki szaleństwu otrzymał od świata nadspodziewanie wiele. Aż wreszcie wspiął się na szczyt marzeń, odniósł triumf swych triumfów. Był przez nią kochany miłością, jak sen piękną...

Syn kamerdynera żył, żył jak król i pokazał, jak żyć i zwyciężać trzeba...

Nie żałował niczego. Przeciwnie, błogosławił swe szaleństwo za to, że w tym podniebnym locie skąpał, oczyścił zbrukaną duszę w święconej wodzie cierpienia... I za to, że — jak rozumiał to w tej chwili — nie cofnie się z wyżyny na swym szlaku rozwojowym i nie zdołałby już całkowicie wskrzesić dawnego Zawoi.

Nie żałował niczego, gdyż dumny był z siebie jak wielki mocarz, a czuł się wewnętrznie pięknym, jakby uosabiał w sobie ideał, który ona w niego wpoetyzowała.

Zaiste — mówił sobie w duszy — lepiej umierać godnym tej cudnej dziewczyny, umierać świetnie, z najwyższem dla siebie poszanowaniem, umierać, jak ideał umiera na tym marnym świecie, aniżeli mieć jej ciało i kochać z najohydniejszą pogardą siebie, i skończyć zdeptanym, jak żmija, utonąć w kałuży hańby i sromu...

Przeszedłszy na kraniec pomostu, Juljan otulił się w płaszcz, wsparł na lasce i jeszcze długo płynął w nurtach myśli. Aż wzniósł wzrok na mirjady mrugających gwiazd, które, niby klejnoty naszyte na mleczną wstęgę gazy, zdobiły głowę nocy.

Odszedł od świata, zamknąwszy z nim swe porachunki. I po przewspaniałym dniu objęła go przecudna, boska noc.

Ocknąwszy się z zadumy, pochwycił laskę oburącz, gwałtownym ruchem uderzył nią o kolano, złamał ją na dwoje i wielkim gestem odrzucił hen daleko, na morze.

Koniec, koniec...

XVII.

Świt zastał Juljana śpiącego we flanelowym negliżu, na otomanie. Zanim hotel począł się budzić, ocknął się, wykąpał, skreślił depeszę do Rajewskiego, kazał ją wysłać, zamówił obfite śniadanie angielskie, napisał list do banku, zatelefonował do szofera, zamówił go na szóstą wieczór i po śniadaniu zasnął znów spokojnie.

Przed jedenastą zjawił się Rajewski, wyświeżony, wesoły. Skoro tylko wszedł, rozpuścił język.

— Zbudzono mnie twoją depeszą... A wiesz, co się stało z Żanetą?...

Juljan nie wiedział, i można było przysięgać, że, gdyby żył nawet 100 lat, nie zapragnie wiedzieć. Jednakże było mu przeznaczono dowiedzieć się tego koniecznie. Bo Fajfer mełł językiem na dobre, jak wiatrak.

— Dowiadywałem się o nią wczoraj wieczorem, i wyobraź sobie! Zabrał ją z sobą do Paryża ów buldog amerykański, o którym ci wspominałem, ordynarny jankes, cham z drugiego brzegu wielkiego jeziora, słowem bydlę. Zabrał ją literalnie obsypaną brylantami, chociaż ma ona „feler“ w lewem oku. Niewiadomo, czy przetransportuje ją wraz ze swem wstrętnem cielskiem do swej lepszej od Europy części świata (w tym razie mu-

siałby wziąć z nią ślub), czy też pojawi się ona jeszcze w tym sezonie w naszem boskiem Monte. Szkoda jej, psia krew! Gwiżdże artystycznie. A co ważniejsza, ma temperament...

Paplanina ta uwalniała Juljana od obowiązku mówienia. Jednakże zapytał:

— A jak poszło ci wczoraj z panią Ellą?

Na to Fajfer, widocznie skonfundowany, skrzywił się, podrapał za uchem i po namyśle rzekł:

— Poprostu mówiąc: podle. Doznałem u niej przyjęcia, jak pies w kręglach. Na wstępie zaraz powiedziała mi ta ordynarna baba: „Nie wiedziałam, że pan chce udawać sobowtóra hr. Zawiejskiego“. Nie będę powtarzał wszystkiego. Chamska krew i kwita. Niech djabli sobie babę zabiorą! Człowiek kulturalny odbijać im jej nie będzie...

— Ten twój negliż w bardzo dobrym guście — odkrył nagle Rajewski i ciągnął: — Wyglądasz trochę minorowo, bez humoru. Zgrałeś się i nie wyspałeś. Zwykle tego po tobie nie widać. Masz taką szczęśliwą twarz. Nie dałbym ci nawet trzydziestu lat. Taką nosisz w sobie młodzieńczość. Może to od sportu. A dlaczego ty nie masz monokla?

— Siadaj, Fajfer, zapal cygaro i słuchaj — ozwał się wreszcie Juljan. — Nieciekaw jesteś, poco cię przyzywałem depeszą?

— Co takiego? Jaka nowa wielka gra?

— Otóż to. Dzisiaj rozpoczyna się wielki raid.

— Nic nie słyszałem o tem.

— Bo nie wiesz, co się dzieje w Cannes — fuknął na niego Juljan. — Biorę w tem udział. A — głupstwo

się stało — zrobiłem wczoraj po pijanemu zakład z pewnym Krezusem amerykańskim. Zakład o szaloną sumę. Gdybym miał przegrać, jestem bankrut. Ruina. Posiada on, nie dzielniejszy może, ale nowszy wóz, i pytanie, czy nie lepszy z niego automobilista ode mnie. Rozumiesz: nie mogę przegrać. Stawiłem na kartę wszystko. Nawet życie. Albo miljony, albo... niech djabli wezmą wszystko. A mogą wziąć. Wcale nie wyłączone. Jedziemy przez Grande Corniche, Mentone...

— Djabeł cię skusił. Czyż to nielepiej wygrywać spokojnie w Monte?

— Stało się. Niema o czem mówić. Trzeba przygotować się na każdy wypadek. Otóż zostawiam ci w tej grubej kopercie na biurku czek na trzydzieści tysięcy franków. Gdybym miał skręcić kark, jako prawdziwy przyjaciel zajmiesz się memi szczątkami, bez hałasu, bez ceremonji i parady pochowasz mnie w jakiej La Turbie, w najbliższej gminie, gdzie smętne me zwłoki znajdą. Jak mówiłem, bez ceremonji i w najtańszej chłopskiej trumience, abyś jak najwięcej z tej kwoty oszczędził dla siebie. Zostanie ci z tych pieniędzy chyba 25 tysięcy. Nikogo, ani mych rodziców, ani nikogo tutaj o pogrzebie nie uwiadomisz. Ale możesz położyć na grobie skromną płytę marmurową z napisem: „Si gît le comte Jules Zawiejski“ i t. d. Ja ci to wszystko wypisałem dokładnie w tym liście.

Fajfer z rozwartemi jak szczupak ustami słuchał uważnie i strzygł czerwonemi powiekami.

— Ale chyba karku tam nie skręcisz, co?

— Chyba nie. Ale kto może wiedzieć. Wielka gra...

Jaka skała przy drodze na skręcie... Wypijesz kieliszek Moet'a?

— A no, owszem.

— To otwórz butelkę z łaski swojej. Pozostało ich kilka z ostatniej pohulanki z Pembroke'em. A propos, w razie fatalnego wypadku, wszystko, co moje w tych pokojach, a więc garderoba, dwa futra, wino, a nadto mój samochód, pierścionki, słowem wszystko, niemniej, jak te 25.000 franków — to twoje. Przyjmiesz to od przyjaciela, który zgóry (bo później jużby nie mógł) dziękuje ci serdecznie za ostatnią twoją przyjacielską przysługę.

— A... reszta twych pieniędzy? — spytał zcicha Fajfer, uścisnąwszy mu rękę.

— Przeznaczyłem ewentualnie dla mej najmłodszej siostry Antoinette'y. Kapitalna dziewczyna pod każdym względem. Niestety, bajecznie ładna i czarująca.

— Czyż to źle? — bąknął Fajfer, otwierając butelkę szampana.

— Źle... Albo to kobietę wykoleja, albo innych, a najczęściej obie strony.

Fajfer chlipnął trochę wina łakomie i zawołał:

— Na pohybel temu wujowi Samowi, co mi wykradł Żanetę, a na twoje zdrowie! Wracaj cały, miljonerze! Przyjmę cię godnie. Zabawimy się jak Lukullus u Sardanapala, jak to mówi mój przyjaciel de Millefort. Notabene, muszę ci o nim opowiedzieć...

Juljan trącił o jego kieliszek, lecz rzekł:

— Ja dzisiaj nic nie piję przed tym raid'em. Zanim mi opowiesz o tym Francuzie — jeszcze słówko. Odzywam się do ciebie, jak do prawdziwego przyjaciela

i jak do skończonego dżentelmena... W razie wypadku, być może, że rzucą się na ciebie gazeciarze z Nicei, by dowiedzieć się tego i owego o tym, który uległ fatalnemu wypadkowi. Bo to się nie ukryje, że jesteś przyjacielem hrabiego Zawiejskiego. Być także może, że... jakie panie i jacy panowie z Cannes zbliżą się w tym samym celu. Otóż nie wiem, czy potrafisz być istotnie dyskretnym. Chociaż taki dżentelmen, lubisz — co zresztą nie grzech — opowiedzieć i opowiadać.

— A o co ci chodzi?

— Poprostu o to, byś nigdy nikomu nie pisnął słowa, że Zawiejski a Zawoja to jedno. Tu na Rywjerze znasz tylko hrabiego Zawiejskiego i mówić o nim będziesz mało a pochlebnie, w myśl sentencji: de mortuis nihil nisi bene.

— Możesz tego być pewnym! Daję ci na to słowo honoru.

— Wielkie rzekłeś słowo! Słowo dżentelmena — to wystarcza. Dziękuję ci serdecznie — zawołał Juljan i uścisnął dłoń jego mocno. Zaczem, nie pokładając snać wielkiej ufności w jego dżentelmenerji, jął mu tłumaczyć:

— Gdyby moja, raczej nasza tajemnica miała wyjść najaw, zaszkodziłoby to i tobie w opinji. A ty, niemal stale mieszkając w Nicei, nie powinieneś sobie lekceważyć opinji. Na Rywjerze, w tym, bądź co bądź, ciasnym światku renoma jest ważną rzeczą. Może być kapitałem, kredytem lub minusem, prawda?

— Bez kwestji. Rozumnie mówisz.

— Niewątpliwie w Cannes zainteresują się... zainteresowaliby się ludzie taką katastrofą ogromnie, zwła-

szcza, że miałem tu niemałe powodzenie w najwyższych kołach. Byłoby to sensacją dnia. Im wyżej stawiać mnie będziesz, tem wyżej ty sam wyrośniesz w pojęciach tych wysoko stojących, utytułowanych osobistości, jakie mogą pytać się ciebie o me ostatnie chwile, o pogrzeb, o grób i t. p. A gdyby indagowano cię o me stosunki rodzinne i finansowe, powiedz krótko: nie wiem. To tak łatwo nic nie wiedzieć.

— Ja też istotnie nic o tobie nie wiem! — zawołał Fajfer.

Tu, przewidujący wszystko, Juljan uważał za rzecz bardzo wskazaną poinformować Rajewskiego o swych stosunkach familijnych i innych, tak, jak swego czasu hrabinę Morecką. A potem pouczał go, co i jak ma mówić w Warszawie o hr. Zawiejskim, zarówno jak o Zawoi, i z całą swą finezją francuską starał się wykazać Rajewskiemu, jakie może mu przynieść korzyści głęboka dyskrecja.

Nie byłby skończył jeszcze długo, lecz zjawił się posługacz hotelowy.

— Pani hrabina Morecka prosi, aby pan hrabia był łaskaw zejść do niej, do ogrodu.

Juljan, widocznie bardzo niekontent, musnął dłonią czuprynę i rzekł:

— Proszę powiedzieć pani hrabinie, że mam u siebie gościa. Ale... przyjdę do ogrodu... za kwadrans, dwadzieścia minut.

Nie pragnął widzieć już nikogo, i głównie nie chciał spotkać się z Sabiną.

Niesłychanie ciekawy, jak zawodowa plotkarka, Faj-

fer przyglądał mu się bacznie i byłby oddał Juljanowi z jego czeku tysiąc franków i dwa, gdyby go wtajemniczył w sprawę, która zdawała się wisieć między nim a ową hrabiną. Podejrzewał jakąś „wielką grę“. A Juljan starał się go sprowadzić na tory niewinnych przypuszczeń.

— Zacna kobieta, ale zanudza mnie... Zapragnęła urządzić w Cercle‘u polski wieczór choreograficzny na jakiś cel dobroczynny, i ja mam to za nią zaaranżować!

Począł się szybko ubierać i pożegnał Fajfra serdecznie.

Wyszedłszy z hotelu, Fajfer rozdarł zaraz kopertę listu, który wręczył mu Julek, i przekonał się, że czek istotnie opiewał na trzydzieści tysięcy franków. A ileż mógł kosztować skromny pogrzeb w zapadłej parafji górskiej? Najwyżej dwa tysiące. I to z nagrobkiem. To znaczy, że p. Rajewski posiada 28.000 franków. Taki dżentelmen, jak Julek, wróciwszy z tej idjotycznej sportowej „rozrywki“ cało, nie odbierze mu już tych pieniędzy. A w danym razie dochodzą do tego jeszcze jego futra, jego samochód... Nie byle co! Jak dobrze pójdzie, to Adzio Rajewski powróci z Rywjery do Warszawy samochodem!... To dopiero szyk! Znajomi jego oczy wytrzeszczą, jak wół na malowane wrota! Zawsze był tego zdania, że dla takich jak on dżentelmenów, niema na świecie nic nad złotą skałę Monte i boską Rywjerę. Czyż w takiej Warszawie kapłoby mu trzydzieści tysięcy franków jakby z nieba?! Dobry chłop, ten Julek. Szkodaby go było... Jeśli wyjdzie z życiem, to zatrzyma samochód, futro, garderobę. Jednakże on

zczasem nagrodziłby mu to hojnie. Ile ta szczęśliwa a niesamowita bestja może mieć pieniędzy w banku??... Żeby być tak jak Julek szczęśliwym w grze i wszystkiem, trzeba być półwarjatem... Cały „feler“ Rajewskiego, że jest zanadto rozważny. Zresztą przystojny, dobrze wychowany, dżentelmen...

Gdy Fajfer tak rozmyślał przy doskonałem śniadaniu w najpierwszej restauracji, Juljan na ławce w ogrodzie czekał na hrabinę Morecką, obawiając się ogromnie, by nie pojawiła się z nią Sabinka.

Niebawem wynurzyła się hrabina sama z werandy, jak wnosić było można z jej ruchów, zwykle flegmatycznych, zdenerwowana.

— Muszę pana hrabiego prosić koniecznie o wyjaśnienie — poczęła, tocząc swemi oczyma dokoła, i siadła na ławce. A Juljan, zakuty w apatję, sięgnął po krzesło.

— Jestem bardzo zaniepokojona... Zaszło coś poza memi plecami między panem hrabią a moją córką, coś, czego w gruncie rzeczy nie mogę sobie wytłumaczyć. Bo ta tajemniczość... ta dziwna tajemniczość przeraża mnie... Obrał pan hrabia zgoła niewłaściwą drogę do mej córki... dlaczego pan hrabia ukrywał się przede mną ze swą miłością do Sabinki?...

Zimny, spokojny jak głaz Juljan, westchnął zcicha i odrzekł:

— Dlatego, że czułem, iż miłość ta jest beznadziejna.

— Jeżeli ta miłość jest beznadziejna — wpadła, unosząc się, hrabina — to jak pan hrabia mógł, jak śmiał wyznawać swe uczucia Sabince?

Po długiej chwili milczenia, zainterpelowany ozwał się półtonem i tak chłodno, jakby mówił o obcym sobie człowieku:

— Proszę pani hrabiny... Dlaczego wezbrane wysoko na wiosnę wody druzgocą tamy, niweczą przeszkody?...

— Czy pan hrabia Sabinkę kocha? — zapytała stanowczym tonem i utopiła wzrok w poważne, smętkiem owiane jego oblicze.

— ...Nadewszystko na ziemi i w niebie — wyszeptał, i głos jego zadrżał lekko cudowną nutą.

Pod tem wrażeniem hrabina zamilkła i westchnęła zcicha. Wreszcie, uprzytamniając sobie miłość córki, wyszeptała do siebie:

— Cóż ja mam teraz począć?...

Poczem zwróciła się do niego żywo:

— Dlaczego pan hrabia nazywa swoją miłość beznadziejną?

— Mogę powtórzyć tylko to, co mówiłem pannie Sabinie: sterczy między nami jak skała fakt, o który mogę sobie rozbić głowę, ale którego nikt i nic zmienić, ani obalić nie zdoła.

— Jaki??... Pan ma żonę???

— Nie, pani hrabino. Gdyby tak było, wyznałbym to w tej chwili.

— A zatem co?... Ja mam prawo to wiedzieć.

— Bezwątpienia. Ale panna Sabina ma jeszcze większe prawo to wiedzieć, a ja tego za nic na świecie wyjawić nie mogę, nie potrafię nikomu.

Hrabina zamyśliła się.

— Gubiłam się w domysłach... Może pan hrabia

przegrał cały majątek, może... jaki amerykański pojedynek... Cóż ja wiem!?

— Nie... tej tajemnicy nie odgadnie nikt, przysięgam. Daremnie kusiłaby się o to pani hrabina, lub panna Sabina. Nawet żadna wybujała fantazja nie zdejmie z tego zasłony. Najlepiej nie pytać o to, nie badać i nie wspominać mego imienia... Ta tajemnica jest tak głęboko pogrzebana w mej piersi, że nie odgrzebie jej nikt. To jest nieszczęście... Wyrządziłem pannie Sabinie i pośrednio pani hrabinie krzywdę tak straszną, że nie śmiem błagać o przebaczenie. Jedno tylko mogę uczynić teraz: wyjechać.

— Pan hrabia wyjeżdża?!

— Wyjeżdżam dzisiaj.

— Dzisiaj już?!

— Dzisiaj o szóstej...

Bezradna, przybita hrabina Anna wsparła głowę na dłoni i poczęła jakby do siebie:

— I cóż ja mam począć teraz z tem biednem dzieckiem?...

— Przypuszczałam, że pan przegrał cały majątek... Mimo to oddałabym Sabince swój osobisty majątek, nie tak wielki, ale bardzo dobry, w Sandomierskiem nad Wisłą... Pan hrabia wstąpiłby zapewne do wojska, zamieszkał z Sabinką w Warszawie... Ja nie zapomniałabym o Sabince... Chociaż, może lepiej unikać miasta i osiąść na wsi... Tam, w Pomiarowicach mieszkał mój dziad. Pozostało tam po nim w pałacyku niejedno...

— Śliczne horoskopy roztacza pani hrabina...—wyszeptał, czując, że raz jeszcze biorą go na tortury, malując obraz szczęścia z „nią“, i zakrył twarz dłonią.

— Czy panu co grozi?! Czy pan uczynił coś niehonorowego, haniebnego?

— Pani hrabino!... — podniósł na nią oczy śmiało.— Hrabia Zawiejski nie potrafi uczynić nic haniebnego! Prawda, haniebnie postąpiłem, wyznając pannie Sabinie swe uczucia, lecz, proszę mi wierzyć, iż grzech ten zmażę... Żegnam panią hrabinę... Wiem, że tylko klątwa i potępienie mogą pójść moim śladem, że niema dla mnie przebaczenia... Jednakże, kamienując mnie w myślach, niechaj pani hrabina uwzględni łaskawie, że ten straceniec nie był tak nikczemny, jeśli potrafił ocenić w całej pełni, tak bezgranicznie wielbić i tak nad życie pokochać... anioła... Niechaj panie obie, myśląc o mnie, mają na uwadze zawsze, że nie mógł być podłym człowiek zdolny do takiej, jak moja, miłości wielkiej, największej, najszczytniejszej... Jeśli kiedy, to teraz godzien jestem tego cudownego uczucia, jakiem mnie obdarzyła panna Sabina. I to jest moją wielką pociechą... Ufam, że panna Sabina, której już nie ujrzę, przebaczy mi w swem szlachetnem sercu, bo ona wie, jak ją kocham... i ufam, że obie panie, nie wspominając mego imienia nigdy, myśleć będą o mnie jednak... dobrze, a kiedyś przebaczą mi... Bo przebaczyć można wszystko temu, kto, jak ja, kochał...

Szept jego, z serca wyjęty, skonał.

Powstał, ujął jej rękę i raptem, jak ongi ojcowie jego do nóg hrabiowskich, przypadł do kolan jej i, drżąc, przez moment ukorzył się w bólu i żalu przed matką swej najukochańszej dziewczyny.

— Żegnam panie...

XVIII.

Dalibóg, o niczem podobnem świat jeszcze nie słyszał i nie widział bogatej hrabiny z krwi książęcej, proszącej pokornie syna kamerdynera, by zechciał poślubić jej dziewiczą, prześliczną, dla księcia przeznaczoną córkę — chichotał w duszy Juljan, krążąc po swych pokojach rozstrojony.

Był to ostatni i, jak powiedziałby Rajewski, nadzwy-czaj-ny sukces jego sezonowy w Cannes. To korona tych sukcesów!...

Lecz zaszarpano znów zbolałemi strunami jego serca tak, że podniosły się w nim do wyżyn świadomości skłębione uczucia, i kołatał się, błąkał w tumanie rozpaczy Tantala.

Aby się z niego wydobyć, począł chwytać się trywjalnych zajęć; zmienił obuwie, ułożył na krześle reniferową dachę i wszystko, co miał włożyć na siebie z wieczora. Zadzwonił na garsona, kazał sobie przynieść rachunek i coś ze śniadania. Wypił resztkę wina, które pozostawił w butelce Rajewski, i siadł przy biurku.

Zanim wziął pióro w rękę, by napisać parę słów pożegnania do pani Egerton, zadumał się.

Program był ustalony. O szóstej szofer powiezie go do Nicei, zaczem Juljan sam jeden ruszy wgórę, na pierwsze szczyty Alp Morskich, na drogę „Grande Corniche“, biegnącą po górach, które wszczęły najazd na morze, lecz raptem zatrzymały się murem, uroczone pięknem i majestatem błękitnych wód.

Na tym gościńcu zauważył Juljan, że przy kilkaset metrów długim, łagodnym skłonie sterczały, niby

szereg skamieniałych strażników, igły, maczugi i bryły skalne, a wśród tej naturalnej balustrady tam, gdzie skały zębate przykucnęły do ziemi, był nieznaczny wyłom. Ominął go uważnie, zerknąwszy poprzez krawędź zawieszonej wysoko drogi ciekawie. O krok od tej wyrwy ujrzał przepaść; ściana góry, ściętej raptownie, spadała niemal prostopadle o dwieście metrów na głazy, nastrzępione ostremi kłami i umajone kosodrzewiną.

Skoro samochód Juljana wtoczy się na ów skłon, nabierze w pierś jakby nowego życia i pomknie rozhukany lotem błyskawicy, strzeli piorunem na ów wyłom, przesadzi nikłą kupę kamyków i — wypryśnie jak Pegaz w przestwory... A pan jego monarszem okiem ogarnie na moment ów świat kwiatów, zbytku, szumu i rozkoszy, tam nisko u stóp jego kipiący, zawiśnie, niby meteor na podniebiu lazurowem, i...

Że za moment skrzydlaty wóz i ten Farys dziki — runą, rozbiją się, roztrzaskają, rozprysną — pal djabli! Żył! Kochał! Boże, jak on kochał!...

Wraz z nim skończy się dnia tego słońce. Krwawe zorze, usłane smugami na skłonie niebios, cisną na fale złote, purpurowe jedwabie, by po nich storturowana jego dusza przeszła w wiekuistą ciszę zaświatów, i obloką się w żałobne fiolety, zagasną w cichym żalu, milczeniem swem wielkiem szepcąc: amen...

Już teraz Juljan nic nie kochał, prócz tej wizji swej śmierci. Fascynował się nią, popadając niemal w autohipnozę. Nie bał się, jak nie bał się karkołomnego skoku na nartach, lub kul, świszczących w boju.

Prawda, raz na patrolu — był to jego chrzest bojowy na początku wielkiej wojny — gdy dostał się nie-

spodzianie w grad kul, dreszcz lodowaty sparaliżował jego umysł. Natychmiast jednak podniosła się w nim przeciwko temu opozycja rycerska, i zgniótł w sobie to uczucie.. Odzyskał głowę, nadzwyczajnie czystą i jasną, pomyślał, jak sobie radzić, jak zasłonić swój oddział. A przytem prężyła się w nim wola, żądza zwycięstwa, i wnet z dość korzystnej pozycji zrobił wypad. Krzyczało w nim coś wtedy: postawić na swojem! Zwyciężyć!... Kule nic gorszego nie mogły mu wyrządzić, jak tylko go zabić... A raz kozie śmierć!

Tak samo będzie teraz w tej ucieczce przed rozpaczą. Zimny dreszcz, bunt przeciwko niemu, błysk dumy, napięcie woli, komenda determinacji, żądza końca katuszy i triumfu nad ciałem.

Marni ludzie! Przez całe życie uczą się żyć, zamiast uczyć się, jak pięknie umierać...

Tak pięknie zginąć potrafi tylko on, ostatni z rodu Farysów...

Spojrzał na zegar. Jeszcze dwie godziny...

Myśl kołatała się jeszcze dokoła odmalowanej w wyobraźni sceny. Wieść o jego śmierci przeszyje dreszczem Cannes. Gazety dadzą jego podobiznę i kłamliwe jego końca opisy. Wiele osób dopytywać się będzie o numer jego samochodu, by na tę liczbę stawić swe złoto w rulecie. Wielu, szczycąc się znajomością lwa sezonu w Cannes, będzie rozpowiadać o nim smolone duby i tłumaczyć istotną przyczynę tego „wypadku“. Pani Egerton szepnie sobie: „umiał pięknie żyć i umiał umrzeć pięknie“. A że odgadnie rzeczywistą pobudkę tego ostatniego jego „szaleństwa“, więc doda: „i umiał kochać, i w tem był wielkim“...

Pani Egerton!... Jej duch zawisł nad jego głową, niby blask księżyca...

„Droga pani Egerton — pisał do niej. — Wyjeżdżam. Kiedy panią znów zobaczę — pytanie.

— „Wyjeżdżam wielkim Jej dłużnikiem, bo wniosła mi Pani w jasne dni pobytu na tym brzegu swój wytworny intelektualizm, daleki od scholastyki i w powabne szaty niewieście odziany, wydobyła z umysłu sportsmana szlachetniejsze tony i ukazała mu światła swego Parnasu. Dzięki Pani wszedłem w siebie, pogłębiłem się i pojąłem, że zrealizowanie zjawisk i stanów duszy jest stokroć więcej warte od faktu. Być szczęśliwym — to nic, uświadomić sobie, że się nim jest, jest wszystkiem. Uświadamianie takie powiększa szczęście, a ujmuje coś z goryczy nieszczęścia, gdyż obleka je w anielską szatę.

„A ileż to przemiłych chwil przeżyłem wśród tych rzadkich storczyków, złocieni i kamelij Pani saloniku, u którego progu trzeba strzepnąć z obuwia prochy ziemskie? Była Pani dla mnie nieocenioną przewodniczką po kilku salonach. Jestem jej zato bardzo wdzięczny, lecz stokroć więcej za to, że dopuszczony do intymnego duchowego obcowania z Nią, dowiedziałem się, iż braterstwo dusz rzeczywiście istnieje i przekonałem się, jak wielką szczęśliwością napawa istnienie w blaskach świetlanego ducha.

„Śmiała się Pani nieraz, gdy twierdziłem, że wywiera Pani na mnie wpływ... zgubny. Tak jest. Wielbiąc Ją bowiem, spozieram przez umiłowanie kontrastów na drugi Jej biegun — na tych władców świata dzisiejszego, co ilość stawili przed jakość, bezmyślną więk-

szość nad myślącą mniejszość i, głosząc swą ewangelję nikczemności, każą nam się modelować na modłę jedynie do zbawienia na tej ziemi wiodącej przeciętności. Wyrywają oni z ogrodów wonne i piękne kwiaty, ponieważ nie można ich jadać, ni bydła niemi karmić. Każą bezwzględnie wszystkim pracować. Więc chcą zamienić Panią w... praczkę (mnie zapewne w drwala), lepiej bowiem w ich pojęciu źle prać, aniżeli pięknie myśleć.

„Źle zatem wychowywałaś mnie, łaskawa przyjaciółko! Lubo tak szanuję człowieka, bluźnię przeciwko trybunałowi motłochu. Wszelako i za to brzydkie uczucie pogardy jestem Ci wdzięczny, Pani, bo w tem uczuciu mieści się wiele pogardy dla życia, które doniedawna tak ślepo kochałem.

„Sądzę, że wprawdzie życie trzeba ogromnie kochać, odczuwać wszystkie jego blaski, ale również trzeba umieć ogromnie niem pogardzać. Dopiero wtedy jesteśmy zarówno mądrymi ludźmi, jak duszami.

„Dziwna to rzecz ta dusza... Z niej to wynurza się czasem, niby duch Banka, mocarne prawo moralności i przeciwstawia się, jak dyktator, zdrowemu rozsądkowi, obraca zamierzenia silnych wniwecz. Głos tego prawa może zakłócić bolesnym dysonansem upojną pieśń serc, najwyższą radość zamienić w straszną udrękę. Okrutne to prawo, a jednak nie śmiałbym przeciw niemu podnosić głosu. Milknę wobec majestatu duszy ludzkiej.

„Może kiedyś, gdy Pani o szarej godzinie, w storczykowym saloniku, przypomni sobie o mnie, przyjdę wraz z zorzą wieczorną i zbliżę się znów do siostrzanej Jej

duszy. Wierzę, że my nigdy nie rozstaniemy się tak zupełnie...

„W tem przekonaniu, droga Pani Egerton, to znaczy droga przyjaciółko, chylę się do Twych rąk pełen wdzięczności i — żegnam. Oddany

Juljan Zawiejski".

XIX.

Zbliżała się szósta. Juljan spojrzał na zegarek i pomyślał, że skoro dłuższa wskazówka drgnie jeszcze kilkakrotnie i wybije godzina, rozpocznie się jego najwspanialsza jazda. Powstał, rozprężył się i uśmiechnął ze srogim marsem wojackim na czole.

Niebawem z punktualnością europejską pojawił się szofer. Juljan włożył na siebie zaraz dachę, wziął czapkę i wyszedł z pokoju, lękając się, by nie napotkać w westybulu i u wyjścia nikogo ze znajomych, nikogo...

Gdy stanął nad kaskadą schodów, zachmurzył się niby Jowisz. Uderzył go bowiem widok, przeciwko któremu wzdrygnął się i protestował jego instynkt, jako przeciwko źródłu niewysłowionego bólu. Ujrzał Sabinkę.

Zajęła ona pozycję wyczekującą przy końcu jasnopopielatego, długiego samochodu, ubrana jak na spacer w bladoróżową, częściowo białą sukienkę krótką i gniazdkowy kapelusz tejże barwy. Wspierała się na parasolce blada, z twarzyczką przychudłą, z gorączkowemi blaskami w podcienionych oczach. Ogarniał ją spokój marmurów; zdało się, że zapadła w siebie i cała martwa streściła się w promieniach źrenic, utkwionych w niego niby strzały.

Na sekundę Juljan zatrzymał się jak wryty, skłonił się jej głową i postawą, czapkę gniotąc w ręku, zaczem natychmiast odwrócił wzrok. Nie podszedł do niej i nie wyrzekł słowa. Zbliżył się do samochodu, przy którego drzwiczkach zjawił się wygalowany lokaj. Szumiały w nim zmieszane uczucia bólu, przerażenia i gniewu. Nie chciał powracać już od świata, kategorycznie nie chciał dotykać rozdartego serca! Ona była życiem, pełnią życia, a on zaprzedał się już śmierci.

Atoli Sabinka, mimo tak mrożącego przyjęcia, podeszła do niego ze spokojną determinacją. Nie mógł przeto uciekać; z głuchym lękiem, z odwróconemi oczyma czekał jej głosu jak winowajca.

Cicha, niby cień, stanęła przed nim i, kurczowo w sobie skupiona, wyrzekła zcicha:

— Pan jedzie?...

— Tak, pani...

— Na zawsze?...

— Na zawsze.

— I... i mnie pan chce tak zostawić?

Melodyjny głos podniósł się, niby na miękkiej fali, i zamilkł.

Coś zabolało go w piersi gwałtownie. Żachnął się, pochylił głowę nisko, położył ramię na poręczy automobilu.

— Powinienem był zawsze zostawić panią w spokoju...

Zapatrzona w bolesną jego maskę, westchnęła, jakby nabierając zapasu głosowego, i ozwała się zcicha, elegijnie, z dziewiczą prostotą:

— Ja nie mam panu za złe tego, co było, lecz teraz pan przecież nie może mnie opuścić...

Zmąciły się jego myśli. Wpadł mu w oko lokaj, stojący o krok za nią przy wozie. Irytował go ten człowiek. Wyjął szybko z kieszeni monetę, wcisnął mu ją w dłoń i odprawił go gestem.

— Czy mama pani wie, że pani tu przyszła? — zagadnął i zdziwił się, dlaczego pyta o coś, co mało go interesowało.

— Wie — odparła Sabinka. — Gdy ubierałam się do wyjścia, mama domyśliła się i rzekła: „Więc idź i pomów z nim!“

Umilkła, zwiesiwszy głowę nisko tak jak on, poczęła świdrować końcem parasolki w piasku, może czekając odpowiedzi na kwestję, którą mu postawiła. Ale on nie miał odpowiedzi. Przerwał milczenie szeptem:

— Pani ma mi coś do powiedzenia?...

— Nie... chciałam pana zobaczyć.

— Pożegnać?

— Nie.

— Tylko zobaczyć?

— I... być przy panu...

— Jakto?

— Ja... pojechałabym z panem...

— Ach, panno Sabino!!... — wyrwał się szept niemal ekstatyczny, tak sprzeczny z suchym tonem jego. Oślepił go jaskrawy promień słońca, co wyjrzał z pod czarnych chmur.

Oboje, z podświadomością ogromnej doniosłości momentów przeżywanych, zatopieni w sobie, nie zauważyli wchodzących do hotelu osób, które obrzucały ich zdu-

mionemi spojrzeniami, nie mogąc pojąć, dlaczego tak skamieniali z nisko pochylonemi głowami, niby żydzi w bóżnicy. Na chwilę wychylił się z drzwi ciekawy maître d'hôtel.

Tym okrzykiem zachwytu zachęcona, dziewczyna chciała snać przygwoździć wrażenie, bo dodała półtonem:

— To nic dziwnego... Kocham pana.

Lecz już straszny ból począł się nad nim pastwić, i twarz jego oblekła się w mroki. Dlaczego starała się zatrzymać go w powojach swych wonnych uczuć?... Czy dlatego obnażała swe serce, by go przekonać, co traci?...

— To pana boli... Pan taki nieszczęśliwy! Ja tak o pana się bałam i dlatego tu przyszłam...

Pod ciepłem tej muzyki serca topniała bryła sztucznego lodu, którym przysłonił jątrzącą bolączkę.

— Miałbym przy pani zostać?

— Tak.

— Z jakiego tytułu??

Trudno jej było wyrwać najaw z wirydarza serca wyznanie, lecz zadawała sobie gwałt, czując, że musi powstrzymać go koniecznie, za każdą cenę.

— Jako mój mąż... — wyszeptała.

— Ależ, panno Sabino, stąd cała moja rozpacz, że to niemożliwe...

— Niemożliwe...? Ależ pan nie zechce jednak unieszczęśliwić mnie... swego dziecka...

— Dziecka?!

— Mówił mi pan raz, na balu, chociaż nie wprost,

że wyłoniłam się ze słonecznej mgławicy jego marzeń, że mnie pan powołał do życia mocą... swej miłości...

— I czy pani istotnie czuje się dzieckiem mego serca?

— Rzeczywiście, miałam takie wrażenie, jakby otaczało mnie zewsząd kryształowe morze miłości... jakbym w tem morzu była istniała od urodzenia...

Olśniony tak niespodziewanemi odblaskami swej miłości, Juljan nie znajdował słowa. Bezwiednie ściskając w dłoniach czapkę, spozierał na zwieszoną jej głowę. A fale jej uczuć, bijąc weń szturmem, kruszyły lodowatą bryłę jego determinacji.

— Jeżeli pan mnie jeszcze kocha, nie opuści pan, nie unieszczęśliwi... swej żony...

— Żony??

— Tak, żony — odparła z naciskiem, patrząc bez przerwy na koniec parasolki. — Przecież ja w tych pocałunkach naszych ślubowałam panu już miłość zupełną i dozgonną...

— Na Boga, panno Sabino... — wyjąknął nieprzytomny, niby udręczony nadmiarem blasków słonecznych.

Nagle zrobiło mu się bardzo gorąco. Zdarł z siebie odruchowo dachę, cisnął do wnętrza samochodu, wysłał za nią czapkę i odetchnął pełną piersią, muskając dłonią spotniałe czoło i upominając się, że trzeba zachować całą przytomność.

— Panno Sabino! Sen był zbyt piękny, by dał się zrealizować na tym świecie....

— Jeżeli kochamy się... — zaprotestowała zcicha.

— Jest straszna przepaść...

— Czemu pan starał się mnie tak rozkochać i zdobyć?... Zostać przy mnie jest teraz jego obowiązkiem...

— Panno Sabino! Jedyna moja!! — bełkotał w rozterce, a w jego głosie dźwięczały teraz gorące tony. — Wszystko ma swe granice. I miłość pani... A jeżeli nie cudowna jej miłość, to... Są rzeczy w sferze pani zgoła niedopuszczalne, niemożliwe... Dajby na to... mezaljans... Przypuśćmy... (Rzecz całkiem fantastyczna.) Ot... pani nie wyszłaby zamąż za... — przypuśćmy — tego lokaja, co stał za panią przed chwilą przy samochodzie?... Albo, dajmy na to, za jego syna...

— Za tego lokaja nie wyszłabym zamąż z pewnością.

— Ani za jego syna.

— Lokaja?

— Chociażby nie był nigdy lokajem, lecz wykształconym, inteligentnym i nawet salonowcem.

Zastanowiła się.

— Gdybym mogła go pokochać i kochała bardzo... Gdyby on mnie tak kochał i był taki, jak pan...

— To co?!

— Tobym za niego wyszła — wyrzekła z prostotą dziecka.

— Nie, panno Sabino. Miłość składa się z różnych pierwiastków. Pani odczuwałaby dla takiego osobnika niskiego pochodzenia pewien niesmak... chociażby chwilami wydał się on pani niegorszym, a nawet lepszym od innych wielbicieli...

— Gdyby mi się wydał najlepszym, gdybym go głęboko kochała, to przecież byłby mi równym we wszystkiem... Nie wiem, jak to powiedzieć... Jeśli mo-

głabym go kochać, to byłby dla mnie dość wysokiego rodu...

— Na miłość boską, panno Sabino!... Pani myli się!... Zresztą wnet ujrzałaby go pani oczyma rodziców, krewnych i swego świata, napiętnowanego skazą niskiego stanu... Nie! Hrabianka Morecka nie wyszłaby nigdy za... tout court, jakiego... Jean'a Duval'a i... nie mogłaby być z nim szczęśliwą...

— Mogłaby... — zaprzeczyła. — Mówiłam... Gdyby był zdolny natchnąć mnie prawdziwą, głęboką miłością, gdybym bez niego nie widziała jutra...

Zamilkł. Zdziwiona dziewczyna podniosła na niego oczy i zawołała przestraszona:

— Co się panu stało? Pan tak okropnie pobladł!...

Istotnie działo się z nim coś strasznego. Wszystka krew uciekła z jego twarzy, przeszedł palcami po włosach, zamknął oczy i czekał przypływu przytomności. Po długiej chwili wyprostował się, i teraz rysy jego oblicza przybrały zwykły swój męski, rycerski wyraz.

Szybko przesunął się obok niej do drzwiczek samochodu, położył na nie dłoń i, spozierając śmiało w jej oczy wylęknione, począł dźwięcznym głosem, spokojnie a poważnie:

— Pani wyjmuje mi z duszy mój sekret... Wyczarowuje ze mnie wszystko swemi czarami, dokazuje cudu... W istocie czuję, że nie wolno mi opuszczać pani bez wyjaśnienia, że muszę jej to wyznać... Nakazuje mi tak brylantowa pani miłość... Muszę, muszę zdobyć się na nadludzką odwagę, chociaż wiem, że czeka mnie grom...

— Ale, na miłość boską, pan nie odjedzie! — zawołała zaalarmowana i przerażona. — Panie Juljanie, pan nie odjedzie! Ja boję się o pana!... Pan nie odjedzie, chyba ze mną!...

Parasolka wypadła jej z rąk, które uchwyciły silnie jego rękę, i zaklinała go żarliwem, rozmodlonem spojrzeniem tak, że padł nań oszołomiający czar i nastał moment zupełnego zapomnienia. Nie wiedział zgoła nic, prócz tego, że cały jest miłością, i, zaprzepaściwszy się w słodkiej, modrej toni jej oczu, palił ją ogniem źrenic, a kawały serca rwały się w spazmie gryzącej namiętności i zenitowej miłości:

— Jak ja cię kocham! Jak ja cię kocham, dziewczyno cudowna, moja jedyna...!! Umrzeć dla ciebie nawet jest jeszcze szczęściem!...

Odblask łuny zamigotał na jej twarzy, lecz nie dała się wykoleić i błagała go jeszcze:

— Panie!... Mój najdroższy! Pan nie pojedzie, nie zabije mnie, swej żony...!! ,

Całe istnienie jej napięte było najgorętszą prośbą i wnikało we wszystkie szczeliny jego duszy, trzymało go w kleszczach, oplatało włóknami rozdrganego serca i było w nim całe.

Podbity i zafascynowany jej tak bliską obecnością, wyrzekł słabo:

— Lękam się, najdroższa moja panno Sabino, by nie zabić pani słowem!...

— Pan nie uczynił nic złego! Każdy inny, ale nie pan!

— A jednak ja, właśnie ja jeden dopuściłem się względem pani czegoś haniebnego... Czy po tem, co

mówiliśmy, pani nie domyśla się...? — dorzucił bez tchu.

Dziewczyna odwróciła twarz, zbierała rozstrzępione myśli. Nie trwało to długo, a ręce jej zadrżały. Podniosła je, przycisnęła dłonie do lic i wyszeptała upiornie, cichuteńko, bardzo dziwne w ustach kochającej do ukochanego słowa:

— Jak... pan się nazywa?...

Raz jeszcze twarz jego powlokła się śmiertelną bladością, i odmalował się na niej dramat.

Nadszedł moment osobliwy, pokutniczy, tragiczny. Juljan zaczerpnął w pierś powietrza i jednocześnie z duszy zaczerpnął tyle żołnierskiej odwagi, ile byłoby mu potrzeba do skoku ze skały w przepaść. I z marmurowem czołem wyrzekł zcicha, lecz dobitnie, niby zrezygnowany skazaniec:

— Zawoja... Juljan Zawoja.

Spadły mu z duszy centnary, lecz zatrzymało się w nim serce. Zdawało mu się, że otwiera się u nóg jego otchłań i za sekundę runie tysiące sążni w czerń, jakby szatan do piekieł strącony. Oczekiwał wyroku — wyroku swej śmierci.

„Zawoja... Zawoja...“ grało, szumiało jak las w głowie bladej dziewczyny, krążyło w niej wkółko bez końca.

„To była ta przeszkoda“ — wyszeptała sobie w duszy i uświadomiła sobie nagłą metamorfozę. Miasto hrabiego Zawiejskiego stał przed nią pan Zawoja.

Przeszedł ją dreszcz bólu i wstydu.

Pierwsze jej słowa do tego pana brzmiały niemal surowo:

— Dlaczego pan to uczynił?...

— Aby wejść w jej koła, w jej sferę, niegorszy pod żadnym względem od innych, aby zbliżyć się do pani. Słowem, z miłości, która opętała mnie i poniosła jak szał...

Ona nic na to nie odrzekła. Ze splecionemi kurczowo rączkami zapatrzyła się w ziemię, głęboko zawstydzona za niego. Potem żywo podniosła nań wnikliwe, inkwizytorskie spojrzenie, a on, napozór zimny, rozumiał, iż w tej chwili ważą się na szali jego życie i śmierć. Uchwycił mocno dłonią poręcz rozwartych drzwiczek samochodu, gotów za minutę wskoczyć do niego i zawołać na szofera: Allons!...

Długo trwało, nim spadł z jej warg szept, w którym było księżycową poświatą oblane zdumienie:

— Pan jednak jest ten sam...

Zaświtało przed nim coś jakby nadzieja.

— Pan jest ten sam, co dotąd... — powtórzyła głośniej i ciągnęła w skupieniu: — Gdy widziałam pana po raz pierwszy, już wtedy czułam, że poczynam pana kochać, że mogłabym pana kochać nadewszystko... A nie znałam pańskiego nazwiska. Było mi to dość obojętne. Pan był bez nazwiska... tym, który jest mojem przeznaczeniem.

— Ach! I pani zaprawdę jest mem przeznaczeniem... Przez nią miałem wznieść się do pięknego życia nato, by, przeszedłszy teraz przez gehennę, posłyszeć z ust pani, czy godzien jestem rzeczywiście żyć, czy mam skończyć...

Wsłuchiwała się i wpatrywała weń, jakby chcąc się upewnić, że on nie zmienił się ani na jotę. Nie zmienił

się; miał ten sam swoisty czar w kasztanowych, romantycznych oczach, te same róże, takie gorące, na ustach, tę samą rycerskość na rysach twarzy, tak dziwnie przeczącą jego rewelacji. I on miałby umrzeć, ten jej rycerz jedyny, ukochany?!....

— Pan chciał odebrać sobie życie!! Jak?...

— Byłbym na rozpędzonym wozie zrzucił się z gór w przepaść.

— Boże! I to dlatego, że...?

— Że nie chcę, nie mogę bez pani żyć...

— Boże mój! I to z powodu mnie...! Przeczułam coś bardzo złego, więc nie mogłam za nic dopuścić, by pan tak odjeżdżał...

— Przeczuła pani i przyszła jak anioł opiekuńczy albo raczej jak najśliczniejsze na świecie kochanie, by mnie ratować, wydrzeć ostatniej rozpaczy... — załkało serce jego emfatycznie.

— Więc teraz pan i jego życie do mnie należą! — zawołała rozpromieniona.

— Ale czy pani mi to przebacza?...

— Jakżeż ja nie mam panu tego przebaczyć... — odparła słodko — jeżeli pan uczynił to z takiej miłości dla mnie?...

— Anielska moja, święta!... — wyrzucił, a złociste spojrzenie upewniło go, że mu przebaczono.—Jednakże...

— Rozumiem... — począł z westchnieniem — że pani nie może wyjść zamąż za rotmistrza Zawoję, człowieka niskiego pochodzenia. Niechaj pani mi to powie śmiało! Ja to pojmuję i... przysięgam pani, że ani cień nie padnie na nią w mych oczach... Za pani przyczyną dostałem się do raju, a przez świetną, cudotwórczą pani

miłość raj na ziemi zmienił się w niebo... Zaprawdę, otrzymałem od niej taki bezmiar, takie słońce niepojętej radości, że... mogę tylko całować tę ziemię, po której pani stąpa, i błogosławić panią z całej duszy...

Ona rozkwitała w oczach, bo serce jej wzbierało po brzegi wdzięcznością za tę w gwiazdy wyniesioną miłość, jaką koronował ją ten czarodziej.

— Czy pan przypuszcza naprawdę, że ja mogłabym bez pana istnieć?... Mówiłam, że pan jest ten sam, którego nie mogę nie kochać, ten sam świetny, podziwiany mój rycerz i mąż...

— Chryste Panie!! Panno Sabino! — wyrzucił, jakby miał paść na ziemię przeszyty promieniami słońca. — To niemożliwe! Anioły nie chodzą po ziemi!

— Ależ ja nie jestem aniołem!

— Kocha pani jak serce anielskie, oderwane od ziemi, niezbrukane przez świat.

— Wcale nie oderwane od ziemi.

— Nigdy jeszcze tak jak pani nie kochała żadna hrabianka!

— Nie wiem. Kocham tak, jak kocha kobieta, która... rzeczywiście kocha... I jak ja nie mam pana tak kochać, jeżeli wiem, że nigdy nikt na świecie tak jak pan kochać mnie nie zdoła i nie będzie... jeżeli od pierwszej chwili widzę w panu wybranego przez me serce męża, jeżeli pan w mych oczach jest tak doskonałym, świetnym, jeżeli czuję, że do niego należę, jako jego dziecko i jako jego żona...

— I pani wyszłaby za rotmistrza Zawoję?!

— Pan wątpi?! Ten rotmistrz Zawoja ma zresztą

na piersi krzyż Virtuti Militari i ma piękną przed sobą przyszłość....

— Więc... panno Sabino, to my mamy być razem tak nadwyraz szczęśliwi!?...

— Ależ tak, tak!! — zadzwonił jak na wesele głos dziewczyny.

Jeżeli nie oszalał, nie porwał jej w ramiona, to jedynie dlatego, że był świetnie życiowo wyszkolonem stworzeniem, co zawsze, choćby nie uświadamiając sobie tego wcale, przystosowuje się do warunków chwili i liczy z otoczeniem automatycznie.

Nie wykradł jej, nie zawiózł do gaju pod wachlarze palm, lecz wnet oprzytomniał. Ręce ich splotły się, oczy i serca przytuliły do siebie w niemal bolesnym paroksyzmie miłosnym, tak mocnym, jak przysięga. Ogromne dowody miłości, jakie złożyli sobie wzajemnie, opasały ich żelazną obręczą tak, że nikt, nawet Herkules, nie byłby rozkuł ich żadnym młotem.

Ręce te nie chciały się rozpleść, lecz Sabinka uprzytomniła sobie, że jeśli nikt inny, to ów szofer, cierpliwie siedzący przez cały ten czas w samochodzie, a zapewne wściekły, że ani słowa z ich rozmowy nie rozumie, zerka okiem wstecz na nich.

— To ja teraz pójdę do mamy, dobrze?... Pan ze mną? — wyśpiewała słodko.

— Panno Sabino najdroższa, ja nie mógłbym teraz jeszcze spojrzeć mamie pani w oczy... Sądzę, że najpierw pani... Skoro uda się przełamać pierwsze lody...

— Rzeczywiście, ja muszę wpierw sama...

— Ale mama pani nigdy nie zezwoli!

— Kto wie?

— Pani sądzi, że...

— Mam nadzieję. Pan mamie tak ogromnie imponuje i tak bardzo się jej podoba... A to, co zaopinjował o panu książę Władysław, i na mnie zrobiło wielkie wrażenie. Gdy mi mama to powtórzyła, ucieszyłam się nadwyraz.

— Jednak bardzo trudne ma pani zadanie. Ja zaś z początku nic nie poradzę.

— A co ja powiem mamie o pańskich rodzicach?

— Że gospodarują doskonale na 200 morgach podolskiej ziemi, a uczciwą pracą całego życia zebrali sobie może większy, niż przypuszczam, majątek. Mają trzy córki: dwie starsze ode mnie, zamężne, i trzecią w wieku pani, studentkę, wręcz czarującą dziewczynkę. Zacni i dzielni to ludzie. Niechby w Polsce tacy rodzili się pod każdą wierzbą.

Tak mówiąc, Juljan przypuszczał, że te „200 morgów" zabrzmi dysonansem w uszach hrabianki, w której rodzinie ludzie posiadali tyleż włók i więcej. Wszelako, ile Zawojowie mieli ziemi, było obojętne tej niesamowitej dziewczynie. Natomiast zachwycona była rzetelnem jego słowem uznania dla rodziców.

— Opowie mi pan o rodzicach i siostrach jutro.

— Pani to szczere złoto! — nie mógł nie wybuchnąć. — Ale nie czas teraz zachwycać się panią... Mama to jedna forteca do zdobycia. A ojciec pani?

— Ojciec w takich sprawach polega na zdaniu mamy. Od tego zależy, jak ona mu to przedstawi.

— Narazie o to chodzi, by mama pani zechciała mnie dopuścić przed swe oblicze.

— To ja potrafię u niej wyjednać. A potem pan z moją pomocą dokona reszty.

— A gdyby nam się nie powiodło...? — bąknął, lubo pełen ufności, Juljan z ciekawości, co ona odpowie.

— Mama musi się zgodzić! Zdobędziemy ją.

— A gdyby jednak...

— Tego nie mogę sobie pomyśleć... Byłoby to bardzo przykre... ale ja do pana należę raz na zawsze. Pan jest jedyny.

— A pani jedynym na świecie aniołem... — wyszeptał głęboko wzruszony.

Odpłynęła z czarownym uśmiechem. Lecz Juljan dogonił ją w klatce schodowej.

— Panno Sabino, mama pani będzie oczywiście ciskała na moją głowę pioruny. To zrozumiałe. Zmiesza mnie ona z błotem, aby panią oderwać ode mnie. Odmaluje mój obraz w kolorach odpychających... Na to wszystko może pani odrzec mamie: „on się tego nie zapiera i nie uniewinnia się nawet, nie tłumaczy miłością, ale uderzył się w piersi i za ten grzech przeciwko mnie, a zwłaszcza przeciwko sobie samemu, byłby zapłacił życiem... A odpokutował za to stokrotnie, bo, jeśli człowiek, co tak kochał życie, odwrócił się od niego z najwyższą odrazą, to przeszedł przedtem przez piekło bólu, mąk i katuszy, dla innych ludzi niepojętych...“ Pytam się pani, panno Sabino, czy nie zasługuję na zupełną absolucję?... Czy to zło, to szaleństwo, które mnie natchnęło do brzydkiej lekkomyślności, nie przetrawiło się we mnie i nie przeobraziło w słońcu miłości dla pani w coś pięknego...? Tak, panno

Sabino. Ja w tej chwili nie czuję się już grzesznikiem, człowiekiem niehonorowym. Czysty jestem na duszy i dumny... I zaprawdę, Juljan Zawoja czuje się godnym... nawet takiego anioła jak pani...

Sabinka brała w siebie każde jego słowo, a gdy skończył mówić, zawołała w zachwycie:

— Och, ja pana kocham takim dumnym!... Dobrze, że mi pan na to wszystko otworzył oczy. Przebaczyłam panu z całego serca, a nie wiedziałam, że ja nie mam panu nic do przebaczenia...Czułam tylko, że pan jest godny... największego uczucia. I...

Wzruszona, pochwyciła jego rękę i dodała, wpatrzona w niego jak w święty obraz:

— ...Mnie wydaje się, że ja teraz kocham pana i za to jeszcze, że pan to uczynił... Za ten grzech... Dobrze, że mi pan to wszystko powiedział. Podniosło mnie to na duchu, i teraz pójdę do mamy bez obaw i drżenia... Teraz nie wiem, czy jestem godna takiego jak pan człowieka...

— Och, niech pani tego nie mówi...

— Nie wiem, bo pan jest takim, jak ja wcale nie umiałabym sobie pomyśleć...

Wyanielona cudownem uczuciem, blada, przemęczona tą sceną, pożegnała go spojrzeniem uwielbienia.

— Uwiadomię pana o mamie jak najprędzej się da, aby pan się nie frasował.

XX.

Nie mogąc doczekać się powrotu Sabinki, hrabina zeszła do westybulu i nieznacznie wyjrzała na ganek

i podjazd. Gdy ujrzała córkę z Zawiejskim, afiszującą się w oczach hotelu, pożałowała, że wygadała się niebacznie, o której godzinie zamierza on wyjechać, a potem udzieliła jej placet na tę rozmowę.

Stało się to z dwu przyczyn.

Dla ratowania autorytetu matczynego, albo raczej jego pozorów; z całego bowiem wzięcia Sabinki wyniosła wrażenie, że powzięła ona determinację zobaczenia się z Zawiejskim bądź jak bądź. A powtóre, paliła ją ciekawość, co za sekret więzi tajemniczy ten człowiek w zanadrzu.

Nareszcie pod pociskami jej źrenic stanęła Sabinka. Chwiejąc się w biodrach, rzuciła się w wysoki fotel, tak znużona, jakby po ciężkiej pracy fizycznej. Z głową wspartą na rzeźbionem wezgłowiu wyrzuciła:

— Mamo! uratowałyśmy mu życie!

— Mów Sabinko.

Oszołomiona dziewczyna, jeszcze pod wrażeniem sceny z Juljanem i wyniesiona ponad troskę chwili, spoczywała bez ruchu, bez słowa. Wreszcie poczęła mętnie opowiadać, jak on zamierzał odebrać sobie życie, jak tragicznie byłby skończył, gdyby nie interwencja niemal w ostatniej chwili. Lwią część zasługi przypisywała Sabinka matce, która wszakże nie była tem ujęta. Domagała się ujawnienia sekretu. A córka krążyła wokoło tego bez końca, zapewniając, że nigdy ona, ani wogóle nikt nie byłby odgadł tajemnicy, ale nie mogła wykrztusić prawdy, zdjąć zasłony z sekretu. Gdy zniecierpliwiona hrabina zażądała wyjaśnienia podniesionym głosem, Sabinka powtórzyła to, co zalecił jej wkońcu Juljan, uniewinniała go zgóry i, kładąc nacisk

na jego miłość, przygotowywała matkę na wysłuchanie odkrycia tak, by szaleństwo jego wydało się jak najmniej skandalicznem i oburzającem. Zdawało się jej, że zdobywa się na nadzwyczajną swadę adwokacką, i matka będzie ostatecznie musiała przyjść do takiego samego zdania, jak ona sama.

Tymczasem od chwili, gdy dowiedziała się, że pod firmą hrabiego Zawiejskiego ukrywa się pan Zawoja, człowiek niskiego pochodzenia, hrabina zaniemówiła. Raz jeszcze Sabinka rekapitulowała wszystko, co umiała powiedzieć na obronę ukochanego, lecz napotkała na skałę.

Nie wysłuchawszy jej filipiki, hrabina bąknęła:

— Śliczna historja... Przypomina to kryminalne romanse. Niewiele brakowało, a byłybyśmy dostały się w ręce szarlatana. Bóg strzegł.

— Ależ mamo! — zerwała się, jak lwica, dziewczyna i zalała matkę potokiem argumentów na jego obronę. Uprzytomniała jej, kim on był w czasie sezonu, jakie zdania wygłaszała o nim, zgodnie z chórem pochwał, sama hrabina Morecka. Aż wreszcie, przechodząc do innej metody, przyklękła przed matką i, przytulając twarz do jej kolan przymilnie, wyśpiewała błagalnie:

— Niechaj mama pośle po niego! Najdroższa mamo!.... O to jedno proszę i błagam!

— Co? Miałabym jeszcze wdawać się z takim człowiekiem w rozprawę?... Nie mam na to zdrowia. To byłoby poniżej mej godności... Idź i połóż się spać zaraz. Wyglądasz zmęczona, rozgorączkowana. Głowa ci płonie.

Sabinka podniosła się. Ogarnął ją smutek wobec odkrycia, że nigdy między nią a matką nie było istotnego zrozumienia, ni przyjaźni. Nie widziała ona ani wczorajszego hrabiego Zawiejskiego, dla którego miała tak wielkie względy, ani córki, tak mocno do niego przykutej, lecz tylko chłopa Zawoję, którego skandaliczne eksperymenty mistyfikacyjne zasługiwały na grad kamieni. Sabinka miała wrażenie, że ujrzała matkę w nowem świetle, jakby po raz pierwszy w życiu. Nie mogła jej poznać. A uczucie to spotęgowało się jeszcze, gdy hrabina rzekła tonem, jakim nigdy dotąd nie odzywała się do niej:

— Rozumie się samo przez się, że stosunek twój nieszczęsny do tego człowieka... do byłego hrabiego Zawiejskiego kończy się raz na zawsze... Wymagam, abyś zerwała z nim wszystkie, wszystkie nici...

Duże, piękne oczy hrabiny spoczęły na twarzy dziewczyny z wielkim znakiem zapytania. A Sabinka, westchnąwszy głęboko, odparła zcicha:

— Nie mogę mamie nic przyrzekać...

Hrabina cisnęła jej złe wejrzenie i pobladła z gniewu.

— Idź spać!

— Wpierw zaniosę Kaziowi owoców na dobranoc— odrzekła blada dziewczyna zimno i wyszła.

Tymczasem Juljan oczekiwał wieści z drugiego piętra, spodziewając się, że ta niesamowita dziewczyna, która potrafiła wyjąć z głębin jego duszy tajemnicę, jakiej nie byłby wydarł mu z piersi „sam Bóg“, zdoła przeprowadzić u matki wszystko. Posiadała przecież swoistą, cudotwórczą metodę.

Stał się przez nią — cud.

Przyszła do niego z prostotą i szczerością anioła i przyniosła mu swe całe, obnażone serce na dłoni, mówiąc: to twoje...

Zaiste przed takim majestatem miłości musiałby się kajać w prochu, gdyby nawet był bandytą. I nic dziwnego, że pod mistycznym wpływem i urokiem tej świetlanej istoty przeobraził się tak doniepoznania.

A teraz w ogniu miłości i czyśćcu pokuty odrodzony, wstępuje w nowe życie, w które wejść musi i wchodzi nowym człowiekiem. Dawniej żył dla siebie, następnie dla zdobycia jej, a odtąd poczyna żyć dla niej, tak, aby nigdy nie pożałowała, że nie została księżną. Nie jedyną z pewnością, lecz jednak największą jego w życiu ambicją będzie, by pani Juljanowa była najszczęśliwszą na świecie kobietą. A zatem niedość nosić ją na rękach i fiołki słać u jej stóp, lecz zapominać nie wolno, iż wprawdzie hr. Zawiejski mógłby być zupełnem zerem, niedołęgą i nicponiem, ale Zawoja musi być koniecznie bardzo wybitną cyfrą.

Jasno zdało mu się na świecie, niby w ranek majowy. Matka jej? Może sprawa pójdzie jak po grudzie, jednakże wszystkie przeciwności rozbić się muszą o skałę ich miłości.

W swym optymizmie Juljan oczekiwał wezwania od hrabiny i począł się ubierać, jak zwykle wieczorem, myśląc, że teraz od pierwszego momentu hrabina będzie dopatrywać się w nim chama. I, lubo z trudnością, znajdzie go, bo skoro kto bardzo mocno chce, odkryje coś z chłopa nawet w księciu najczystszej krwi niebieskiej. Lecz z wyniku obserwacji hrabiny

śmiał się zgóry serdecznie, niby chłopak, co wypłatał komuś świetny figiel.

Nie było jednak wieści z drugiego piętra. Dochodziło pół do dziesiątej. Juljan począł się trochę niepokoić, gdy wpadł do niego Kazio — w charakterze gońca miłosnego.

— Siostra przysyła panu tę różyczkę i kilka słów od siebie. Przyniosła mi owoców i nagryzmoliła to szybko — rzekł, podając mu ponsowy pączek róży i ćwiartkę papieru, na której Juljan czytał: „Nie mogę jeszcze nic powiedzieć. Ale niech pan będzie dobrej myśli i śni o swej S.“.

„Źle“ — pomyślał Juljan, lecz nie mogło to wcale zamącić pogodnego jego nastroju. Pragnął dowiedzieć się od Kazia czegośkolwiek o przebiegu sceny między Sabinką a matką, ale chłopiec nie wiedział nic nad to, co powiedziała mu siostra, a więc tyle, co nic. Nie mając w pokoju dość świeżych i pięknych kwiatów, Juljan zeszedł z Kaziem do kwiaciarni w westybulu i wręczył mu dla Sabinki wiązankę najpiękniejszych róż, mówiąc:

— Proszę powiedzieć siostrze, że myślę o niej piękniej, niż przypuszcza, i mam nadzieję, że jutro jej to wszystko powiem.

W tej chwili, odwróciwszy się, ujrzał w pośrodku hall'u panią Egerton w przewspaniałem, sobolami lamowanem „sortie de bal“. Z włosów jej wysoko uhełmionych i uszu strzelały ognie brylantowe, a na trzewikach płonęły guzy rubinowe.

Zrekognoskowała twarz jego przenikliwem spojrze-

niem i, podając mu rękę, ozwała się w nerwowem podnieceniu:

— Wszystko dobrze?... List pański zaniepokoił mnie; wyczytałam między jego wierszami, że hrabia jest... strasznie rozbity. Tak mi się zdawało. Porzuciłam na moment gości. Czy hrabia może poświęcić mi dziesięć minut?...

Skryli się w zakątek westybulu, gdzie zasiedli przy stole, zarzuconym dziennikami.

— Istotnie wszystko dobrze?... To mnie cieszy... — kłamała z całą swobodą wielkiej damy. — Może jestem pierwszą osobą, która hrabiemu składa powinszowania i życzenia. Bardzo jestem szczęśliwa...

Ujął jej rękę i pocałował. A ona, niezwykłem takiem w Albionie podziękowaniem, nietyle ujęta, ile rozstrojona docna, zmieszała się ogromnie, i ręka jej drżała literalnie, jak w febrze.

— Ona pana bardzo kocha?...

— Bardzo.

— To pańskie dzieło. Pan potrafiłby z każdej młodej kobiety wykrzesać, wydobyć najaw wszystko, co w niej jest miłością, i zapalić... Pan — mam powiedzieć, co myślę?... jest urodzonym amantem.

— Co pani przez to rozumie?

— Chociaż widujemy zwykle mniej lub więcej bladą i bardzo nudną parodję miłości, istnieje jeszcze może na świecie dość wielu ludzi, zdolnych do wielkiej, romantycznej miłości. Lecz gdzież są tacy, co potrafiliby tę swoją miłość uzewnętrznić pięknie? Dać jej godny wyraz w spojrzeniu, słowie i czynie?... Przeobrazić się w kawalera XVIII wieku?... Pięknie ko-

chać — to nic, dać miłości piękny wyraz — to dopiero sztuka... Urodzony i skończenie doskonały kochanek łączy w sobie jedno z drugiem.

— Ale, jeśli nawet urodzony kochanek napotyka niebanalną, prawdziwą miłość, to nie jego zasługa, lecz szczęśliwy traf. Don Juanowi zdarzyło się to tylko raz w życiu. Prawdziwej wielkiej miłości nie zdobywa się — dostaje się ją darmo.

— A co pan hrabia nazywa prawdziwą i nieprawdziwą miłością?

— Nieprawdziwa, przyziemna, tuzinkowa miłość zamyka się cała w dziedzinie zmysłów, prawdziwa wychodzi z niej ku szczytom uczuć i mieszka tam w swym ogrodzie.

— A gdy wkracza w etery myśli, wzbija się do gwiazd — dorzuciła pani Cyntja, a on ciągnął:

— Wielokrotnie, w obliczu niebotycznej miłości, słyszymy wykrzyknik zdziwienia: „Jak ona może kochać takiego niegodnego człowieka“. Jakgdyby dynamika miłości była uwarunkowana tylko jej przedmiotem... Tymczasem ona kocha, nie dlatego, że on jest taki lub owaki, lecz poprostu dlatego, że nosi w piersiach ogromną potrzebę ukochania, że ma ofiarne serce, z którem nie wiedziałaby, co począć, i które oddaje się bezwzględnie. Dlatego Tytanja mogła kochać osła, dlatego nieraz niegodnemu osobnikowi, błaznowi, dostają się skarby uczuć... Godnym zaś wielkiej miłości jest zaiste nie ten, kto godnym wydaje się lub wydawać może galerji widzów, lecz wyłącznie ten, kto... umie to piękne uczucie uszanować. Osioł Tytanji nie z tego powodu był jej niegodny, że był osłem. Nie.

Jedynie dlatego, że nie potrafił wcale ocenić ani jej, ani jej miłości. Nato zaś nie potrzeba być wcale osłem. Takiemi osłami jest bardzo wielu mądrych ludzi.

Pani Cyntja rozumiała, że na dnie jego słów tętni uwielbienie dla Sabinki i, lubo zwykle tak pohopna do roztrząsania zagadnień, odwróciła rozmowę na co innego. Zabolało ją bowiem, że on sławi tę swoją polską dziewczynę, której nie mogła nie zazdrościć.

Oznajmiła, że wyjeżdża za dwa dni, pytała, dokąd on uda się z Cannes, czy nie pojawi się w Anglji, lecz ani razu nie wzmiankowała o hrabiance.

— Gdyby pan miał kiedy odczuć potrzebę przyjaznej duszy, zawsze znajdzie ją pan u mnie... — mówiła, muskając pasmami szklistych oczu jego twarz zadumaną.

— Niech mi pan spojrzy w oczy. Pragnę wiedzieć z pewnością, czy pan jest szczęśliwy — wyrzekła, życząc przyjacielowi, aby nie był całkiem szczęśliwy. A on odparł poważnie:

— To był dziś największy i najcudniejszy dzień mego życia...

Pani Cyntja umilkła smutna, wtopiona w jego źrenice. Nozdrza jej rozdęły się, po starannie upiększonych licach przeleciała błyskawica i — zerwała się.

— Muszę wracać do gości, wśród których niema mego najlepszego przyjaciela.

Za to słowo Juljan znów przycisnął do ust jej rękę, która potem uczepiła się jego ręki na moment niemal kurczowo.

Odprowadził ją do samochodu. W chwili, gdy pomagał jej wsiąść, odwróciła się do niego i spojrzała mu

w twarz tak, jakby chcąc napić się jej widokiem na bardzo długo.

— Czy pan istotnie czuje, że, jak pan to pisał, my nigdy nie rozstaniemy się tak zupełnie?...

— Mam przekonanie, droga przyjaciółko, że zabieramy sobie coś z dusz naszych wzajemnie.

— Och, jak jestem szczęśliwa, że pan tak sądzi i czuje... Dziękuję...

Wsiadła do samochodu i jeszcze raz uścisnęła jego rękę.

— Niech pan będzie szczęśliwy... Pan jest wart całego szczęścia...

Samochód popędził. W ciemnej jego głębi dama darła koronkową chusteczkę na szmaty. Jadąc do hotelu, miała nadzieję wbrew nadziei...

Późno w życiu zrobiła odkrycie, że los dał jej wszystko, okrom szczęścia. Za jedną chociażby dobę zupełnej jego miłości byłaby w tej chwili oddała wszystkie swe pałace i skarby, a nazajutrz wyszła w najgorszej sukni w niepewne jutro bez grosza — z tem złotem uczuciem zadowolenia, że była kochaną przez ukochanego człowieka.

Lękała się swej przyszłości i, z obawą i wstrętem dla siebie, myślala o najbliższej nocy bezsennej, pełnej obrazów i koszmarów miłosnych. Tarzając się na łóżku, sięgnie nie po weronal, lecz po... szampana.

Doleje do szklanki duży kieliszek konjaku, będzie pić i myśleć do rana o nim, upajać się złudą, oplatać ramionami marzenia, gonić miraże.

A nazajutrz?... To straszne. Trzeba będzie usunąć puste butelki niepostrzeżenie przed argusowemi oczy-

ma służby. Czekać ją będzie zadanie niełatwe, a poniżające we własnem wyobrażeniu. Pod pozorem, że wypada jej wstąpić z naszyjnikiem do jubilera, włoży w dużą, za dużą torbę ukradkiem butelki i wstąpi do sklepu jubilerskiego, by szofer mógł rozwiać ewentualne podejrzenia panny służącej, następnie pojedzie na spacer aż hen do St. Juan, gdzie, chodząc po lesie, porzuci kompromitujące butelki — z gorącym rumieńcem wstydu.

Wkraczała w wiek niebezpieczny, w którym pokutuje się za niepopełnione szaleństwa, w którym, jak przed zapadnięciem nocy, wyjaskrawia się świat żądz. Cóż ona pocznie?... W Londynie zaprosi owego młodego oficera, który tak przymilnie zerka na jej majątek, i kupi sobie męża, chociaż będzie to tylko rozpusta a nie miłość, tylko rozkosz, a nie szczęście.

Wizja czarodzieja zjawiać się jej będzie i wówczas, gdy będzie pożądana, przy biurku, wśród kwiatów i myśli wonnych, literackich, i wówczas, gdy będzie niepożądana... Oni nie rozstaną się, nie rozbratają. Wyrwać pamięć o nim z dna serca znaczyłoby to zamknąć oczy na to, co spotkała na ziemi ze słońca.

XXI

W oczekiwaniu wezwania do hrabiny, lub chociaż wieści od Sabinki, Juljan przez cały dzień nie wyszedł z domu. A tak trzeba mu było konia, jakiegokolwiek ruchu, że gimnastykował się w pokoju. Manewrował krzesłami, chodził na rękach i przypominał sobie akrobatyczne figle z czasów szkolnych. Niby

starożytny Grek, żywił kult ciała; pominąwszy względy zdrowotne, poczytywał to za konieczną przeciwwagę umysłu. Ale poczucie estetyczne, umiłowanie piękna i troskliwość o urodę grały w tem największą rolę.

Potem wyładował coś z nieopuszczającej go wesołości w sążnisty list do Rajewskiego. Ofiarował mu tytułem pożyczki sumę, przekazaną na bank, wyrażając nadzieję, że wkrótce pożegna „boską“ Rywjerę, nie w towarzystwie Żanety z felerem, jakich niema potrzeby importowania do kraju, lecz z panią Wojkowską, pokonaną przez wytrwałość. Zalecił mu metodę, zastosowaną przez jednego ze znajomych, który oświadczył się aż 24 razy, nim przedmiot jego gorącego afektu, znudzony oświadczynami, uznał w nim dobry materjał na męża i wyrzekł wielkie słowa: „Jeśli pan tak pragnie, to niechaj mnie pan utrzymuje przyzwoicie, bardzo przyzwoicie do... naszego rozwodu“. Przytem Juljan przestrzegał Fajfra, by nie uważał małżeństwa z panią Ellą za dożywotnią synekurę lub łaskawy chleb. Odezwał się w nim dawny wróg małżeństwa i, wyobrażając sobie żywo związek z tego typu kobietą, co pani Wojkowska, pouczał Adzia, że „żona to utrzymanka, która nie poczuwa się do powinności udawania miłości, zwłaszcza, jeśli sama się utrzymuje“.

Wypisując takie rady, aforyzmy i androny, Juljan strzelał często okiem, stęsknionem za widokiem przyszłej swej żony, w ogród, spodziewając się, że, skoro tylko się da, Sabinka zejdzie tam i pośle mu spojrze-

nie, ozłacające jego samotność. Ale nie ukazała się. Czyż, u licha, uwięziono ją?...

W rzeczy samej samotność nie ciążyła mu tak bardzo. Po tragicznych przejściach nastąpiła reakcja i opanował go pogodny, wiośniany nastrój. Miał przytem wrażenie, jakby ona istniała w powietrzu, którem oddychał, i wkrótce zmaterjalizowana miała pojawić się przed nim.

Siedząc nad francuskiem dziełem o koniach, rozmyślał nad ich wspólną przyszłością, budował ją od strony materjalnej. Przedewszystkiem wypadło mu skierować i wytężać zabiegi na to, by Sabince nie zabrakło nigdy, jak u rodziców, ptasiego mleka. Ale spozierał w jutro z ufnością. Owe Pomiarowice dadzą mu solidną podstawę życiową, jakiej mu nie dostawało dotychczas. Zapachniała mu ta sandomierska ziemia; czuł, że przylgnie do niej, jak chłop do swej skiby. Prężyło się w nim pragnienie czynu. Przenosił bowiem już swe ambicje, obracające się dotąd wyłącznie między salonem a stajnią, na pole gospodarcze i pragnął pójść z życiem w zawody. Znał on je nawskroś i nie lękał się go wcale, ani jego codziennych kolców, ani zdradzieckich wilczych dołów.

Jedno tylko zatrwożyło go: karty... Zdawał sobie sprawę z tego, że nasiąkł tą namiętnością, niby trucizną, którą wykorzenić jest tak trudno, jak alkohol. Jednak miał zawsze sport i różne intelektualne zainteresowania, które odrywały go od zielonych stolików, a w przyszłości będą go czekać zajęcia, pochłaniające go całkowicie. Zresztą, mimo wszystko, karty nie były dominującą jego namiętnością, lecz był to

raczej wkorzeniony nałóg lekkoducha, podtrzymywany przez potrzebę, sukcesy oraz klubowy tryb życia. Ponad karty stawiał zawsze sport, a ponad wszystkiem — kobietę. Hołdując zaś jej, szukał w niej podświadomie takiej Sabinki — miłości, w której mógłby szaleć, rozwichrzyć swe moce i pragnienia i wspinać się na szczyty po szarotkę najwyższego szczęścia, jakie mógł sobie pomyśleć. Pani Egerton miała rację: był urodzonym amantem. Dlatego od kart odwiedzie go kobieta, i przestanie być szulerem — „dla niej“.

Dopóki nic nie miał, mógł ryzykować, poprzez karty zdobywać fortunę, lecz, mając ją w ręku, byłby w ciemię bity, gdyby ryzykował i dobijał się wygranej, która dla zamożnego człowieka nie przedstawiałaby bodaj znaczenia. Musiał zreformować się w tym duchu, a nadto zerwać z luksusowemi nawyknieniami, wrócić poniekąd do żołnierskiej prostoty — dla niej. Lecz czegóż on nie zrobi z siebie, czego nie dokona w życiu pod magicznem tem zaklęciem „dla niej“...?

Wśród takich rozmyślań zastał go wieczór. Jak poprzedniego dnia, dopiero po dziewiątej Kazio uradował go swem przybyciem.

— Dzisiaj mogę pozostać u pana dłużej. Mama już się położyła — począł miły chłopiec, przypominający Juljanowi siostrę. Chociaż grubokostny i mniej rasowy, włosy miał takie, jak ona, nozdrza tak samo wykrojone, zmysłowe, i podobne spojrzenie.

— Jutro czy pojutrze wyjeżdżamy — oznajmił.

— Co się stało?!

— Rano mama kazała Sabince leżeć do południa,

a sama wyszła, mówiąc, że powróci wkrótce. A zjawiła się dopiero po dwóch godzinach. Gdzie była — nie zdradziła się. Sabinka przypuszcza, że u księcia Władysława. Wróciwszy, kazała nam się pakować. Telefonowała po panią Kromiczową, która ma jechać z nami.

— Dokąd?

— Do jakiegoś San Salvadour wpobliżu Hyères, stąd o godzinę drogi. Tam spędzimy święta i pozostaniemy do końca miesiąca, lub dłużej. Po śniadaniu mama długo pisała do ojca i poleciła Sabince, by ze swej strony pisała do ojca z prośbą, by przyjechał tam do owego San Salvadour jak najprędzej. (Na święta już nie zdąży.) Zamiast poprzestać na tej prośbie, jak chciała mama, Sabinka zapisała trzy arkusze papieru tak, że nie można było zmieścić tych ćwiartek w jedną kopertę. Więc Sabinka wysłała swój list osobno. Do pana nie mogła napisać, bo pilnuje jej pani Kromiczowa. Ale prosi bardzo, aby pan był łaskaw donieść, co zamierza, dokąd pan się uda, i zapytuje, czy nie pojedzie pan do Hyères.

To zdawało się celowe. Zasięgnąwszy języka w portjerni o tej miejscowości i o San Salvadour, Juljan napisał Sabince, że za trzy dni pan Zawoja zamieszka tam w hotelu Wielkiej Brytanji, a tymczasem postanowił poprosić hrabinę listownie o posłuchanie. Zaczem począł wypytywać Kazia o hrabiego Moreckiego.

Zdawało się, że zimny, zamknięty w sobie, mrukliwy ten człowiek jedynie dla Sabinki żywił pewne względy. Od czasu, gdy była w domu, pojawiał się w pokojach wielkowyskich częściej. Zwykle bowiem

świecił tam nieobecnością, chociaż poza majątek swój wyjeżdżał tylko rzadko, a zagranicę nie można było go wyciągnąć. Gdy w roku zeszłym hrabina pojechała z córką do Paryża i do Biaritz, hrabia Erazm również nie towarzyszył im. Zajęty bardzo gospodarstwem i różnemi interesami, nocował często na folwarku lub w leśniczówce. Polowanie zdało się być jedyną jego przyjemnością.

Mówił jedynie o sprawach gospodarczych, o mączkarni, młynie, urodzajach lub kwestjach finansowych. Hrabia i domownicy zdziwili się przeto, że, odkąd Sabinkę uważał za dorosłą, dyskutował z nią chętnie o przeczytanych przez nią powieściach, wytaczał zagadnienia, czy bohaterka powieści postąpiła sobie rozumnie i szlachetnie, czy nie. Ponieważ rozmowy te dotykały spraw erotycznych, rozwodowych i tym podobnych, hrabina była im bardzo przeciwna. Poczytywała to za błędną, gorszącą metodę pedagogiczną. Ale Sabinka polubiła takie rozmowy z ojcem, więc wychodzili razem do ogrodu, by nie obrażać uszu matki... Niemniej zastanawiali się społem nad kwestjami historycznemi, nad tem, czy tak, czy inaczej Sobieski winien był pokierować sprawami po bitwie pod Wiedniem, albo czy powstanie r. 1831 było aktem rozumu politycznego. Niekiedy hrabia wciągał Kazia w takie rozmowy.

Niewiele dowiedział się o nim Juljan, bo, jak się zdawało, nikt nie miał o hrabim Erazmie jasno wyrobionego zdania. Przedstawiał się enigmatycznie. Można było wywnioskować jedynie, że hrabia żył z żoną na stopie oziębłej, a na diapazon umysłowy córki

wywierać musiał wpływ niemały. Wróżyło to dla Juljana bodaj nieźle. Jeśli wszakże Sabinka nie myliła się, i hrabia w sprawach rodzinnych polegał całkiem na zapatrywaniu żony, nie można było oczekiwać z jego strony interwencji na rzecz pary zakochanych. Trzeba więc było przypuścić walny szturm do hrabiny.

XXII

Z niezmiernem zdziwieniem odebrał Juljan nazajutrz, już w kwadrans po wysłaniu listu do hrabiny, wezwanie, by oczekiwał ją na pomoście. Nie raczyła go przyjąć u siebie, jednakże Juljan wywnioskował z tego, że sprawa jego i Sabinki nie stała tak źle, i sądził, że, jeśli list jego odniósł dobry skutek, wygrać tę sprawę nie będzie rzeczą bardzo trudną. Chcąc oddziałać na nią już w pierwszej chwili pod względem optycznym, ubrał się, jak najefektowniej mu się zdawało, a więc tak, jak do konnej jazdy. Hrabina, sama niepospolicie piękna, nie była wcale ślepa na powierzchowność i urodę. Trzeba było uderzyć we wszystkie struny.

„Baba zje ze mną djabła“ odgrażał się, chodząc po pomoście i szukając jej oczyma wśród snujących się po deptaku osób.

Ujrzał ją zbliżającą się powoli, wspierającą się na cienkiej laseczce. Wydawała się starszą nad swój wiek, gdyż nie opuszczała jej świadomość, że musi się leczyć, że nie wolno jej się męczyć. Przepisy i rady lekarskie stosowała z pedanterją, i leczenie się zdawało się głównym celem jej istnienia.

Już zdaleka wyszła hrabina ku Juljanowi spojrzeniem i nie zdejmowała go z wytwornej jego postaci. Skoro wstąpiła na pomost, Zawoja zbliżył się do niej bez pośpiechu, skłonił się i wyrzekł z odcieniem dworskiej galanterji:

— Dziękuję pani hrabinie...

Ona nie podała mu ręki i zrazu nie powiedziała słowa. Uciekły jej gdzieś zdania wstępne, jakie przygotowała sobie w głowie, i pod silnem wrażeniem jego osoby powiedziała poprostu to, co miała na myśli:

— Niech mi pan, proszę, powie, jak to możliwe, że... pan jest takim, jakim pan jest...

Uśmiech drgnął w kącie ust Juljana. Siadł obok niej na ławce.

— Wytłumaczyć to można jednem słowem: predestynacja... Kto urodził się z tak pełnej wdzięku i finezji matki, Francuzki, jak ja, a ma tak nadzwyczajnej urody ojca... Zresztą od piątego roku życia uczyłem się pilnie, i to z własnego popędu, jak być dystyngowanym arystokratą, czego urodzony z krwi błękitnej chłopiec nie uczy się wcale tak gorliwie, mniemając, że przyniósł to ze sobą na świat. Nietrudno mi było przeto przy wrodzonej predyspozycji prześcignąć niejednego pana z panów. Jeśli, jak pani hrabina przyzna, wielu z nich w uczuciach, poglądach, ba, nawet w manierach, przypomina chłopa i cuchnie chamstwem, dlaczego nie miałby istnieć na świecie wyjątkowy osobnik z ludu, mający w duszy szlachetne struny i doskonale przypominający piękne typy arystokratów?... Źle wyraziłem się; ja nie przypominam arystokraty, ja nim jestem.

— Jakto?... — wyszeptała hrabina, cała zamieniona w ucho i z najwyższem napięciem ciekawości oczekująca, że on zdradzi jej interesującą tajemnicę swego urodzenia. Ale doznała zawodu.

— Mniejsza, że maniery wielkiego świata, jego upodobania i gusty były i są memi manierami, zarówno, jak pani hrabiny... Mniejsza i to, że przejąłem pojęcia i przywary arystokracji, że, słusznie czy niesłusznie, uważam się za jednostkę wyższej kategorji i sądzę, iż, jakby uprzywilejowanemu, należy mi się na ziemi więcej miejsca, więcej wszelakiego szczęścia, niż innym śmiertelnikom... Swoją wyższość nad rzeszą arystokratów urodzonych wykazałem przez to, że umiem nietylko żyć, ale i umierać jak wielki pan... Jak wielki pan zwykle nie potrafi. A od tego w mem pojęciu poczyna się wielki pan... Takim był ś. p. syn pani hrabiny, co poległ chlubnie za Ojczyznę... — dorzucił zcicha, jakby z nabożnem westchnieniem zgrabny dyplomata, i po chwili ciągnął:

— Oddawna już wcielony w tę sferę, przywiązywałem do określenia „arystokrata“ znaczenie egzaltowane, a ostatnio, poczytywany za urodzonego arystokratę, przed samym sobą pragnąłem uzasadnić swoją rację bytu w tem środowisku. Dzięki tej ambicji wyróżniałem się dodatnio z pośród „najlepszych“. Wszelako na skończonego arystokratę... na arystokratę także z ducha pasowała mnie bezwiednie panna Sabina, bo... mnie uszlachetniła. I za to także ją wielbię. Takim pozostanę już do śmierci, gdyż nabierzmowany jestem pięknem uczuciem, jakie rodzi się i kwitnie tylko w piersi najlepszych.

— Wypowiedziałem się... — rzekł po chwili milczenia, zdziwiony, że wpadł w ferwor, który go poniósł do wyznań, odsłaniających przed niewdzięcznym słuchaczem coś z dna jego duszy. Ale nie mógł się już pohamować, i zadźwięczały jeszcze akordy rycerskie:

— Pani hrabina orzeknie o mnie zapewne: zarozumiały, arogant — począł. — A ja jestem jedynie ogromnie dumny, jak prawdziwy arystokrata. I mam prawo bodaj do tego; nie będąc bowiem arystokratą z rodu, stałem się nim zewnętrznie i nawet wewnętrznie. Musi zatem, choć niewiadomo skąd, płynąć we mnie krew szlachetna... Protoplastów, drzewa genealogicznego nie potrzeba mi. Ja sam starczę za swoje drzewo genealogiczne i galerję przodków...

Hrabina słuchała go z podziwem; wydał się jej tyle inteligentnym i olśniewającym, co zarozumiałym. Przyznawała, że zarozumiałość jego nie była wcale nieuzasadniona. Zadrwił sobie cichaczem z całego towarzystwa w Cannes w sposób niesłychany. Wszystkie te argumenty jednak nie mogły jej przekonać, aby pan Zawoja, osobnik z ludu, mógł być równym tym, co nosili w sobie tradycje. Wierzyła ślepo w głos krwi. Zawoja grał rolę arystokraty, doskonale do niej przygotowany, mistrzowsko, jednakże nie mógł być nigdy arystokratą. Z tej przyczyny zaś córka jej nie byłaby z nim szczęśliwa. Prędzej czy później bowiem wyszłoby szydło z miecha, ujawniłby się przed nią chłop i nastąpiłoby gorzkie rozczarowanie i ból z powodu zmarnowanego życia.

Tak rozumując, hrabina nie przypuszczała, że zupełnie innem okiem byłaby spozierała na niego, gdy-

by był chociażby świeżo kreowanym hrabią, gdyby miał tytuł. Dla tytułu byłaby przebaczyła wiele i na niejedno zamknęła oczy. Roiło się w Cannes od hrabiów i baronów, urodzonych z Żydówek lub z Amerykanek bardzo niskiego pochodzenia, a hrabina nie kwestjonowała ich prawa do prawdziwej arystokracji, jakby tytuł uświęcał wszystko i zamykał kwestję. Biorąc pozory rzeczy za rzecz samą, nie uznawała nikogo za arystokratę, o ile nie miał tytułu.

— Mimo wszystko, co pan tak wymownie mi przedstawił, mimo, że niejeden z argumentów jego uznaję, nigdy nie zezwolę na związek Sabinki z panem... Mam swoje racje, z jakich nie potrzebuję się spowiadać...

— Oczywiście. Najważniejszą z tych racyj jest ta, że pani hrabina przeznaczyła córkę dla księcia Zygmunta... To zrozumiałe. To tak naturalne, jak to, że moja matka wolałaby, abym nie z hrabianką Morecką się żenił, lecz z bogatszą od króla angielskiego panią Egerton, stanął na świeczniku stolicy wszechświata, był ulubieńcem salonów i gwiazdą w kołach sportowych, bywał na dworze, protegował ministrów polskich i robił dla Polski propagandę wśród potentatów angielskich... Jeśli pannie Sabinie wypadnie złożyć ofiarę na ołtarzu miłości, to mnie także. Poświęcamy oboje bardzo wiele, czując, że dla nas, do miłości stworzonych, miłość musi być podstawą szczęścia... Zaiste, ładnie byłoby, gdyby panna Sabina została księżną, lecz jednak stokroć lepiej będzie dla niej, jeśli... będzie najszczęśliwszą na świecie kobietą...

— Doprawdy, pan ma o sobie wyobrażenie...

— Wierzę, jak w to słońce, że, tak przez nią kochany, mogę uszczęśliwić pannę Sabinę i uszczęśliwię ją, jak nikt inny, a poprzez związek z głęboko kochanym człowiekiem wejdzie ona na jedynie prawidłową drogę rozwoju i zaświeci zczasem jako wspaniała kobieta, dama i obywatelka. To cudowny materjał... z którego ja tylko potrafię wyrzeźbić posąg.

— To panu zakochanemu tak się wydaje... — uśmiechnęła się pobłażliwie hrabina.

— Proszę mi wybaczyć, pani hrabina córki swej wcale nie zna i zgoła niedocenia. Zwykle matki nie znają swych córek. Zato znają córki swych krewnych i przyjaciół... Panna Sabina to nie lalka, anemiczna fizycznie i duchowo, nie zimny portret pałacowy, nie manekin, nie popychadło. To wcale nieprzeciętny zadatek na kobietę, to świetna płonka wspaniałej istoty, którą wszakże trzeba pielęgnować w odpowiedniej temperaturze uczuciowej i atmosferze duchowej. Ona nie jest z tych, co dałyby omamić się przez życie, a okruchy i pozory miłości brały za miłość. Instynkt i serce odsłoniłyby jej prawdę. Sama zdolna do idealnej, głębokiej miłości, szukałaby podświadomie, później świadomie odpowiednika, w którego sercu mogłaby przejrzeć się cała. Nie mogłoby być inaczej. Gdybym ja nie istniał, a pani hrabina wydała ją za księcia Zygmunta, doczekanoby się wnet w Wielkowysku chwili, w której córka powiedziałaby do matki: — „Straszną popełniliście omyłkę. Albo rozwiodę się, albo zostanę jego kochanką. Jakiegoś pana X.“... I takby się stało. Księżna mieszkałaby 10 miesięcy zagra-

nicą z kochankiem przy boku, a przez dwa miesiące w roku tęskniła za nim w zamku.

— Nigdy! Sabinka jest zanadto prawa i uczciwa.

— Prawa? Ja nie spotkałem w życiu tak prawej i tak przeczystego serca istoty. Dlatego też trzeba liczyć się z każdem słowem wobec niej, gdyż ona wszystko bierze dosłownie i uważa, że każde słowo zobowiązuje.

— Jeszcze więcej zobowiązywać ją będą śluby.

— Z pewnością. Wcale nie przeczę temu. Czekałyby ją skutkiem tego straszne walki duchowe, a przeszkody, które inne kobiety przeskakują lekko, stałyby się dla niej lasem cierni, zanim miłość nie skrystalizowałaby się, nie dojrzała i zanimby nie zrobiła odkrycia, że... czysta i wielka miłość rozgrzesza ludzi mocą swej czystości i wielkości i jest sakramentem. Wtedy poczułaby się niewinną i... byłaby nią.

— Nie! Sabinka nigdy nie wzięłaby sobie kochanka!

Juljan uśmiechnął się do siebie i nie mógł powstrzymać się, by nie palnąć:

— Czyż pani hrabina sądzi, że, gdybym był poznał pannę Sabinę zamężną, nie byłaby ona dzisiaj moją kochanką?...

Nie miał pod tym względem ani cienia wątpliwości, i ta jego pewność udzieliła się hrabinie. Zmilczała, a on ciągnął:

— Nikt mi nie wytłumaczy, że taka, do miłości pełnej i pięknej predestynowana, kobieta może przejść przez życie bez wielkiej miłości, że jej bogate, cudowne serce może nie umierać z pragnienia na pustyni życia...

Nagle hrabina wpadła z przerażeniem w źrenicach:

— Czyż pan ma powód poczytywać Sabinkę za... zmysłową organizację?

Uśmiech łysnął w jego oczach. Przystąpiła do niego pokusa. Gdyby sugestjonował jej, że ma taki pozytywny powód, sprawa ich z przypartą do muru mamą wzięłaby obrót jak najpomyślniejszy. Musnął dłonią czuprynę i odparł:

— Mogę panią hrabinę uspokoić, nie mam najmniejszego powodu do takiej supozycji. Nie mówiłem nic takiego... Uważam pannę Sabinę za wykwit kobiecości. Gdyby była przyziemną, pospolitą, mało inteligentną, pokochałaby i uszczęśliwiła księcia Zygmunta zarówno, jak każdego innego. Jest to wszakże bardzo szlachetnego pokroju dziewczyna, nosząca w duszy swój ideał mężczyzny i miłości. Taka arystokratka z ducha nie pokocha nikogo, kto niema pewnych strun w duszy, jej zasadniczo sympatycznych i bliskich, lub chociażby pozorów tych cech. Jej czujna intuicja szuka odpowiednika, który byłby godzien bezmiernych skarbów uczuciowych, jakie niesie kochankowi... Gdyby miłość jej była wyłącznie kwestją zmysłów, może pani hrabina znalazłaby na to lekarstwo, lecz tu wchodzi w grę poprostu wszystko: jej cudowne serce, jej dusza. Ona żyje tą miłością i jest czarownem uosobieniem miłości...

— Czy nie są to pańskie wybujałe, romantyczne rojenia?...

— Na Boga Świętego! — zawołał z piękną emfazą. — Jak ja bez niej pogrążyłbym się w noc, z której śmierć byłaby wybawieniem, tak ona — roślina

stokroć ode mnie delikatniejsza — byłaby beze mnie złamaną, raz na zawsze zwichniętą, straconą... Ludzie podobno nie umierają z miłości (okrom tych, którzy umierają). Więc zapewne pozostałaby przy życiu. Jest zdrowa, dosyć silna (chociaż to kwestja), przetrwałaby może ten kataklizm i wegetowała, w istocie swej beznadziejnie zamarła... Pani hrabina chce swą córkę zabić! — cisnął jej z głębokiem przekonaniem.

— No tak... pan opętał ją, oczarował...

— Oczarowałem... Tak, oczarowałem ją, bo ona mnie oczarowała. Niemniej przyjmuję winę na siebie, szczęśliwy, że udało mi się ją tak opętać... Ale teraz inna kwestja. Czy pani hrabina sądzi, że odczarowałoby ją małżeństwo z tym poczciwym ks. Zygmuntem lub kim innym...?

Hrabina popadła w milczenie, a on wpatrywał się w piękną, Madonny godną, jej twarz, która wszakże nic mu nie mówiła. Wreszcie zaskoczyła go zgoła nieoczekiwaniem pytaniem, zdradzającem, jak była daleką od zrozumienia jego uwag i dźwięków sercowych.

— Czy pan zamierza zerwać całkiem swe stosunki z lordem Pembroke'm, Monseigneur'em i innymi przyjaciółmi z Cannes?

— Nie. Z lordem Pembroke'm mam nadzieję spotkać się jeszcze nieraz.

— Ale on znał pana jako hrabiego Zawiejskiego, więc...

— W istocie zabrnąłem daleko... Strzeliła mi też myśl do głowy, że nie pozostanie mi nic innego, jak starać się o zmianę nazwiska.

— Na Zawiejski?

— Na Zawoja - Zawiejski.

Hrabina kiwnęła głową aprobująco i bąknęła nawiasem:

— Zawoja przez igrek...

Poczem szybko powstała.

— Przeciągnęła się nasza rozmowa. Jeszcze słowo. Od tego winnam była może zacząć... Wyrządził pan Sabince i nam niepowetowaną krzywdę, ubiegając się o jej rękę pod fałszywą firmą. Oczekuję, że pan choć w części tę krzywdę naprawi.

— Jakim sposobem?

— Przez to, że pan wyrzeknie się 'jej i nie będzie prześladować Sabinki, że pozwoli nam pan zapomnieć o tym przykrym. fatalnym epizodzie.

— Ja?... Ja miałbym wyrzec się panny Sabiny? — wybełkotał, a po chwili z tłumionym chichotem ciągnął sarkastycznie:

— Nie jestem doprawdy takim skończonym mazgajem i niedołęgą... Pani hrabina pomyliła się w adresie... Ale pani hrabina ma słuszność: ja nie jestem prawdziwym arystokratą, jak mi się to zdawało... Nie oświadczam się za pośrednictwem ciotki i nie mam też nikogo, co za mnie wyrzekłby się panny Sabiny... Jestem ot taki chłop, który, jeśli kobietę kocha, to ją sobie bierze, kocha i nie puści do śmierci...

Wsparta na laseczce, hrabina zapatrzyła się gdzieś w dal morską.

— Więc co pan zamierza? — wyrzuciła raptownie. sondując jego oblicze wzrokiem.

— To chyba jasne... Poślubić pannę Sabinę.

— Ale ja nie dałabym jej ani grosza!

— Majątkiem swym może pani hrabina oczywiście rozporządzać, jak uzna to za stosowne, ale nie panną Sabiną, bo to nie kruszec... A jeśli kruszec, to wiele szlachetniejszy od złota.... To żywy człowiek, który jest swoją własną własnością...

— Ona panu dała słowo?

— Sto najcudniejszych słów...

— Ona nawet nie pełnoletnia!

— Ale, dzięki Bogu, wie, co robi.

— Nie posunie się jednak tak daleko, aby bez zezwolenia rodziców...

— Przekonamy się... Uprzedzam panią hrabinę i jej małżonka, że, gdyby państwo postawili na straży panny Sabiny nawet pułk żołnierzy — nie cofnę się! Przysięgam, że walczyć o nią będę jak o życie! Bo ona jest rzeczywiście mojem życiem...

Milczenie stanęło między nimi.

— To przykre... — wyrzekła hrabina. — Boleję nad tem, że pan ją tak pokochał... Bardzo mi to przykro, bardzo... Ja doprawdy zrobiłabym wiele, aby otrzeć łzy żalu...

— Komu??! Co? Pani hrabina... zrobiłaby wiele... Doprawdy nie wiem, czy ja dobrze po polsku rozumiem.

Pobladł strasznie, bo chwycił go, jakby spoliczkowanego, skurcz takiej dzikiej nienawiści, że trzeba było wielkiego panowania nad sobą, by nie cisnąć jej w twarz obelgi.

Teraz dopiero dowiedział się, dlaczego to hrabina pragnęła zobaczyć pana Zawoję, dopiero teraz poznał tę miłą, uprzejmą, nawet sympatyczną damę, która

dla hrabiego Zawiejskiego miała tyle słów pochwały.

— Nie rozumiemy się... — bąknęła hrabina.

— Nie, istotnie nie!... Nasza rozmowa przeciągnęła się za długo... — padło z bladych jego warg.

Uchylił szybko kapelusza i odszedł. Pod czaszką tętniło mu, waliło młotem zagadnienie: „i to... to jej matka?“ —

XXIII

Pani Maryla Kromiczowa niejednokrotnie przysięgała sobie, że opuści Niceę i noga jej w życiu nie postanie na posadzce domu gry w Monte Carlo. Lecz postanowienia te albo tajały w słońcu, skoro tylko uśmiechało się ono do niej w salach Kasyna, albo umierały po dobrze przespanej nocy. Tak jak Rajewski, nie mogła rozstać się z „boską“ Rywjerą. Różniła się od niego głównie w tem, że prawiła sobie reprymendy i kazania i, chociaż już znała drogę do lombardu, nie zdobyła się jeszcze na to, by w dyrekcji domu gry prosić o „wiatyk“ na powrót do kraju

Uniewinniała się przed sobą tem, że nie miała do kogo i poco wracać do Warszawy, bo, chociaż nie mówiono o tem głośno w rodzinie, nie żyła z mężem. On też w jej przekonaniu był winien, że grała, że przegrywała i ostatnio wplątała się w towarzystwo, które taki Rajewski byłby uznał za nad-zwy-czaj-nie miłe i w stylu Rywjery, ale które niedość jeszcze oszlifowaną, świeższej daty montekarlistkę przejmowało niesmakiem. Zachowała pewne skrupuły i przesądy, jakie

należało pozostawić poza progiem domu wdowy po wybitnym malarzu polskim, otwartego w nocnych godzinach dla przyjezdnych rodaków, bez ceremonji wprowadzonych przez kogokolwiek. Wystarczało nawet, by całkiem nieznajomy intruz cmoknął panią Laurę w rękę przykładnie i powołał się na jakiegoś jej znajomego, bąknął przy powitaniu zdawkowy komplement, a dopuszczano go do wesołego kółka na równych prawach. Prawa te zaś były bardzo wielkie, pozwalały bowiem aspirować do faworów ze strony dwóch córek przedsiębiorczej wdowy, młodych kobiet wyzywającej urody, które w pewnych momentach życia były mężatkami a w innych rozwódkami i nie rozumiały różnicy, zachodzącej między jednym stanem a drugim. Rajewski znał je i poczytywał za zupełnie kulturalne osoby, jakich nawet on nie mógłby nauczyć niczego z dziedziny sztuki życia.

W tym domu, do którego zawiodła ją żądza wygranej, pani Kromiczowa miała sposobność do praktykowania dwóch cnót: tolerancji i wyrozumiałości, co było u niej połączone z niemałą przykrością. W nagrodę za to nie wychodziła nigdy bez chociażby drobnej wygranej, bo pani Laura, kierująca zabawą w sposób — w języku Rajewskiego — genjalny, tak dziwnie manewrowała, że żadna z uczestniczek do samego rana przeciągających się „wieczorów“ nie miała powodu do niezadowolenia z gry.

Coś szeptało pani Maryli, że szybko stacza się w wiry półświatka. Jeśli utrzymywała się jeszcze jakkolwiek na powierzchni wody, poczytywała to za chlub-

ny dowód swej odporności na pokusy i za zwycięstwo swych zasad.

W istocie zaś zawdzięczała to tej okoliczności, że nie mogła rywalizować urodą z córkami pani Laury. Należała do kobiet, które każą usilnie wierzyć ludziom w to, że są ładne, znała arkana kalotechniki, nie brakło jej gustu i smaku w tualecie, i na bezrybiu niejeden byłby uwierzył, że jest ładna. Jednakże wobec groźnej konkurencji schodziła w cień a przy boku córek pani Laury grała rolę pożądanej towarzyszki. Nie zaćmiewała spekulantek życiowych, nie zagrażała im, a jako „przyzwoitka“ wręcz podnosiła je w opinji i w cenie.

Świadomość tego stanu rzeczy nawiedzała panią Marylę migawkowo i wnet ukrywała się w mgławicy. Ale, gdy hrabina Morecka zaprosiła ją z sobą do San Salvadour, przyjęła to z uczuciem niewysłowionej ulgi. W owem San Salvadour czekała ją wprawdzie nuda, lecz wracała znów w swoją sferę towarzyską, wolna od trosk o chleb powszedni i od nieprzyjemności najróżniejszej natury, które to życie jej pozornie miłe i wesołe zamieniały w udrękę. Postanowiła zaskarbić sobie względy bogatej hrabiny, stać się dla niej niezbędną i dalekie swe kuzynowstwo z nią wyeksploatować dodna. Wykolejona kobieta bez jutra obiecywała sobie niemałe z tej strony korzyści, chociaż nie umiała zgóry ich określić i sprecyzować.

Gdy kuzynka wyjaśniła jej sytuację i wyznaczyła misję damy do towarzystwa „obłąkanej“ Sabinki, pani Maryla zrozumiała, że chodzi o odseparowanie hermetyczne dziewczyny od niebezpiecznego uwodziciela.

Tak poradził hrabinie książę Władysław. Ponieważ zaś zawsze o zdrowie zaniepokojona hrabina bała się o swe nerwy, zalecił jej San Salvadour, jako idealny zakład wypoczynkowy.

Hrabina zdziwiła się, że Zawoja nie stracił w opinji księcia.

— Zawoja czy Zawiejski — mówił stary książę — to nasz człowiek. Skoro wrócę do kraju, muszę o nim pomówić i wciągniemy go w jaką robotę.

— Ale jak można mieć zaufanie do takiego człowieka?

— To nie kwestja zaufania, tylko wiary w jego zdolności. Przekonywa mnie ta sprawa sercowa, że ten charakternik wszystko przeprowadzi i na swojem postawi.

— Ale to niebezpieczny szaleniec!

— Zakochał się. Panna śliczna, czarująca. Ona zanadto czarująca, aby nie miała mieć w życiu awantury miłosnej prędzej czy później. Stało się prędzej, bo on poznał się na niej. Moja droga pani Anno, któryż z naszych zdobędzie się na taki junacki rozmach?...

Imponowało to księciu. Nadewszystko jednak ulegał — jak byłby ulegał każdy inny arystokrata — urokowi olśniewających jego sukcesów, odniesionych na całej linji. Jaki obrót weźmie sprawa miłosna, było mu obojętne. Nie gniewałby się wszakże, gdyby i w tem Zawoja ostatecznie dopiął celu, zabrał hrabinie córkę i raz jeszcze dowiódł jemu samemu, że wygrywa każdą sprawę.

— Jeżeli co w tych tarapatach pani pomoże, to tylko czas. Takie historje rozchodzą się często po kościach.

To przemówiło do przekonania hrabiny. I tak w Święta Wielkanocne przed barokową, w łuk wygiętą, fasadą pałacowego pensjonatu San Salvadour spoczywały trzy polskie panie wśród nadmorskiego odludzia, na jakiem wzniesiono ten zakład wypoczynkowo - kuracyjny z tego względu, że znajdowało się tam o kilka kroków od morza źródełko antyartretycznej wody mineralnej, uznanej przez świat lekarski. W zupełnem odosobnieniu od wszelakich osiedli, piękny gmach tonął w słonecznej ciszy, zapatrzony na szyby błękitnych roztoków.

Od miasta Hyères, starodawnej stacji klimatycznej, w której ongi zażywał wywczasów książę Józef Poniatowski, jak przypomina to ulica, jego imieniem nazwana, dzieli ten zakład kilkanaście kilometrów gościńca. W pół drogi napotyka się, jakby potężny kręgiel, sterczącą górę, całą tak porosłą ciemnemi, liściastemi drzewami, że w spowiciu ich trudno odkryć dwa wielkie hotele, nawskroś angielskie. Całe Costebelle, w które wplątała się piękna sadyba Pawła Bourget'a, wywiera wrażenie oazy angielskiej na francuskiej ziemi. Costebelle i Hyères — stolica królestwa kwiatów — położona w odległości 4 kilometrów od morza, owiana wyziewami nietylko wód solnych, lecz i salin, rozpostartych przed niemi na wybrzeżu — uchodziły od wieków za idealną przystań dla słabowitych osób. A że do zapomnianych senliwych miejscowości nie docierają hałaśliwe dźwięki jazzbandów Rywjery, ni toczącego się po zielonych stołach złota, więc kryje się tam towarzystwo, dla którego zgiełk wielkoświatowy postradał powab.

O San Salvadour głucho. Wspaniały ten pensjonat ma klientelę angielską i francuską i bynajmniej nie stara się o rozgłos. Przeciwnie, pragnie pozostać poza światem i zapewnić swym gościom złudzenie, że świat to nie ludzie, lecz tylko myśl wolna, unosząca się, niby mewa, w niepokalanej ciszy nad lazurami morza ku niebiosom.

Zakład ten wytworny, arcyhigjeniczny a niedrogi, pod dyrekcją byłej zakonnicy nabrał, lubo nie ostentacyjnie, charakteru kongregacji ludzi wierzących, gorliwych katolików. Domyślić się było można, że stali goście składają się z wrogów polityki przez Combesa zapoczątkowanej, a Anglicy należą do kościoła katolickiego. To swego czasu zjednało dla San Salvadour uznanie księcia Władysława i niezmiernie odpowiadało tendencjom hrabiny Moreckiej.

Wszystko jej się tam podobało. Pani Maryla zaś była niejako z zasady tego samego zdania, co hrabina. W rzeczywistości doskonaliła się w bardzo potrzebnej w pałacowem życiu sztuce przyzwoitego nudzenia się. Trzymała w ręku powieść, której tytuł ukrywała przed kuzynką, i toczyła z nią banalną rozmowę, starając się wciągnąć w nią Sabinkę, oglądającą z zajęciem ilustracje w tygodnikach. Zwykle teraz pogrążała się ona w milczeniu wobec matki, której, jak jej się zdawało, nie miała nic do powiedzenia. Oddaliła się cicho od stołu, weszła do pensjonatu, i po chwili z ustronnego pokoju rozległa się muzyka Schumanna.

— Sabinka niemrawa, ale wydaje mi się pogodna. Spodziewałam się, że będzie o wiele gorzej — zauważyła hrabina.

— Trochę zgaszona. Brak jej tego grand train z Cannes. Ale może dobrze, że wyrwałaś ją tak radykalnie ze środowiska, które ciągle się bawi — pochwaliła kuzynkę pani Maryla, upozowana wobec niej na moralistkę. — Tu ona prędzej o nim zapomni.

— Bardzo jestem ciekawa, gdzie on się podział?— przyznała hrabina, ożywiając się. — A nie mam pojęcia, od kogo możnaby o nim zasięgnąć języka.

Na panią Marylę spadał obowiązek zaspokojenia ciekawości hrabiny. Spamiętała to sobie, a po chwili ozwała się:

— Nie rozumiem, dlaczego tak koniecznie sprowadzasz tu Erazma. Jeśli tobie, która masz uposażyć Sabinkę, przysługuje w tej materji ostatnie słowo, a to słowo już wyrzekłaś...

— Moja droga, przedewszystkiem obawiam się, by ten okropny człowiek nie zaskoczył mnie jaką awanturą. Postanowił coute que coute poślubić hrabiankę a zdolny jest do każdego szaleństwa. Sam mi nawet wyraźnie zapowiadał, że dobijać się będzie o Sabinkę i walczyć o nią do upadłego. Wobec tego Erazm staje się tu niezbędnym. Niechaj on czuwa nad córką. Za usposobienie jej i nastrój on jest głównie odpowiedzialny. Te ich pokątne dyskusje o małżeństwie, o rozwodzie, o Bóg wie czem, gniewały mnie ogromnie. Przewidywałam, że z tego nie wyniknie nic rozsądnego. I otóż mamy!... Teraz jeden Erazm potrafi odwieść ją od myśli o związku z tym Zawoją i przyprowadzić ją do rozsądku. Niemniej jednak i ty rób ze swej strony, co możesz, i, proszę cię, byś miała ją na oku. Wyobraź sobie, że ona powiedziała mi, iż „nie

może mi nic przyrzec". Nic! Rozumiesz: nic!... Słowem, ładna historja. Oni mogą się porozumieć... Co to za dziewczyna! Nie poznaję jej. Liczę na twoją pomoc; ja sama jestem bezsilna. Stargałam sobie nerwy przez tę historję i rezultatu nie osiągnęłam żadnego. Nowoczesna panna uważałaby sobie za uchybienie i ujmę dla siebie, gdyby miała ulegać wpływom matki... — dodała z przekąsem hrabina i biadała nad zdrożnym i przewrotnym duchem czasu, zakradającym się nawet do ustronnych, przez tradycję obwarowanych gniazd.

Łącznie z tem hrabina opowiedziała pani Maryli, jak to Sabinka wyrwała się niewcześnie i czelnie z apologją anarchisty, któremu przypisywano demonstracyjny akt stłuczenia szyby w sali balowej Kasyna. Oburzało ją to, gdyż oburzającą wydaje się wszystkim matkom pewna, indywidualnością pachnąca, samodzielność umysłu córek. A że w dodatku posądzała teraz Sabinkę o bujny temperament, więc obawiała się o jej przyszłość. Czy ona nie wdała się w matkę swego ojca?... Opowiadano o niej hrabinie to i owo, z czego teraz była skłonna kuć przeciw starej hrabinie Moreckiej zarzut „romantyczności".

XXIV.

Tymczasem Sabinka ustosunkowała się do matki nietyle krytycznie, ile żałośnie. Bolała nad przełomem, jaki powstał między niemi, i sercowa dziewczyna miała jej za złe przeważnie to, że odepchnęła ją bezwzględnie zimnem słowem, z surową jednostronnością egoistki. Uświadomiła sobie teraz, że matka nigdy nie odpowia-

dała na jej żywy afekt czułością macierzyńską, jakiej było jej tak trzeba, i po raz pierwszy otworzyły jej się oczy na konwencjonalność stosunku między nią a ojcem. Czy ów chłód, wiejący od matki, nie był przyczyną tego, że ojciec trzymał się tak zdaleka od życia w pałacu wielkowyskim? Nigdy Sabinka nie słyszała ciepłego słowa, zamienionego między nimi. Byli z sobą, jakby przy gościach.

Odkrycia te byłyby przejęły dziewczynę, wrażliwą uczuciowo jak mimoza, dreszczem bólu i nękały długo, gdyby nie to, że wyszła poza obręb rodzicielskiego domu, a osią jej świata był Juljan, od którego padał na nią blask, wyzłacający wszystko. Pieściła w sercu świadomość, że on jest w sąsiedztwie i żyje myślą o spotkaniu z nią. A to uzbrajało ją w spokój i pogodę, jakie słusznie zadziwiały matkę.

Sabinka byłaby mogła zaspokoić ciekawość hrabiny doskonale. Para kochanków zorganizowała na swój wyłącznie użytek pocztę. Dostał się Kaziowi rower, mający mu zastępować towarzyszów z Cannes, i chłopiec pełnił funkcję listonosza, z przekonaniem, że dobrej służy sprawie. Głosił bowiem za plecami matki zdanie, że nie przysługuje jej wcale prawo sprzeciwiania się temu, co Sabince dyktowało serce. Rozpierało go wrażenie, że należy do stronnictwa młodych, zmagających się o wolność i postęp. Nigdy nie kochał siostry więcej, niż teraz, gdy potrzebowała jego pomocy, i wyrósł na ważny czynnik, tem ważniejszy bodaj, że operujący pokryjomu.

Z listów Juljana poznała Sabinka stosunki rodzinne i dzieje swego ukochanego. Niewiele pisał o swojej

starszej siostrze Adeli, bo biografja jej przypominała mu jego własne urozmaicone życie. Fenomenalnie piękna, czarująca, szalonego temperamentu dziewczyna, rozpoczęła od tego, że dała się wykraść pewnemu oficerowi i wyjechała z nim zagranicę. A skończyła na tem, że wyszła za bogatego kupca polskiego w Paryżu. Wręcz inaczej druga jego siostra, Frania. Podobna do ojca, blondynka, lecz najmniej urodziwa i najmniej inteligentna z rodzeństwa, jako żona dorabiającego się ziemianina i matka kilkorga dzieci mogła uchodzić za wzór do naśladowania. Serce miała anielskie i zawsze była gotowa do usług dla sióstr. Juljan przyznawał ze skruchą, że nie okazywał jej ze swej strony szczególniejszego afektu. Wszystkie swe uczucia rodzinne przelał na 20-letnią siostrę, Tonię.

Gdy Sabinka dowiedziała się o pochodzeniu jego matki, córki nauczyciela z pod Arles, pisała do Juljana:

„To mama pana pochodzi zapewne od minstrelów i trubadurów dawnej Prowancji, o których opowiadał mi tu pewien Francuz z ministerjum. Słuchając go, myślałam o Panu i zrozumiałam, dzięki czemu Pan potrafi tak efektownie wyrażać swe uczucia...“

W istocie ta dziewczyna zrobiła odkrycie dla niego rewelacyjne. Gdy uprzytomnił sobie, jak to matka jego, klęcząc i całując jego ręce w ekstazie, prawiła mu przytem rzeczy jakby natchnione, które niewiadomo skąd się brały na jej ustach, odczuwał w tem nutę trubadurów, która także była jego nutą.

Niedość było Sabince listów. Niekiedy ukradkiem zamykała się w klatce telefonicznej i łączyła z hote-

lem W. Brytanji w Hyères, aby po chwili wyjść na padół ziemski, promieniejąca jak Aurora. Więc miast ronić łzy i więdnąć, rozkwitała wiośnianie — stroiła się w czary na najwyższą nutę napiętej kobiecości.

W tym okresie więcej, niż kiedykolwiek, medytowała nad strojami. Zastanawiała się, jaką sukienkę należałoby przywdziać na spotkanie z Juljanem, które przecież musiało nastąpić lada dzień. Kwestja nie była tak łatwa do rozwiązania, jakby to wyobrażało sobie może tak ciemne stworzenie, jak mężczyzna. Przecież obowiązkiem prawdziwej kobiety było przedstawiać się stęsknionym oczom ukochanego tak czarownie, by wobec tego zjawiska pierzchała zawstydzona wizja, jaką on pieścił teraz w godzinach tęsknoty.

W San Salvadour nie było okazji do wystawy świetnych tualet z karnawału w Cannes. Wieczorami grywał tam znakomity kwartet i tańczono trochę, lecz wywierało to wrażenie przepisanych przez lekarza zabiegów higjenicznych. Młodych osób było niewiele. Uczepiła się Sabinki trzydziestokilkoletnia, rudawa, żywa Angielka i zabierała ją na krótkie przechadzki w jasne noce, chociaż mówiła:

— Noce księżycowe wyszły całkiem z mody. Nawet malarze przestali je malować, bo to tylko dobre dla sentymentalnie zakochanych par, jakich dzisiaj szukaćby trzeba ze świecą. Lecz może pani sentymentalnie zakochana?

— Nie!... Ale czy można być niesentymentalnie zakochaną?

— Oh! Wielkie dziecko z pani! — parsknęła Angielka i spojrzała na nią z dziwnym uśmiechem.

Nikt nie kąpał się jeszcze w morzu. Jedynie miss Ward wypływała codziennie daleko na wodę. Namówiła Sabinkę do kąpieli i obiecywała nauczyć ją pływać wkrótce. Jakoż nazajutrz Sabinka odważyła się wejść do wody, chociaż wydała się jej bardzo zimną. Domyślając się tego, miss Ward pocieszała ją, że to jedynie pierwszy raz doznaje takiej sensacji, i zabrała się gorliwie do lekcji pływania. Nie spodobało się to jednak Sabince. Owa na sportsmenkę upozowana kobieta działała na nią odpychająco. Odtąd, dopiero wówczas, gdy miss Ward pluskała się już daleko od brzegu, zanurzała się w wodzie na trzy minuty i ubierała, co zauważywszy, Angielka przestała się nią zajmować.

Natomiast w ogrodzie szwendał się wokoło niej często Francuz w średnim wieku. Że pragnie się z nią zapoznać, nietrudno było się domyślić. Te jego manewry bawiły Sabinkę. Była mu nawet za to wdzięczna, gdyż rozbudzona kobiecość żądna była hołdów. Wkrótce okazało się, że był to ojciec dziewczynki, z którą bawiła się niekiedy nad morzem. Nastręczyło to Francuzowi sposobności do przedstawienia się hrabiance. Wysoki urzędnik ministerjalny, mógł uchodzić za interesującego towarzysza. Aliści przyglądał się jej z odblaskiem podziwu, a to, co schlebiało jej i bawiło ją w pierwszej chwili i zdaleka, poczęło ją wnet nudzić, a nawet trochę irytować.

W listach do „narzeczonego“ nie omieszkała wspomnieć o tym Francuzie, jak radziła polityka niewieścia. Nazywała go „zajmującym i przystojnym“ — aby wzbudzić w Juljanie dreszcz zazdrości. Niechajby za-

zdrościł także temu Francuzowi i tego, że ma tyle sposobności do rozmawiania z nią, i tęsknił za nią tem więcej. Jednak, skoro uświadomiła sobie, że wyrządza mu chociaż tylko przelotny ból, wydała się sobie niegodziwą i pisała do Juljana: „Nie mogę patrzeć na tego Francuza“.

Przed wyjazdem z Cannes Sabinka spostrzegła w oknie wystawowem księgarni druk pod tytułem: „Poradnik dla młodych mężatek“. Coś ją skusiło, i gwałt zadając wstydliwości, kupiła tę książkę, by teraz wydobyć z ukrycia walizy.

We wstępie autor wykładał, jak niezmiernie ważną w pożyciu małżeńskiem jest rzeczą, by żona potrafiła być kochanką swego męża, a następnie pouczał o tem czytelniczkę. W pierwszym rozdziale znalazła Sabinka wykład o bieliźnie damskiej, dalej natrafiała wyrazy i całe zwroty, jakich znaczenia i sensu zgoła nie rozumiała. A skoro poczęła się domyślać, zamknęła książkę energicznym ruchem. Takie brzydactwa! Zrazu chciała cisnąć ten druk w morze, lecz powstrzymała ją szalona chęć, by zajrzeć w końcowe rozdziały książki. Stoczyła z sobą walkę i wstydliwość wzięła górę nad ciekawością. Nie mogła pojąć, że zapomniała się tak dalece — ona, która nie znosiła zdrożnych, wyuzdanych rozmów nowoczesnych panien, cynicznych ich uwag i komentarzy i uciekała od nich odruchowo! Niemniej jednak ukryła znów książkę, która paliła ją w rękę. Na późniejsze czasy. Jeśli on uzna to za stosowne...

Dalekie spacery z panią Marylą figurowały stale w programie monotonnych dni. Szczególnie ładna by-

ła ich wycieczka na górę, u której stóp spoczywa San Salvadour — górę zwaną Ptasią dlatego bodaj, że niema na niej ani jednego ptaszka, jak wogóle w tej okolicy, gdzie sidła wytępiły ptactwo doszczętnie.

Pani Maryla chwyciła skwapliwie tę okazję do wywiadów oraz do reformowania zbłąkanej dziewczyny.

— Nie zadziwiłoby mnie wcale, gdyby zjawił się teraz przed nami Zawoja — poczęła podstępnie, a Sabinka, przyśpieszając kroku, zwiesiła głowę i zaśmiała się:

— A ja zadziwiłabym się bardzo!

— Czyż to niemożliwe? Jeśli on taki zdeterminowany!....

— To jeszcze nie wiem, skądby się tu wziął.

Pani Kromiczowa zainterpelowała ją wprost, czy nie wie nic o poczynaniach Zawoi. Sabinka nie miała pojęcia. Przez ostatnie trzy czy cztery dni w Cannes nie widziała go wcale, a o porozumieniu listownem nie mogło być mowy, gdyż wszystkie ich listy oddawano w hotelu mamie.

Pani Maryla oblokła się w milczenie. Po długiej chwili dopiero ozwała się:

— Nie dziwię ci się nic a nic, że zakochałaś się w nim. To z pośród Polaków najpiękniejszy człowiek, jakiego widziałam w życiu.

Uradowana tem zdaniem dziewczyna, podjęła ten temat z zapałem, a pani Maryla rozwinęła swój pogląd szeroko. Wyliczyła wszystkich niepospolitej urody mężczyzn, jakich spotkała. Był w tej galerji malarz włoski z Florencji, dwaj Anglicy i pewien baron kurlandzki. Zawoja mógł rywalizować z nimi śmiało.

W stosunku do pięknego wzrostu nie miał za dużej głowy ani twarzy, której pociągłe lica odznaczały się ładną karnacją i czystą cerą. A nos był szczególnie misternie narysowany. Gęste brwi, fascynujące oczy, ponętne usta — wszystko to podnosiła pani Maryla wysoko i kładła na karb domieszki krwi romańskiej. Natomiast czoło, trochę za wysokie, ale dlatego o inteligencji mówiące, oraz czuprynę ciemną, wtył odrzuconą, nazywała słowiańską, uważając, że ten zarys czaszki nadawał fizjognomji jego wyraz męski, śmiały, rycerski. Uwydatniało się to także w trochę zamaszystych ruchach. Postawa jego godna była rylca greckiego rzeźbiarza. „Antinous!“... zesumowała znawczyni obserwacje, które emfatyczny znajdowały odzew u zakochanej dziewczyny.

Sabinka zachwiała się bardzo w swej nieufności względem kuzynki, chwilami tak miłej i sympatycznej, i skarżyła się:

— A mama widzi w nim teraz tylko chłopa!.. „Chłop“ i „chłop“ słyszę od niej. A to tak samo, jakby mówiła o nim: Kałmuk, Eskimos lub wieloryb. Bo czyż to nie świetny kawaler?!

Przyszła kolej na ścisłe rozpatrywanie zalet jego umysłu i osobowości, poczem pani Maryla, siadając na ziemi między anemicznemi drzewami, zauważyła:

— Rozumiem cię, moja Sabinko... W wielu rzeczach jesteś nowoczesną kobietą. Wyemancypowałaś się z pod wpływu trochę już staroświeckiej mamy, ale nie znasz życia, i dlatego wątpię, czy potrafisz urządzić je sobie rozsądnie.

— Co to znaczy urządzić sobie życie rozsądnie? Co mam uczynić?

— Sam twój Zawoja orzekł raz (na owej wycieczce jachtem, na której byłam z wami), że marjaż dla kobiety to karjera a dla mężczyzny ofiara.

— On to powiedział?!... No, może być. Lubi wygłaszać takie zdania, bo to tak bardzo podoba się ludziom. Ale czy przypuszczasz, że małżeństwo ze mną byłoby dla niego bardzo wielką ofiarą?... Ha! ha! Biedny on. Ofiara!! — zanosiła się od śmiechu — Spytaj się go, czy chce zostać — ofiarą !

— To jednak nie tak głupie zdanie.

— Czy to znaczy, że mam zastanowić się nad tem, czy zrobię karjerę, wychodząc za niego?... A czy ty, wychodząc zamąż, myślałaś o karjerze?

— Może nie. Jednakże rozważna, nowoczesna kobieta...

— O! ja nie wiem, czy jestem nowoczesna, czy nie. Dziwnie mi to obojętne. Lecz mów, co uczyniłaby na mojem miejscu owa twoja nowoczesna kobieta.

— Zrobiłaby świetną karjerę, a sercu nie wyrządziła krzywdy.

— Karjera dla mnie to ma być książę Zygmunt. Czy tak?... A serce to Zawoja. Więc nowoczesna kobieta popełniłaby bigamję i poślubiła obu? — rozśmiała się Sabinka.

— Niezupełnie tak — zawtórzyła jej z obleśnym śmiechem kuzynka i plusnęła: — Nowoczesna kobieta wyszłaby za jednego, a kochała drugiego.

Sabinka przeszyła ją spojrzeniem zdumionych oczu.

— Ty zrobiłabyś tak na mojem miejscu.....?

— Tego nie powiedziałam — rejterowała pani Maryla, pojmując dobrze, że takie rzeczy robi się wprawdzie, ale się tego nie proklamuje głośno.

Radziła ona Sabince to, co kazała jej.... uczciwość, gdyż takie rozwiązanie problematu poczytywała za wykwit rozumu życiowego.

— Rozejrzyj się po świecie i odpowiedz mi, czy tak nie urządza się niejedna kobieta.

— Nie mam słów... Nie jestem wcale nowoczesną kobietą, co cię tak martwi. To jest coś tak nadwyraz ohydnego....

Próbowała wmyślić się, wczuć w to i, wręcz przerażona, odepchnęła od siebie.

— To całkiem niemożliwe, niewykonalne!... Ach, okropność.

„Za młoda nato...“ pomyślała sobie doświadczona niewiasta i poczęła półgębkiem gorszyć się zepsuciem w wielkich środowiskach, nie czując, jak bardzo jej z tem zgorszeniem nie do twarzy.

Podniosły się z ziemi i ruszyły dalej wgórę. Niebawem odsłonił się widok na przytulony do zalesionej góry zespół trzech ogromnych, białych gmachów mieszkalnych z kolumnami, werandami i tarasem, wznoszącym się nieznacznie nad rozległą, krzewami i kwiatami ubarwioną platformą, przed którą rozpościerał się daleki, wspaniały obraz pobrzeża, jednej ze Złotych wysp, oraz bezmiarów morza. Prześlicznie położony a z komfortem i zbytkiem urządzony, ten kompleks przeznaczony jest wyłącznie dla oficerów francuskich, głównie inwalidów i rekonwalescentów.

Dwie panie, obce a nie odwiedzające nikogo, nie

śmiały zapuścić się przed front gmachów, gdzie snuło się kilka figur w cywilnych ubraniach. Zachwycając się pięknym, a w tem zaciszu nieoczekiwanym zakładem, postępowały bocznym chodnikiem, by, okrążywszy gmach, dostać się na grzbiet góry i ogarnąć okiem malowniczą panoramę. Ujrzały wpobliżu leżak, na którym spoczywał blady, wychudzony oficer. Może od lat umierał tam, gasł powoli w obliczu czarownych błękitów. Uczepił się ciekawem spojrzeniem Sabinki i towarzyszył jej, aż znikła za węgłem budowli.

Zdjął ją ogromny żal nad nim. Pomyślała sobie, że i Julјan mógł był odnieść ciężkie rany i tak samo dogorywać gdzie w odludziu górskiem, zapadać się w mroki grobowe. I czuła, że w tym razie rzuciłaby rodziców bez chwili wahania i pośpieszyła do niego. Całem jej szczęściem byłoby być przy nim, pielęgnować go i umierać z tym najukochańszym. Jednocześnie podniosła się w niej wielka tęsknota za nim, i łzy zakręciły się w jej oczach.

A jednak istniały kobiety, co umiały obdzielać sobą mężczyzn, uzgodniać uczucie z interesem, co Panu Bogu zapalały świeczkę i djabłu ogarek. Znów zafermentował w niej moralny bunt przeciwko recepcie życiowej, jaką podawała jej kuzynka, i nagle napadło ją straszne przypuszczenie.

— Marylko, powiedz mi prawdę! czy nie zaleciła ci mama, abyś podsunęła mi tę praktyczną myśl?...

Oczywiście, pani Maryla zaprzeczyła gromko, a Sabinka uwierzyła tem pochopniej, że czuła, iż wstręt zdjąłby ją do matki, gdyby rzeczywiście taką kompromisową wskazywała jej drogę wyjścia z tej sytuacji.

Jednak nie była daleka od prawdy, gdyż, odłożywszy nabok piękne okazowe zasady, hrabina byłaby raczej zamknęła jedno i drugie oko na kochanka, a nawet na kochanków księżnej, aniżeli kochanka, nazwiskiem Zawoja, oglądała przed ołtarzem z hrabianką Morecką.

— Cóż ty poczniesz wobec tego, że mama ani cię nie wyposaży, ani nie udzieli ci swego błogosławieństwa? — zagadnęła ją ciekawie kuzynka.

— Ach, już mi to wszystko obmierzło. Jeśli mama nie przekona się do pana Juljana i nie zgodzi się na nasz związek... to będzie musiało być i tak dobrze.

Pani Maryla zerknęła na nią żywo, i zdawało się jej, że w profilu Sabinki odkrywa tę samą stanowczość, co w rysach jej matki.

— Nie chciałabyś się wyrzec go za nic?

— Za nic!... Ale to nie, że ja nie chcę — ja poprostu nie mogłabym wyrzec się go za nic. To jest sto razy niemożliwe, nawet gdybym nie wiedziała, że on beze mnie nie może żyć.

— Szalenie go kochasz... — wyszeptała zdumiona pani Maryla.

A Sabinka, jakby chcąc ujawnić swoją naiwną wiarę w ludzi, odparła:

— Ciekawam, co ty mówiłabyś i zrobiła, gdyby pan Juljan ciebie tak pokochał... Czy nie kochałabyś go także „szalenie“?

Pani Kromiczowa nie miała najmniejszej wątpliwości. O, kochałaby go szalenie — tak szalenie, że poszłaby najpierw za popędem krwi, a potem za głosem

trzeźwego rozsądku. A następnie uzgodniłoby się to jakoś jedno z drugiem.

— Myślisz bardzo szlachetnie — wygłosiła jak matrona — Pan Bóg ci dopomoże....

XXV.

— Czy pan bardzo pragnie mnie zobaczyć, bardzo?... — dzwonił w telefon srebrny głosik, drgający gamą radosnych tonów. — Naprawdę? Jeśli tak, to może wyjdę dzisiaj sama krótko po trzeciej na gościniec w stronę Costebelle... Lepiej w drugą stronę? Dobrze. Dzięki czemu? Bo Marylę zabolały zęby i jedzie do Hyères... Ha! ha! Powiem jej to, powtórzę. Ból zębów jest doskonałym wynalazkiem, nietylko dla dentystów... A czy tylko pan cieszy się bardzo? Nie będzie to dla niego „ofiarą?...“ Za to ja panu uszu natrę!... Nie słucham takich głupstw! Dowidzenia! Tak, o trzeciej. Dowidzenia!...

Czy on się cieszył, pytał się figlarny dzieciak! Żadnemu młokosowi nie biło serce przed pierwszą schadzką tak radosnem tętnem, jak temu rotmistrzowi, któremu to spotkanie wydawało się pierwszem i jedynem w życiu.

W naturze mężczyzny ukrywa się iście cudowna zdolność do regeneracji moralnej przez podniosłe uczucie. Więc Juljan przeobraził się wewnętrznie doniepoznania, i w duszy jego kwitły przedziwnie świeże kwiaty uczuć. Sam śmiał się ze swej „naiwności“ i tłumaczył sobie to poniekąd tem, że ze splotów pokusy,

jaką była pani Ella, wyszedł tak zwycięsko. Za to odbierał nagrodę w spotęgowanej, wiośnianej radości.

Na spotkanie ze swą dziewczyną czekał bodaj wieczność i pojmował teraz, że istotną treść tych długich dni rozłąki stanowiła tęsknota. Wszystko było jasne i naturalne, i to, że nie mógł bez niej żyć, że życie jego rozpoczynało się od niej i z nią byłoby musiało się skończyć. Niepojęte było tylko, że ziemia nie drżała teraz w posadach od dreszczów radosnych, jakby przed wzejściem słońca.

Długo przed trzecią piękny popielaty samochód medjolański bez szofera zatrzymał się pod rozłożystemi konarami topolastych eukaliptusów na gościńcu, przecinającym stoki Ptasiej Góry.

Julian chodził powoli po drodze, przewiesiwszy sobie przez ramię leciusieńki jasnopopielaty płaszcz jedwabny. Uśmiechy, chichoty przelatywały mu przez duszę, i naigrawał się z „bandy tych głupich rywalów“, co pozwolili sobie sprzątnąć z przed nosa cud - kobietę. Oczywiście, papinkowaty, motylkowaty Aylesbury, który miał największe szanse podobania się Sabince, nie domyślił się wcale, że miał przed sobą świetny zadatek markizy, którą towarzystwo londyńskie obnosiłoby na rękach, a która byłaby wniosła w jego ród strumień innej, szlachetnej, słowiańskiej krwi. Zrazu olśniony, tańczył wokoło niej, lecz oczekiwał, by go ciągnięto. A Sabinka nie wychodziła naprzeciwko niego. Natomiast ciągnięto go z różnych stron, więc zgubił do niej drogę w lesie. Legrange, mózgowiec i lubieżny kochanek na zimno, zczasem oświadczyłby się o nią, lecz wpierw musiałby wyanalizować ją jak naj-

subtelniej, by... nie dowiedzieć się, że to kwiat paproci, co raz w tysiąc lat zakwita. Książę Zygmunt doszedł do ostatnich granic półmiłości, do jakiej tylko był zdolny, i czekał, by ciotka popchnęła go do ołtarza, bo nie stało jemu samemu na to dość odwagi. Najwięcej imponował Juljanowi z tej galerji... Lanzi. Ten wiedział odrazu, że ją pragnie mieć, i ruszył do celu z kopyta, naoślep. Umiał się zachwycać, pożądać, chcieć. — A że nie udała mu się ta kawaleryjska wyprawa — nie dziwota. Natrafił na kamień. Oczekiwać nie można, by Włoch miał sobie dać radę z polskim chłopem....

Spozierając raz po raz na zegarek, Juljan począł się obawiać, czy Sabince nie stanie co na przeszkodzie w ostatniej chwili. A potem mówił sobie, że, jeśli ona spóźni się o jaki kwadrans, będzie tą rzeczą normalną, jakby raz na zawsze przepisaną dla kobiet w takich razach, jeśli zaś stawi się punktualnie, oznaczać to będzie, że ogromnie rozkochana i stęskniona nie chce tego ujawnić przez jakąś ambicję, czy politykę niewieścią. Gdyby miała wyłonić się z lasu przed oznaczoną godziną, to nie chodzi po ziemi, lecz leci doń na skrzydłach miłości bez pamięci.

Dwanaście minut do trzeciej. Nie, nie przyjdzie ani minuty wcześniej. Przeszybował opodal niego tramwaj elektryczny z Tulonu do Hyères. Mógł wracać nim ktoś z mieszkańców San Salvadour i, spostrzegłszy ją idącą w stronę gościńca, domyślić się, iż zdąża do niego na schadzkę. Ale czy ona przyjdzie?... Ośm minut do trzeciej. Od hotelu do tego miejsca miała dziesięć minut drogi. On to wiedział. Przeszedł bowiem raz tę

przestrzeń w czasie, gdy nie spodziewał się spotkać pań, niby złodziej, co zapoznaje się z terenem projektowanej akcji.

Cisza w lasku, na drodze żywej duszy. Spóźni się z pewnością. Lecz coś zabieliło się między pniami drzew... Sarenka. Sarenka! Przebierała szybko zgrabnemi nóżętami, przeskoczyła nikły rów przy gościńcu, wyróżowiona od wzruszenia buzia drżała w uśmiechu. Ona nie miałaby przylecieć przed oznaczoną godziną? To najukochańsze stworzenie...

Porwała ich radość życia, niosła magnetycznym, rwącym prądem, i lecieli ku sobie na promieniach swych źrenic. A gdy spotkały się ich ręce i piersi zbliżyły wzajemnie, zamarły na moment drżące serca, i nie mogli wymówić ni słowa. To był „on". To „ona". Utonęli w rozblaskach zachwyconych, zdumionych, zakochanych swych oczu i, drżąc lekko od stóp do głów, witali się złotemi uśmiechami szczęścia.

Juljan chciał pochwycić ją w ramiona, lecz dziewczyna w nastroju chochlika zadzwoniła na alarm z dziecinną przekorą:

— Nie, nie wolno... Dopiero po ślubie. — A jednocześnie szalenie zakochane oczy zdradzały ją, krzycząc coś zgoła innego. Więc Juljan roześmiał się z tego, niby z żartu, wiedząc, że gdy kobieta mówi: „nie" ostrym, surowym tonem, to znaczy tyle co: „może być", gdy wypowiada to słabym głosem, to znaczy „tak", a „tak" nie mówi nigdy.

Nie wątpił przeto, że drakońskie prawo nie będzie wcale bez licznych wyjątków. Zresztą po pierwszem „nie" głos jej załamał się, zachwiała się i poczęła nie-

jako przepraszać go za swą odporność przymilną modulacją głosu tak, iż wyszło z tego ostatecznie: „później, niedługo, z pewnością i... bardzo“.

— Tak śpieszyłam się — wyznała z naiwnością dziewczyna, która nie wiedziała dotąd, co to schadzka. — Nie czekał pan długo? I teraz cieszy się pan, że jestem przy nim?...

Pragnęła, by cieszył się do nieprzytomności, by zapamiętywał się w radości jak ona. A że on całkiem schłopięciał, więc oboje kąpali się w słonecznej, dzikiej uciesze, niby wróble, trzepoczące się w piasku. Po licach jej migotały blaski błyskawiczne, bezwiednie ściskała jego ręce, a Juljan całował je, pastwił się nad niemi za karę, za okrucieństwo ich właścicielki. Przytem ona coś świergotała, on odpowiadał odruchowo, ona śmiała się i on śmiał się. Elektryzowana dotykiem i ciepłem jego warg, próbowała odebrać mu ręce, lecz to nie szło. Więc śmiał się i ona się śmiała. Byli zgoła nieprzytomni.

— Gdyby mnie kto zoczył... — rozejrzała się dokoła.

— To nie poznałby pani — zawołał i zarzucił na granatowy żakiecik lekki jak puch płaszcz, zapiął go pod szyję, a na biały, zwieszający się na ucho, beret bretoński wciągnął kapiszon tak, iż z perłowego domina wyzierała tylko różowo-biała buzia z ciemnemi brwiami.

— Jak on to przewidział... — podziękowała ślicznie, a gdy zbliżyli się do samochodu, zawołała niby w oburzeniu:

— Czyż to nie szaleństwo!?

Bo na poduszce, na której miała spocząć, posiano luźno różyczki i goździki, tam, gdzie miała stąpnąć, słały się mieczniki, irysy i liście, a na wezgłowiu spleciony warkocz gwiaździstych margaretek, przetykany kwiatami o gorących barwach.

Zachwycona dziewczyna dziękowała mu uściskami dłoni i czułem spojrzeniem, mówiąc:

— Gniewam się. To szaleństwo.

Samochód popędził ostro po jasnopopielatej taśmie, wypadł z pod konarów, dostał się między grube i wysokie wały chróstów, ubarwionych kwieciem, a wiatr przynosił im fale różanych zapachów od pól kwiatowych, które rozpościerały się z obu stron gościńca, zabezpieczone trochę przed kurzawą przez gęste chrósty. Mignęły domki ogrodników, zaszkliły się inspekty. Obraz znikł. Drzewa oskrzydliły ich na chwilę, omroczyły, by przygotować wzrok na nowy obraz.

— Dokąd? Dokąd on mnie tak wiezie...? — zanuciła upojona dziewczyna, nie oczekując odpowiedzi. Wiedziała przecież, że pędzą jak ptaki — w słońce.

Wóz wyjrzał z pośród drzew i zawisł nad ogromną, wspaniałą panoramą winnic.

Doniedawna jeszcze martwe, karłowate, chropawe, jakby zgoła bezwartościowe patyki, powtykane miarowo w ziemię, zieleniły się teraz od seledynowych pędów i liści majowych. Na środkowej linji gazonów sterczały na całej równinie planowo rozwieszone drzewka, albo raczej drzewca nagie, na których powsadzano olbrzymie kule listowia, szczelnie okapturzone naprzemian białem, migdałowem i różowem, brzoskwiniowem kwieciem. Jak daleko sięgnąć okiem, kraj po-

siany był takiemi olbrzymiemi bukietami, co rozwinęły się na komendę Flory, by zdało się szczęśliwej dziewczynie, że cała ziemia pospołu z nią rozkwita radością życia i dla niej wydała tysiące bukietów ślubnych.

— Ach, jak ślicznie, jak ślicznie... — zachwyt przelewał się z ust Sabinki.

Wóz zatrzymał się na chwilę, i oboje zaśmiali się do cudnego świata triumfująco: Wiosna! Wiosna!

— Czy widzi pani za tą orgją kwiatów tę kopulastą wyniosłość z ruinami na szczycie? To La Garde, ongi strażnica i ostoja Saracenów, dziś malownicza, przemiła osada z kopalnią porfiru. Za nią Tulon — objaśniał Juljan. — A tam od północy te błękitnawe, miękkie kontury gór — to góry Maurów, nie tak piękne, jak nasze Karpaty, zgoła inne, skromniejsze, ale bardzo sielskie, miłe, z długiemi roztokami, alejami platanowemi, gajami oliwnemi, ruinami klasztorów, minjaturowemi osiedlami, jakby w epoce Napoleona I zakrzepłemi, i wreszcie bezkresnemi wzgórzami świerkowemi.... Pisałem pani, jak tam spędziłem święta bardzo sam, a w istocie... z panią. Straszne było tylko, że, chociaż pani była tak blisko, niby ślepiec nie mogłem jej nigdzie zobaczyć na oczy.

— Ach... Dziękuję za ten list śliczny i za te myśli. Nie potrafię opowiedzieć tak, jak syn trubadurów, co i jak myślałam...

— A jednak jeden uśmiech pani, jedno spojrzenie tych uroczych oczu stokroć jest piękniejsze od najpiękniejszych myśli.

Samochód pomknął, zboczył z gościńca w lewo w kie-

runku posępnej, stożkowatej, czarnej góry, zwanej La Colle Noire, będącej najwięcej na wschód wysuniętym fortem fortecy tulońskiej. Przebiegłszy uroczą aleję, złożoną z niskich palm, przeplatanych bujnemi drzewami mimozy, obwieszonemi gronami złotych korali, dostali się w cienistą, snać przez nikogo nie odwiedzaną, zarosłą drogę, wijącą się po stokach tej góry. Wehikuł wspiął się, zanurzył w las, i powitał ich tam nowy, zgoła odmienny od obrazu wiosny, tak świetnego kolorystycznie, a niemniej zachwycający widok.

Wstąpili niespodzianie w uroczyste pomrocze gigantycznych drzew, odwiecznych, krzewami podszytych pinij, których hen wysoko rozpięte wierzchołki przysłaniały błękity niebios i słońce. Chłód panował dookoła. Zdało się im, że w królestwie kwiatów rozwieszono przed nimi nagle obraz ze świata baśni, i ukazała się im olbrzymia świątynia, pełna ścigłych jak maszty, niebotycznych kolumn, podtrzymujących płaski dach. W tajemniczem tem uroczysku unosiła się, niby cicha sowa, myśl jakaś romantyczna i rodziła się prowansalska romanca.

— Ach, jak pięknie... — wyszeptała znów przejęta dziewczyna, składając dłonie modlitewnie i, inaczej nastrojona, miała wrażenie, że za moment ujrzy mury feudalnego zamczyska, do którego on ją uwozi — oczarowaną brankę.

— O, to wszystko może nie istnieje wcale, tylko pan to tak stworzył dla mnie...

— Tak, tak — zawołał w odzew i nie mówił nic więcej, gdyż trzeba było powoli i ostrożnie przesadzać grube, fantastycznie poskręcane korzenie na wilgotnem,

stromo spadającem karpowisku. Stanęli. Morze. Między masztami krańcowych drzew niebieściły się lustrzane rozłogi. Tuż przed nimi srożyła się skała, zwieszająca się nad wodą i tworząca estradę. Od zaczątków jej ciągnęła się wzdłuż brzegu skalna krawędź, wzniesiona o metr czy dwa nad żwiry, drobnemi głazami poznaczone.

Sabinka wyskoczyła z wozu, zrzuciła z siebie płaszcz i granatowy żakiecik. Nie odważyła się ubrać na schadzkę efektowniej, jak byłaby pragnęła, z obawy, by pani matka nie wpadła na niepotrzebne przypuszczenia. Więc zapragnęła pokazać Juljanowi śnieżną bluzkę, naszytą fantastycznemi arabeskami złotemi, a przytem pokutowała w jej podświadomości chęć olśnienia go alabastrem nagich, ładnie utoczonych ramion.

Juljan był zbyt rutynowanym i subtelnym salonowcem, by nie miał odgadnąć, czego oczekuje odeń jej kobiecość. Począł przeto unosić się nad tym stanikiem, dociekać, z jakiego jest materjału, oraz wychwalać krój plisowanej sukienki, istotnie wdzięcznie uwydatniającej linję jej bioder i nóg.

— Niech pan nie udaje, że się pan zna na tem — parsknęła śmiechem zadowolenia i odbiegła od jego boku.

Puściła się z opoczystego gzymsu nad wodę. Snać piorun uderzył tam kiedyś w skałę i rozbił ją na miazgę, więc z krawędzi pobrzeża spadało, niby daszek, rumowisko płaskich, łupkowatych klepek kamiennych. I gdy Sabinka wstąpiła na mirjady tych łupków, jęły one usuwać się z pod żółtych półbucików, staczać się z cichym chrzęstem i pociągać ją z sobą. Więc ślizgała się, chwia-

ła na nogach, a to tak spodobało się jej, że w płochem rozochoceniu dziewczynki poczęła udawać, że upada i boi ogromnie.

— Rety! Rety! Spadam!... Ratunku!

Niedługo na ratunek czekała. Juljan podał jej rękę, i oboje na odległość ramion, niby to podtrzymując się a w istocie szarpiąc zdradziecko, schodzili, spadali w ten sposób społem po csypiskach tak, by trwało to jak najdłużej. A śmiechów i krzyków było przytem bezliku.

Dwoje niefrasobliwych dzieciaków! Jakby nie mieli przed sobą najdonioślejszych, palących kwestyj życiowych, w zupełnej beztrosce nimf, nereid, faunów i trytonów oddawali się płochym zbytkom i igraszkom.

Nie miało to skończyć się tak szybko. Sabinka. musiała wyładować z siebie żywiołową, dziewczęcą radość z tego, że jest z nim. Stanąwszy na brzegu, poczęła z zapałem ciskać ukośnie na ciche lustro wód płaskie kamyki czyli puszczać „kaczki". Znalazł się współzawodnik, i wywiązała się gra.

— Mam teraz trzy „kaczki", a pan tylko dwie. Aha! — śmiała się buzia i błyskały klawjatury ząbków.

— A jak teraz puszczę na wodę cztery?...

— To i tak pan przegra. Bo na początku miał pan dwukrotnie zero i wielki wstyd.

Nad tym „wielkim wstydem" Juljan zanosił się od śmiechu i nie mógł się uspokoić. Nurzał się w kryniczznem zdrojowisku naiwności dziewczęcej, którą ten dzieciak przesączał go tak skutecznie.

Powrót z tej ekspedycji był połączony z niemałem niebezpieczeństwem. Niegodziwe, śliskie łupki wcale nie chciały służyć im za podstawę; rwały się z pod

stóp. Więc Juljan zarył prawy but głęboko w to rumowisko i, słaniając się na nie całem ciałem, jął ciągnąć ją za rękę wgórę, przyczem wydawał okrzyki holującego berlinkę. A że psotny chochlik odepchnął raptem jego rękę, więc legł jak długi na tem posłaniu i o mało nie stoczył się, nie skoziołkował gwoli zabawy nadół, co oczywiście niesłychaną sprawiło uciechę dzieciakowi. Porwała ją ochota, by pokulać zgóry, zepchnąć na żwir tę jasnopopielatą kłodę z pod nóg, lecz uświadomiła sobie, że to mężczyzna, zawstydziła się czegoś i przestraszyła trochę, że... nie przestrasza jej nic a nic taki duży, miąższy, zwalisty potwór, co mógłby pożreć niebożątko na tem obłękitnionem pustkowiu. Uśmiali się dosyta, jak tylko puste dzieciaki śmiać się potrafią. Lecz skończyło się to nieco groźnym wypadkiem.

Gdy wreszcie Juljan siadł na zrębie skalistego brzegu, a Sabinka, gramoląc się wgórę, zerknęła, miasto przed siebie, w żebrzące o coś jego źrenice, figlarne klepki raz jeszcze usunęły się z pod jej stóp, dziewczyna zachwiała się, pośliznęła i stoczyła na kolana kawalera tak fatalnie, że nastąpiła kolizja ich ust. Aby ratować przed upadkiem, Juljan musiał opleść ją obręczami ramion, a ona ze strachu uwiesiła się na jego szyi. Pozycja ta była tak niebezpieczna, że przez długą chwilę, nie wiedząc zgoła, jak z niej wybrnąć, tworzyli zwartą, malowniczą grupę, w splocie przypominającą słynną rzeźbę Sindinga: Kisset.

Oczywiście stało się to wszystko z jego winy, lecz Sabinka zignorowała całe to przykre zajście, chociaż tak była zagniewana, że zarumieniona i zadyszana z oburzenia nie spojrzała nań przez pewien czas.

Instynktem jakimś wiedziona, zwróciła się do samochodu, jakby chcąc już odjeżdżać. Lecz myśli wzięły inny obrót. Ukazał się przed nią liśćmi wysłany koszyk z najróżniejszemi owocami. Juljan, wybierając dla niej najładniejsze truskawki, zagadnął:

— Od ojca pani nie było depeszy z drogi?

— Była, z Wiednia. Oczekujemy go jutro wieczorem lub pojutrze.

— Zaczynam się lękać tego enigmatycznego tatusia pani. Jeśli on panią ze mną rozdzieli?...

— Rozdzieli?... — zawołała poważnym tonem. — Czy pana mogłoby cośkolwiek rozdzielić ze mną?

— Nie. Pani zabrała mnie dobrem prawem i przykuła do siebie.

— Zabrałam. To prawda. Ale czy pan przypuszcza, że nic mu nie oddaję ze swej strony?... Ja i moje życie należą tak samo do pana, jak pan do mnie, i nic mnie z panem nie rozdzieli...

Wobec mglistego niebezpieczeństwa, nadciągającego w postaci jej ojca, pragnął to jeszcze posłyszeć, upewnić się, uspokoić obawy, jakie chwilami sceptycyzm starał się w nim wzbudzić. I odsłoniło się przed nim raz jeszcze kryształowe lustro duszy tej niesamowitej dziewczyny, która w istocie, wyrzekłszy: „Twoja jestem“, zapadła się w studnię, czy też bez cienia zastrzeżeń rzuciła się na całopalenie.

Jakby chcąc przeprosić ją za niegodne wątpliwości, całował jej ręce i mówił:

— A jeśli ojciec pani podpisze decyzję mamy, co będzie?... Myślała pani o tem?

— Myślałam. Nie myślałam — poprawiła się i do-

dała z zupełnym spokojem i przedziwną prostotą: — Nie myślałam, bo w tym razie tak się stanie, jak pan postanowi.

Sięgnęła do koszyczka po truskawkę.

— Więc ja zaraz wyłożę, co i jak będzie — wyrzucił dobitnie. — Ojciec pani przybędzie najpóźniej w piątek. Przypuszczalnie w ciągu doby wyrzeknie swoje słowo w naszej sprawie. Niewielka, niestety, nadzieja, by stanął po naszej stronie. Więc w sobotę, jak dzisiaj, około trzeciej sarenka wyjrzy z lasku na gościniec i wskoczy w samochód, który zawiezie ją przez Marsylję do... Arles.

— Sarenkę samą?... — figlarny uśmiech zatrzepotał na buzi.

— Nie całkiem samą... Z tym szoferem, co dzisiaj...

Zerknęła w łobuzowskie oczy junaka i na malinowych wargach zadrgał uśmiech, zdradzający, że plan ten posiadał dla niej niemały urok.

— Dlaczego do Arles?

— Nikt nie wpadnie na myśl, że schroniliśmy się akurat do małej, zapomnianej stolicy Prowancji. A ja mam tam wpobliżu wuja, nauczyciela, mieszkającego w swej winnicy. Obiecuję sobie z jego strony skuteczną pomoc przy poszukiwaniu księdza, który nam da ślub... To jednak coś znaczyć będzie, gdy za nieznaną parą wstawi się miejscowy obywatel. Może ksiądz dzięki temu przeoczy brak takiego lub owego dokumentu osobistego i przejdzie ponad niejedną formalnością— do ołtarza.

— On mnie wykradnie... — wyśpiewała cicho, zapatrzona w toń jego fascynujących oczu. — A ja nie

będę się bronić... Czemu on rzucił na mnie taki czar?

— Gdzie niema czaru, niema miłości...

— Taki czar, że nie widzę życia bez niego... Taki czar, że ufam mu bez granic... i nie boję się już prawie wcale.

— A czemu sarenka bała się?

— Bo on jest lampart, czy też smok. Wie pan, że pan jest groźny, brzydki smok?... Jak mu kto wejdzie w drogę, to gotów zabijać. A jak pocznie kobietę omotowywać swemi spojrzeniami, ciągnąć w jakąś topiel, to ten okropny smok duszę jej zabiera. Potwór przebrzydły... — przeciągała słowa zalotnie, a z pieściwego głosu szły dreszcze w miodzie roztopionej namiętności.

— A teraz sarenka nie boi się już smoka? — śmiał się.

— Nie tak bardzo, bo gdy na niego ładnie popatrzę, smok zaraz przemienia się w anioła.

— Cudo moje! — trysło, i zachybotali się oboje na jednej fali miłosnej, skuci blaskami swych źrenic, rozświetleni wzajemnem uwielbieniem. Juljan porwał jej rączki i z gryzącą żądzą pocałunków mówił jej:

— Pani wie, co pani jest?... Gróżna, bezlitosna, przebrzydła bałamutka, co, gdy na chłopca popatrzy, to go w jassyr bierze. Okropne stworzenie, którego miodopłynne usta trzeba koniecznie zamurować...

— Nie, nie... — prosiła pokornie, dziecinnie i figlarnie, uciekając od niego oczyma i niby bardzo lękając się owego zamurowania.

— Panno Sabino! — zawołał nagle rozwichrzony junak. — Nacóż my czekamy? Wsiadajmy natychmiast w ten wóz i jazda w świat!

Czarowny uśmiech przeleciał po białych różach lic. Co za szczęście być tak pożądaną! Nie byłaby zdobyła się na „nie“, gdyby nie istniał hamulec. Przymilnym ruchem kotki, kładąc dłonie na jego piersi perswadowała:

— A ojciec?... Proszę o te trzy dni.

— Złota moja, czemu wystawiać się na tę bezowocną rozprawę z ojcem? Czemu zwlekać? Każdy dzień za długo... Czyż nie jesteśmy w sercach poślubieni stokrotnie?...

— Och, nie prosić tak ślicznie... To byłoby z mej strony niegodziwie, gdybym, nie czekając na ojca... Może nic nie wskóram. Tak myliłam się w przewidywaniach dotąd. Nie znam ojca. Tak trudno odgadnąć, co on myśli. Jednakże muszę go zobaczyć, spróbować. Wyznam mu wszystko, jak byłabym wyspowiadała się mamie, gdyby nie była mnie odtrąciła. Może on mnie wysłucha... Czy pan mnie rozumie?

— Rozumiem — odparł z rezygnacją, a zarazem z uznaniem dla jej lojalności względem ojca. — A jeśli ojciec wywiezie panią zaraz do Wielkowyska?

— To pan dowie się o tem niezwłocznie.

Pochyliła się nad koszyczkiem z truskawkami. Dziwnie brzmiała w jej uchu jego uwaga o ich „stokrotnem poślubieniu“, chociaż nie przeczyła temu i w sercu czuła się jego żoną. Nasuwało to jej mgliste przewidywania. Nie umiała jednak i nie śmiała ich sformułować.

— Teraz pan mi powie, dokąd smok zabierze mnie po ślubie.

XXVI

Ruszyli żółwim krokiem wzdłuż cienistego skraju lasu, wznoszącego się po stokach Czarnej Góry wyżej i wyżej, posianego zrzadka smukłemi stożkami jałowca, krzewami głogu i paproci. Podpierała te stoki piętrząca się z grandezzą skarpa skalna, a u stóp jej spoczywały jakby omszałe bryły kwarcowe, godne ramion cyklopa, niekiedy pokryte snopami nagromadzonych grzybieniów błotnych i przegniłych wodorostów, tworząc wądoły, w które z bulgotem wlewały się wirzyska nikłych fal kryształowych, osadzających się wstęgami żółtawej piany.

Juljan, ufny w swą gwiazdę, ogromnie pewien siebie, a lekkomyślny, nie frasował się o przyszłość, chociaż Pomiarowice usunęły mu się z pod nóg i to psuło mu rachunek. Musiał oprzeć wspólne jutro wyłącznie na sobie. Miał zgórą miljon franków. Dla szulera z Cercle Nautique nie było to wiele, skoro jednak począł rozważać kategorjami burżuazyjnemi: co za taki miljon można mieć, zrozumiał, że mieli oboje byt zapewniony na kilka lat.

Lecz on postanowił zreformować swe życie odrazu, jąć się pracy, budować podwaliny wspólnej przyszłości, nie oglądając się na nikogo, a nie wyrzucać już pieniędzy pełnemi garściami. O wojskowości nie mógł myśleć. Trzeba było szukać drogi do dobrobytu, jeśli nie do majątku. Wszelako przy zgoła wyjątkowych stosunkach, przy inteligencji i energji, które ujmującemu i imponującemu człowiekowi jednały ogólne zaufanie, miał istotnie niejedno pole otwarte do za-

robkowania. Majaczyły przed nim nawet świetne perspektywy. Wymagało to wszakże czasu, spokojnego rozejrzenia się w tych możliwościach zbliska. Aby przez ten orjentacyjny okres nie próżnować, nie błąkać się bez busoli, chciał brać na początek, co miał pod ręką, i przystąpić jak najprędzej do warsztatu pracy. Tak radził rozsądek.

Jednakże na tem stanowisku, jakie postanowił objąć, nie mógłby stworzyć dla Sabinki warunków bytowania, odpowiadających ani w przybliżeniu temu, co dawał jej dom rodzicielski. Więc lękał się, jak ona przyjmie jego zamiary, a jeszcze więcej tego, by szare życie nie zamroczyło raju ich miłości, by nie czuła się zdeklasowaną. Uzależnił przeto decyzję od niej.

W takich drażliwych momentach zwykł był z chwackiem, rycerskiem zacięciem rąbać zgóry, stawiać rzecz jasno, jakby waląc pięścią w stół. Więc ozwał się:

— Czy pani zdaje sobie sprawę z tego, że za mnie wyrzeka się pani pięknych Pomiarowic?...

— Ach, jaka szkoda, że mama nie chce nam oddać tego majątku. Ja bardzo lubię Pomiarowice. Takby tam panu się podobało. Taki piękny pałacyk, jakby dla pana — westchnęła, wcale tak bardzo utratą majątku nieprzejęta. Zdało się, że chodzi tylko o psa-faworyta.

Juljan zrozumiał, że ta dziewczyna, nie dotykając się nigdy spraw majątkowych i nie brukając myśli pożądliwemi spekulacjami — zachowując dzięki temu idealną linję pojęciową i liljową czystość duszy — niedocenia wcale ogromnej różnicy, jaką to musiało

sprawiać w ich położeniu, i nie liczy się z rzeczywistością, patrząc w jutro przez różowy pryzmat miłości.

Miał przed sobą zadanie niesłychanie trudne; zrealizować, wcielić w szarą prozę życia ich idyllę tak, by nie uleciała z niej woń rajskich kwiatów. Nosił w sobie zatem zaskórny lęk i raz jeszcze otworzył jej oczy na rzeczywistość, przygwoździł sprawę.

— To strata dla pani wielka.

— I dla pana. Pan stworzony dla Pomiarowic... Ale nie można mieć wszystkiego.

— Tak filozoficznie bierze to sarenka — zaśmiał się rozpromieniony.

— A widzi pan! — zabrzmiał wesoły odzew.

— Gwałtu, rety. To ja taką strasznie rozsądną będę miał żonę?... A czy pani uświadamia sobie, że, chociażbym miał cudów dokonać w życiu, nigdy nie zdołam jej osadzić w historycznym zamku książęcym?

— Ach, jak mnie ten smok nic nie zna. Nie jestem przecież podobną do tych Amerykanek z Cannes, których główną przyjemnością jest wyrzucanie pieniędzy. Dla mnie luksus nie jest niezbędny, a tego karnawału w Cannes miałam już za wiele. Gdy mam tańczyć cztery, pięć razy na tydzień to... poczynam tęsknić za Wielkowyskiem. Mówiłam to panu. Ale nic jeszcze nie wiem, dokąd ten smok mnie zabierze...

— Ukryję panią w jaskini karpackiej... Powiem od początku. Z Arles pojedziemy rzemiennym dyszlem przez Szwajcarję i Tyrol w... Karpaty. Nietylko dlatego, by nasza sielanka była zupełna... Mam różne plany, ale czeka mnie tam każdego dnia stanowisko prawej ręki dyrektora kopalni ropy i wosku ziemne-

go. Mój przyjaciel roztacza przede mną piękne horoskopy, nęci mnie. Zobaczę. Uda się — dobrze, a nie— może jeszcze lepiej. Bo na widnokręgu widzę wielkie rzeczy. Jakoś tam będzie w tych miłych Karpatach. Niekiedy samochód zawiezie nas do mych bardzo sympatycznych znajomych pod Buczaczem. Zimą będziemy saneczkowali. Może mója królowa zechce ze mną nartować. Potem wyfruniemy do Egiptu i będziemy tańczyli razem shimmy pod piramidami lub w Dolinie Królów na cześć mumji króla Tuthankamena. Dobrze?

— Dobrze, bardzo chętnie. To dla pana jeszcze więcej, niż dla mnie, bo pan zgoła nie mógłby istnieć bez wielkiego świata.

— To prawda. Potrafię dobrze udawać jaskiniowca wśród natury, ale uciekać całkiem od świata byłoby grzechem także ze względu na panią. Młoda moja królowa nie może być skazana na ciągłą bukolikę; musi poznać życie i sama zaświecić światu. Zwłaszcza, że w Karpatach będzie przerażająco skromnie.

— Jak będzie?

— Domek biały, tylko o pięciu czy sześciu pokojach, (urządzimy go gustownie), kucharka, pokojówka, fortepian, konik i kabrjolet, sukienek, ile pani zechce, dużo ptactwa, ulubionego przez sarenkę, wierny pies i... nic więcej.

— I pan! I pan!

— Ja, to ten wierny pies.

— Ach, dobrze będzie w tem zaciszu, jakby tutaj... Niech pan nie patrzy na mnie tak niedowierzająco swemi smoczemi oczyma. Lecz czy pan wżyje się w

skromne warunki?... Doprawdy nie mogę wyobrazić go sobie bez kilku wierzchowców, bez salonów, świetnego towarzystwa, co nosiłoby go na rękach...

Zaśmiał się, ogromnie zadowolony, że ów biały domek nie odpychał jej wcale. Jeszcze jednak nie chciał wierzyć, jeszcze ją indagował, aż zawołała:

— Mówiłam: ten smok wcale mnie nie zna. Powiem, co przypomina mi się w tej chwili. Córka naszej gospodyni w Wielkowysku wyszła zamąż dwa lata temu za rządcę naszego odległego folwarku. Odwiedzam ją, bo lubię ją od dziecka. Mieszka w białym domku wśród kur i kaczek. Zlustrowałam jej gospodarstwo, poznałam jej codzienne życie i mówiłam sobie, że na jej miejscu mogłabym czuć się bardzo szczęśliwa przy boku ukochanego męża... Jedno mnie u Zosi raziło. Niedość porządna, chociaż posługi ma dosyć. I dziecka nie utrzymuje dość czysto. Taki miły dzieciaczek. Pomagałam jej przy dziecku i wypaliłam jej takie kazanie!...

Patrzał na nią, jakby na pełną rezonu dziewczynkę, udającą gosposię. Lecz ona, stropiona, rzekła:

— Ale ja będę dla pana ciężarem...

— Panno Sabino! — zaprotestował. — Jeśli pani ma być dla mnie ciężarem, to dalibóg takim, jakiego potrzeba dzikiemu bachmatowi, by go ustatkować, okiełznać, poskromić i zamienić w użyteczne stworzenie. Ja już dzisiaj myślę inaczej o wszystkiem... I jaki to ciężar, który nie przygniata do ziemi, lecz podnosi do nieba! Co to za ciężar, który nazywa się „szczęście“?...

Uwielbienie wyjrzało z chabrowych głębin.

— A skoro pomyślę sobie, jak pani krzątać się będzie po tych naszych pokoikach... Doprawdy, pani jest nieprawdopodobna.

Śmiech był odpowiedzią.

— Najpierw byłam tylko „śliczna, urocza, czarująca“. Nic więcej. Excusez du peu... Potem awansowałam na „czarodziejkę“, potem na „cudo“ i na „anioła“. Wreszcie nawet na... ha! ha! sarenkę! A teraz stałam się już nieprawdopodobna...

Nagle zdjęło ją rozczulenie nad tą girlandą wyrecytowanych zachwytów, i z wdzięcznego serca wylało się:

— A w tem wszystkiem tyle jest prawdy, że... on mnie trochę kocha...

Całe serce wysłała mu zato w spojrzeniu i przytuliła się do jego piersi, drżąc ze wzruszenia. Gdy oderwała się od niego, rozejrzała się dookoła, jakby uprzytomniając sobie, gdzie się znajduje.

Byli u szczytu skalnego urwiska. Dalszą drogę zapierała im nieprzenikalna gęstwina drzew. Kłębiły się tam przebogate kiście mimozy, delikatne gałęzie krzaczastych cyprysów, do akacyj podobnych, i piękne modrzewie. Wszystko to zbratane zapoczątkowywało jakiś nad morzem rozpostarty ogród i przysłaniało im widok na wschód. Natomiast z drugiej strony słał się przed nimi z wyżyny daleki obraz zygzakowatego, w fantastyczne arabeski poszarpanego wybrzeża, lamowanego zielenią. Widniały na niem sieci rybackie, dziobate cyple fortec skalnych, ściany skał, porozdzierane smoczemi kłami, wały jaśminów i berberysów. W wolnej od wilgoci atmosferze znaczył się

wyraźnie wjazd do wspaniałego portu tulońskiego. Dwie monumentalne latarnie morskie wyrastały z murów, chroniących przystań przed zapiaszczeniem, a od południa wznosił się górzysty półwysep, długiem ramieniem oskrzydlający rozległe wody portowe.

Na morzu nie było ni łodzi, ni statków pancernych. Jedynie wdali, gdzie lazury wodne stapiały się w jedność kolorystyczną z niepokalanem sklepieniem niebios, barwiły pejzaż rdzawe plamy żagli i czerniała dymna wstęga parostatku.

Z pod stóp Sabinki poczęły rwać się głosami ludzkiemi zelektryzowane mewy, w skalistej ścianie mające schroniska. Fruwając ociężale, pokrzykiwały raz wraz. Dopraszały się żeru. Nie mając nic innego dla nich pod ręką, dziewczyna ciskała im zielone łupiny migdałów, które Juljan, siedząc na pobliskiej karpie, rozcinał scyzorykiem. W mgnieniu oka ptaki spadały na wodę, a skoro przekonały się o mistyfikacji, długo nie podrywały się. Huśtały się na fali, jakby napęczniałe oburzeniem i srodze obrażone.

— Dobrze im tak. Wstrętne łakomce — sądziła Sabinka i poczęła wysławiać wielkowyskie gołębie, które nie żebrały wcale, lecz uprzejmie prosiły, zbliżając się do człowieka przyjaźnie.

Patrząc na nią i wyłuskując migdały, Juljan myślał, że tę dziewczynę zgrabną istotnie jak sarenka, rasową jak królewna, uroczą jak wiosna, to cudo, z pączka ponsowej róży zrodzone, zawdzięczał... szalbierstwu. I zdawało mu się, że są momenty w życiu, gdy trzeba z pogwałceniem wszystkich względów i prawideł moralności chwytać wlot okazję, uśmiechającą

się czarami szczęścia. Takie zuchwałe szalbierstwo ma w sobie coś z rycerskiej brawury i bohaterskiego szału. Niekiedy, aby być szubrawcem, łajdakiem, potrzeba wręcz szalonej odwagi, na jaką może zdobyć się jedynie osobnik wściekle ambitny i gotów życie stawić na kartę.

— Na Boga, jeszcze mi pani tam spadnie — krzyknął raptem, zrywając się na nogi.

— Tak pan się o mnie boi?...

— Pytanie... Niesforna sarenka — strofował ją, gdyż istotnie lękał się o nią, niby o małe dziecko, i myśląc o ich przyszłości, drżał na myśl, że mogłaby mu zachorować.

Ujęła go pod ramię i ruszyli zpowrotem. Sabinka domagała się, by zwierzył się jej ze swych wielkich planów i nadziei, i postępowała obok niego w błogiem złudzeniu, że jako żona jego spaceruje z nim w Karpatach i wnika w sferę jego spraw i dążeń. A on miał uczucie, że przyrosło do niego jakieś czarodziejskie stworzenie, jakiś talizman szczęścia, wzbogacający go tytaniczną, mocarną potęgą. I nadmorskie to ustronie wydało im się Edenem, z powszechnej zagłady uratowanym.

Sen jej ziścił się. Był przy niej jej królewicz z bajki, co oplótł ją kwietną girlandą erotyki, porwał mocą swej imperatorskiej woli, życie swe kładł za nią na szalę. Przykuł ją do siebie magnesem płomiennych uczuć, ukołysał serenadą trubadura, upoił i pieszczotą ust gorących wycisnął na duszy jej złote piętno niewoli, i stał się życiodajnem słońcem.

W tym nastroju wnet poczęli znów śmiać się, jak-

by dzieciaki, przyczem dziewczyna raz i drugi musnęła go dłonią po twarzy, aby potem robić sobie wyrzuty.

— Okropnie jestem nierozsądna. Tak pana rozpieszczam... Dziwne, zrazu bałam się go, rzeczywiście niby smoka czy ognia, a potem popadłam w drugą ostateczność, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Wszystko, co mam na sercu, wygadam...

— To ślicznie, zwłaszcza, gdy w tem cudnem sercu takie miłe rzeczy.

— Ale on znudzi się mną, jak przeczytaną książką, zapragnie innych, chociażby tylko salonowych podbojów. Taki bałamut... Pan całował się z panną Craumer-Byng — wpadła na niego. — Niech pan nie przeczy. Nie uwierzę.

— Nie, nie. Zresztą u Angielek całowanie z t. zw. boy-friend'em, to jak u nas całowanie rączek. Nic to nie znaczy.

— Uniewinnia się... — mruknęła.

— Nie, ręczę pani, że...

— Teraz mówi nieprawdę... Strasznie jestem niemądra — westchnęła.

— Przeciwnie, pani jest jak najrozumniejsza.

— Ciekawam bardzo w czem?

— Pani kieruje się mądrym instynktem życiowym, który panią upewnia, że altruizm w miłości jest wyrafinowanym egoizmem, że kto dużo oddaje, dużo odbiera. Sarenka zdaje się wiedzieć, że, uszczęśliwiając mnie, uszczęśliwia siebie, bo zobowiązuje mnie przez to tak, że nie mogę nie odpłacać jej wdwójnasób.

— Lekceważy się, co się ma, czego się jest pewnym.

— Jeśli kto tylko kocha się w kimś. Ale mnie nie dość tego, ja kocham panią samą i nawet kocham jej miłość do mnie... Więc nie mogę nie kochać, tem goręcej, jeśli takie złote, szczere, przejrzyste kochanie oplata mnie powojami. Muszę przelicytować ją w miłości.

— Och, gdyby tak było...

— To co?

— ...To byłaby miłość, o jakiej marzyłam, taki sen, jaki on ukazał mi wówczas na balu, otwierając mi oczy na to, że to mój przyrodzony sen o szczęściu... O... Tak zupełnie wierzyć. Tak zupełnie kochać.

— Tak zupełnie, jak nasze dwa wdzięczne serca, co tworzą świat dla siebie...

— To najwyższe szczęście...

— Złota moja, czyż, biorąc rzecz praktycznie, pani dotąd źle wyszła na swej szczerości, na którą zdobyć się potrafią wyłącznie dusze wielkiej miary?... Gdyby pani z taką wręcz anielską prostotą — wynoszącą ją o niebo, o dwa nieba ponad rzesze niewiast — nie była przyniosła mi i oddała swego cudownego serca, nie byłbym w tej chwili przy niej...

— Prawda... Boże drogi, tylko to powstrzymało pana od tej szalonej jazdy, od zagłady...

— Serce pani wróciło mnie do życia... I tylko dlatego, że pani lśni i mieni się w diademie królewskiej szczerości i bezpośredniości tak, jak to dobre słońce na niebic, ścielę się w prochu przed nią, obnażam serce gorejące, jakby krzew ognisty, i śnię na jawie.

I tylko dlatego oddaję jej wszystko, wiedząc, że wszystko to jeszcze za mało za Ciebie całą... I Tobie jednej, cudo moje, tylko Tobie jednej na świecie mogę wyrzec nabożnie to dziwne słowo: kocham...

Przystanęła, usłała twarz na jego ramieniu, przymknęła powieki, pijąc całą duszą eliksir tych słów płomiennych.

— O, najukochańszy, cudowny mój. Teraz wierzę, że my będziemy zawsze szczęśliwi, chociażbyśmy mieli całe życie spędzić w tym domku karpackim...

— A na tym dworku powinien zawisnąć herb — mój herb, w którego polu stoi... sarenka, co mnie cudem wskrzesiła do życia...

— Czy, gdy będziemy mieli własny dworek, on istotnie zawiesi na niem taki herb? — zagadnęła zachwycona, zazierając mu w oczy.

— Tak sobie ślubowałem — odparł, chociaż ślubował to sobie dopiero w tej chwili.

— I nikt nie będzie wiedział, co znaczy ta sarenka — cieszyło niezmiernie dziewczynę, która miała zawsze jeszcze w duszy naiwności dziecięce. — To będzie nasz sekret. I sekretem będzie dla świata to, jak bardzo my się kochamy...

Juljan wątpił, czy to pozostanie dla ludzi tajemnicą, lecz kwestja ta schodziła na ostatni plan wobec świeżej, jakby blaskiem zorzy wyróżowionej, buzi z gwiezdnemi oczyma, która przybrała zawadjacki, łobuzerski wyraz przez to, że biały beret zwisł jeszcze więcej na lewe ucho. Patrzeć na te różowobiałe róże, odczuwać przy boku ciepło tego słodkiego chochlika, a nie całować jej, przechodziło ludzkie siły. Więc po-

chyliwszy się nad nią wyiskrzonemi oczyma, wyrzekł namiętnie:

— I nikt nic nie będzie wiedział, jeśli zamuruję te usta...

Pochwycił ją w pas, jakby parobczak Marysię, i pocałował w same usta ogniście, wściekle.

Zatrzepotała się w jego ramionach, a gdy wyplątała się z nich zadyszana i płonąca, pobiegła zgóry w stronę samochodu. Juljan puścił się w skok za migocącą między drzewami granatową sukienką tem szybciej, że bał się, by nie potknęła się o wystające i miejscami ostrzycą osłonięte korzenie.

Wskoczyła do samochodu, padła na poduszkę i jęła układać roztargane zwoje włosów. Od słońca na niebie i słońca w sobie, od nawału wzruszeń, od liryki serc, od gorąca uścisków i żaru tego całusa rozhulały się jej zmysły, i biły od niej porywające ognie. Wręcz bał się zatrzymać wzrok na jej włosach, na jej ramionach, wzniesionych ponad głowę ruchem, w którym przypominała odaliskę, leżącą na otomanie, na podanych naprzód, wzburzonych piersiach, na całej w tej chwili niedbale rozesłanej postaci, na ponsowych, rozchylonych wargach, na fosforycznych oczach.

Nie mogąc dać sobie rady, dobywał z kosza plastry ananasu, granaty i truskawki. Rozpoczęła się owocowa biesiada.

— Niedługo będzie na nas czas do domu, panie Juljanie.

Ochłonęła, ukołysały się w niej wzburzone fale weselne.

— Każe mi pan być szczerą, a ja jednej rzeczy nie

powiem... Nie zdradzę tego, czego w myślach o naszej przyszłości pragnę, jako promienia, rozjaśniającego nawet czarne dni w życiu.

— Czego, czego sarenko?

— To bardzo mało, a jednak wiele. Nie wyznam tego, bo nie chcę, aby pan naginał się do czegoś, co może nie leży w naturze tego smoka.

Rozciekawiony prosił, molestował ją, by wypowiedziała się dodna, lecz zamknęła sprawę.

— Może kiedyś później wyznam... Jak tu cudownie w tym zaczarowanym świecie... Będziemy to wspominali sobie nieraz, prawda? A teraz smok powie, jak to będzie za kilka lat.

Włożył jej w usta truskawkę.

— Za kilka lat?... Ot, dzieciaki będą pani hałasowały nad głową i tyla.

Rozkwitł najśliczniejszy uśmiech niewieści, bo miała uczucie, jakby anioł musnął ją po sercu ciepłą dłonią. Odwróciła wzrok na morze i po chwili wycedziła lirycznie z odbłyskiem chochlikowej, zalotnej słodyczy:

— A pan wtedy co?...

— Ja będę niańczyć swego największego dzieciaka...

— To niby mnie... — wyśpiewała rozmarzona i oblała twarz jego poświatą takiego szczęścia, że nie mógł nie przytulić jej do siebie.

Jasna, jak zorza, usłała twarz na jego piersi, zarzuciła mu ramię na szyję, i zdało się, że istota jej wciela się, dusza przechodzi w niego i ściele się tam do spoczynku, niby pasterz arkadyjski w pomarańczowym gaju.

Ona poprostu nie mogła nie rzucić matki, ojca,

wszystkiego — dla niego. Odczuwał to w tym momencie fizycznie i cisnął ją do serca, pieścił dłonią pachnące włosy jej, nakrywał ustami chabrowe oczy. A ptaszyna wtulała się w ramiona, niby pod ciepłe skrzydła, i nuciła przez sen:

— Czy pan teraz odgaduje, co może mi zapewnić zupełną pogodę duszy, nawet w smutne dni życia?...

— Nie! Co takiego?... Mówić, najdroższa ptaszyno.

— No, to, co teraz... — zaśmiała się zcicha w klapę jego marynarki i upajała go niemiłosiernie miodem rozegranego serca: — To, żeby on czasem przyhołubił mnie tak czule, jakby dziecko, tak ugłaskał mnie, jak teraz... Taka będę dla niego dobra!... Tak będę kochać! Tak mocno, tak ślicznie!...

Nie miała nad nim litości. Topniał, i powódź namiętnej tkliwości zalewała mu pierś, odbierała przytomność. Ażeby nie oszaleć od wnikliwej tej pieszczoty, nie zacałować na śmierć tej czarownej dziewczyny, osunął się do jej nóg i złożył skołataną, upojoną głowę na jej kolanach, jakby błagając o zmiłowanie.

Poruszyła się niespokojnie.

— Czas na nas, panie Juljanie.

Bólem przeszyła go myśl, że będzie musiał oderwać się od niej. Protestowało w nim przeciw temu wszystko. Klęczał przed swem bóstwem, promieniujący pożądliwością, a ona trochę przerażona karmiła go owocami.

— Czy pan lubi granaty? Spróbujemy — zatopiła ząbki w perły granatu i po chwili, uciekając od niego oczyma, w szczebioty wplotła nieśmiało:

— Ale, panie Juljanie... my w Arles będziemy... parą narzeczonych, prawda?...

Zawahał się, spochmurniał.

— No, tak... Będę się starał — wydobył gwałtem z gardła, podrapał się za uchem i westchnął całą piersią ciężko, lecz czuł, że mu się to bodaj nie uda.

— Niezły ten granat. Niech pan zje drugą połowę.

Wziął granat posłusznie, machinalnie, lecz odłożył. Jak wyżeł czuły, złożył znów głowę na jej kolana i spoczywał tak cicho.

Czemu nic nie mówił? Czemu nagle posmutniał?

— Pan nie ma do mnie żalu?...

— Nie, nie, panno Sabino — odrzucił sucho, aczkolwiek szept jej brzmiał niby pieszczota o pieszczotę prosząca w małżeńskiej alkowie.

Ujęła w dłonie jego ciemną głowę, która przylgnęła do gorących piersi dziewczyny.

— Jedźmy już, panie Juljanie... Jedźmy!...

Żar ust jego palił jej ramiona, oblewał szyję pachnącą jakby mlekiem, zuchwałe ramię okrążyło jej biodra, zagarnęło ją całą gwałtownie.

— Jedźmy. Niegrzeczny!... Złoty, kochany, jedźmy... Koniecznie. Błagam.

Na dźwięk lęku rozplotły się kleszcze. Juljan osunął się do jej stóp i po krótkiej chwili wytoczył się szybko z wozu błędny i zamroczony. Zbliżył się do motoru.

Ona, cała w ogniu, poprawiła szybko czapkę i brała na siebie żakiecik, zerkając zpodełba ku niemu. Przystąpiło do niej zadziwienie, przelęknienie i ogromna ciekawość, aż nad tem zaciążyło współczucie dla niego.

Juljan majstrował coś długo przy wozie. Na harfie jego nerwów grały jeszcze echa nawałnicy wiosennej, i myślał, że, nie wykradając natychmiast tej dziewczyny, „popełniał“ możliwie największe bohaterstwo.

Największe, a może także najgłupsze z bohaterstw.

Włożył na nią płaszcz, wciągnął na jej głowę kapiszon, a sadowiąc ją na przodzie automobilu, przytrzymał jej rączkę i pocałował z pokorą. Ona zaś mimochodem musnęła dłonią lekko jego czoło, chcąc spędzić z niego chmurę.

Potężny, ośmiocylindrowy kabrjolet dźwignął ich jak pióra wgórę po grząskiej, korzeniami poprzerastanej drodze leśnej. Wynurzyli się z zaklętego świata romancy w Eden kwiatowy, pędzili przez świetnie udekorowaną scenerję, i w kilkanaście minut wóz zatrzymał się pod konarami.

Sabinka spojrzała zbliska i głęboko w jego oczy.

— Szczęśliwy?... — spytała, a znaczyło to poczęści tyle, co „cierpliwy“? Byłby na to powinien odrzec przecząco, lecz w chwili rozstania rozpostarła się przed nim, niby tęcza, cała ta ich godzina idylli i, żegnając ją żałosnem spojrzeniem, wyrzekł fascynująco:

— Dzisiaj słońce zstąpiło na ziemię i teraz odchodzi...

Raz jeszcze światześrodkował się w nich dwojgu.

Wyskoczyła z wozu z pękiem róż i goździków. Rzuciła na niego naręcz kwiatów, przesłała mu ręką całusa i najgorętszy szept z duszy.

— Szczęście moje...

Znikła wśród drzew. A oczy miała pełne łez.

XXVII

San Salvadour zyskało w oczach hrabiny szczególnie, odkąd lekarz z Hyères, odwiedzający ten zakład co drugi dzień, przepisał jej kąpiele mineralne. Wypełniało to rozmiłowanej w zabiegach leczniczych damie dwie godziny dziennie w sposób dla niej przyjemny. Około jedenastej była w wannie, gdy za drzwiami ozwał się głos Kazia, który zwiastował przyjazd ojca.

Spodziewano się go dopiero wieczorem. Nie to jednak, że przybywał wcześniej, zadziwiło hrabinę, lecz to, że w drodze zatrzymał się w Cannes. Zaciekawiona, co go do tego skłoniło, skróciła kąpiel o dwie minuty, a następującą po niej sjestę o kwadrans.

Mąż tłumaczył to jej w sobie właściwy a nic nie mówiący sposób.

— Wypadało mi przypomnieć się księciu Władysławowi. Dawny przyjaciel mego ojca. Przyjął mnie serdecznie... Z wieczora zjawił się u niego książę Zygmunt...

— To doskonale się stało! — wpadła hrabina. — Jak ci się on podobał?

— Owszem... Przedstawia się korzystnie. Zrównoważony, poważnie myślący... — mówił hrabia zbywająco, wszystko, co o nim wogóle sądził, chowając dla siebie i, aby o nim więcej nie rozwodzić się, opowiadał: — Pojechaliśmy razem na obiad do restauracji De la Reserve. Świetne lokale i dobra kuchnia. Złakomiłem się na nieznaną mi narodową potrawę prowansalską: bouillabaisse. Zapewne znasz to. Ryby z langustami, gotowane w ziołach aromatycznych, a do

tego sos szafranowy z grzankami. Bardzo mi to smakowało. Lubisz to?

Niesłychanie, chorobliwie skryty hr. Erazm rozmyślnie przedstawił swą wizytę u ks. Władysława wręcz fałszywie. Prawdą było, że wstąpił do Cannes tylko w celu poznania ks. Zygmunta. Na jego wyraźne życzenie ks. Władysław sprowadził do siebie konkurenta Sabinki. Przy tej sposobności zaś hr. Morecki, sądząc, że na zdaniu kobiet wcale nie można polegać, pragnął posłyszeć z ust księcia Władysława, co wiedział on o sprawie sercowej jego córki oraz o hr. Zawiejskim.

— Czy jesteś tego zdania, co ja, że ks. Zygmunt to byłaby partja dla Sabinki?

— Och, zapewne... Dobry materjał na męża, zdaje się. Solidny człowiek... — wykręcał się słomą hrabia i zaraz począł opowiadać: — Wstąpiliśmy do owego Cercle Nautique. Ubawił mnie widok wyemaljowanych i pół nagich starych pudeł, pląsających niczem sylfidy i foxtrotujących z płatnymi tancerzami. Takiego małpiego teatru za moich młodych lat nie bywało.

Chociaż zdał się wcale tego nieciekaw, hrabina objaśniła mu, jak stanęła ostatecznie sprawa z ks. Zygmuntem. Nagły wyjazd jej i Sabinki z Cannes nie mógł nie sprawić wrażenia ucieczki przed formalnemi jego oświadczynami. Atoli dyplomacja hrabiny uratowała sytuację. W ostatniej rozmowie z młodym księciem dała mu wyraźnie do zrozumienia, że uczyni ze swej strony wszystko możliwe, by Sabinka została jego małżonką. Lecz wymagała cierpliwości. Młoda dziewczyna nie widziała jeszcze dosyć świata,

nie poznała życia i „skłonna była brać za złoto wszystko, co się świeci“. W ten sposób hrabina wytłumaczyła konkurentowi córki „jej źle umieszczoną sympatję“ dla Zawiejskiego, o jakiej nie mógł nie wiedzieć. Dzięki temu utrzymała księcia w rezerwie, nakarmiwszy go różowemi nadziejami.

Mąż słuchał jej relacji bez słowa uwagi. Nigdy nie przeczył żonie, nie pouczał jej, ani, broń Boże, krytykował. Wszystko, co myślała i robiła, było mniej lub więcej doskonałe. O ile nie był do tego wręcz zmuszony, zdania swego nie wysuwał nigdy i unikał rozpraw o najważniejszych, chociażby nawet palących sprawach rodzinnych.

— Przyznasz, że wybrnęłam z sytuacji rozpaczliwej dobrze — chwaliła się hrabina.

— Rzeczywiście, świetnie... Sytuacja była fatalna. Raz jeszcze ujawnił się twój zmysł dyplomatyczny...

— Najchętniej napisałabym do ks. Zygmunta, by nas tu odwiedził. Ale jak przyjęłaby go Sabinka?... Nie można o tem w tej chwili jeszcze myśleć. Mam jednak nadzieję, że pomożesz mi w ratowaniu tej zbłąkanej dziewczyny. Ty potrafisz sprowadzić ją z manowców.

— Ja nie mam na nią wpływu.

— Jeśli kto, to ty.

— Jeśli ty ze swym nieporównanym taktem, spokojem, rozumem i macierzyńskiem przywiązaniem nie wybijesz jej tego z głowy...

— Ty jeden, Erazmie. Ona zamknęła się przede mną. Zrobiła się taka skryta. Słowem nie wspomni o Zawoi, i nie można z nią o nim mówić. Liczę zatem na twoją pomoc.

— Zobaczymy... — bąknął hrabia zagadkowo i począł oglądać swe paznogcie. — Jaka tu kuchnia w tym hotelu?

O powierzchowności jego Juljan wyrobił sobie z kilku fotografij wyobrażenie, odpowiadające rzeczywistości. Istotnie, hr. Erazm łączył w sobie czerstwość hreczkosieja z cechami pana z panów. Tego wzrostu, co Juljan, wydawał się tak jak on oficerem jazdy. Mimo lat 53 ruchy miał elastyczne i, o ile żona jego uchodziła za starszą nad swój wiek, o tyle on przedstawiał się młodszym, chociaż wąsy na końcach przystrzyżone, odbijające od czerwonej, ogorzelizną chłopską zacienionej twarzy, były białe jak u dziadunia. Włosy jego rozpoczynały się od połowy czaszki. Niewiele srebrzyło się w nich siwizny. Krzaczaste brwi osłaniały ciemno niebieskie oczy, zwykle gdzieś w przestrzeń strzelające. Podobieństwo między nim a córką było uderzające, aczkolwiek zawdzięczała ona matce regularniejsze rysy twarzy, prześliczną cerę i ciemną oprawę oczu.

Po śniadaniu hrabia zabrał córkę samą na daleką przechadzkę. Pragnął obejrzeć saliny, które zoczył, przejeżdżając wpobliżu. W drodze wypytywał Sabinkę o wiele rzeczy, o jakich nie miała i nie życzyła sobie mieć najmniejszego pojęcia, jako to: czy saliny te są własnością państwa, jakie przynoszą dochody, jaka jest ich wydajność, a nawet jaką cyfrę w budżecie państwowym przedstawiają wpływy z monopolów, oraz z rządowych zakładów tego rodzaju, co saliny.

W powrotnej drodze kazał sobie opowiadać szczegóły z pobytu w Cannes, pytał Sabinkę o szacha per-

skiego, a altessy, o ministrów, których tam widywała, lecz nie wymówił nazwiska ani Zawiejskiego, ani Zawoi. A ona, gdzie tylko mogła, wplatała wzmiankę o „rotmistrzu Zawoi“, powtarzała nawet jego bon mots, słowem przypominała go uporczywie i zaostrzała ciekawość ojca. Lecz zdawało się, że ów rotmistrz jest figurą najmniejszego nie budzącą interesu.

Niemal przez dwa dni hrabia wyłącznie zajmował się córką, z czego żona jego obiecywała sobie bardzo wiele, lecz pozostał on wierny swej taktyce swoistej i oryginalnej. Dziewczyna niecierpliwiła się, zżymała, czekając z drżącem sercem lada wzmianki o ukochanym, wreszcie opowiadała o konkursach hippicznych nato, by wysławiać rotmistrza Zawoję, by odmalować go, przesadzającego palisady, i powtarzać, co pisano o nim w prasie i co opinjowały królewskie wysokości. Lecz wszystko daremnie. Zawoja nie istniał dla niego. Wróżyło to jak najgorzej.

Udręczona dziewczyna nie podejrzewała, że ojciec od pierwszego momentu patrzy na nią z pod gęstych brwi, wpija się w nią wzrokiem nałogowego obserwatora. Szczycił się przed samym sobą — nigdy przed ludźmi, do których wogóle nie mówił ani słowa o sobie z zasady — że posiadał i kultywował rzadką sztukę patrzenia i słuchania, zaprzepaszczoną całkowicie, głównie skutkiem zbytniej gadatliwości. Jakoż, już w kwadrans po przyjeździe, gdyby nawet nie był tego wiedział, mógł był przysięgać, że Sabinka jest zakochana nazabój.

Źrenice jej lśniły królewskim blaskiem, rozświetłała ją z wewnątrz lampa czarodziejska, i stąpała

po ziemi jakby po tęczy. Ojciec nie mógł pojąć, że matka nie dostrzega tego i ludzie nie odgadują, co za wiosna wstąpiła w dziewczynę. Wyraz jej twarzy zyskał na inteligencji, rozbudziły się jej zmysły, do czego przyczynił się także karnawał w Cannes, a fizycznie, lubo taka sama, jak pięć miesięcy temu, gdy ojciec żegnał ją na wsi, wywierała wrażenie jędrniejszej, mocniejszej. Nastał moment przesilenia, gdy bujnie rozkwitnięta dziewiczość miała już gorące tony kobiecości. W tej fazie nabrała tyle wdzięku i olśniewającego czaru, że serce ojcowskie rosło, a obserwator truchlał w obliczu zachwycającego zjawiska.

O tem wszystkiem Sabinka nie miała nigdy się dowiedzieć. Gdy w duszy modliła się, by zagadnął ją o to, co kipiało w jej sercu, dziwaczny ojciec pytał, ile daje się służbie napiwku, czy niema tu dla niej i dla Kazia koni pod wierzch, lub czy wodę ze źródełka sprzedają we Francji w butelkach. Doprowadziło to dziewczynę do stanu rozdrażnienia, straciła pokładane w ojcu nadzieje, i, gdy w piątek wieczorem, odprowadzając go przez korytarz, miała mu powiedzieć dobranoc, załamała się. Uwisła nagle u jego ramienia i wybuchła płaczem.

— Ach, tatusiu... — łkała. — Ja go tak kocham...

— Ależ nie płacz. Co się stało? Nie jesteś dziewczynką, beksą. Uspokój się. Połóż się spać... Zobaczymy...

Brzmiało to opryskliwie — a jednak Sabinka wyczuła dźwięczącą na dnie strunę życzliwości dla jej sprawy. Napoiło to ją nadzieją, i nazajutrz spozierała

w oczy swego niesamowitego ojca, niby pies, modliła się do niego, żebrała dobrego słowa.

Po rannem śniadaniu wyszli oboje nad morze, gdzie hrabia, rozsiadłszy się w koszykowem krześle, wygrzewał się w słońcu. Zapatrzywszy się ku zachodowi, ozwał się:

— To, co wdali tam majaczy, to port tuloński zapewne. Nie byliśmy tam jeszcze. Pojedziesz ze mną. Ale... Słuchajno Sabinko, idź zaraz do hotelu i napisz, albo lepiej telegrafuj... albo jeszcze lepiej telefonuj do rotmistrza Zawoi, by przybył tutaj jak najprędzej.

Słońce trysnęło z twarzy dziewczyny.

— Dobrze, tatusiu — zadrżał głos dziękczynnie, i frunęła. Lecz odwróciła się jeszcze i wyśpiewała na najprzymilniejszą nutę.

— Może zaprosić go na śniadanie, tatusiu?

— Dobrze, zaproś go.

Hrabia uśmiechnął się. Jak to ona wiedziała, gdzie ukrywa się ten jej skończony, niebezpieczny łobuz. Przewidział on to.

Czekała go jeszcze nielada rozprawa z żoną. Dawno nie widziano szanującej swe nerwy i miłującej spokój hrabiny tak oburzonej, jak wtedy, gdy hr. Erazm zakomunikował jej, co zrobił. Poczytywała to za zdradę dobrej sprawy. Zmyła mu głowę, co zniósł pokornie.

— Poznałem ks. Zygmunta, teraz pragnę poznać rotmistrza Zawoję — tłumaczył się niewzruszony wśród burzy, jak skała, a ona już dlatego, że Zawoję nazwał „rotmistrzem“, widziała w nim partyzanta Sabinki.

— Przecież to wcale nie to samo — wytknęła mu—

Zawoja nie wchodzi w rachubę. Chyba, że ty nie uważasz małżeństwa jego z Sabinką za rzecz wyłączoną zgóry.

— Bo to nie jest wyłączone... Jeśli Sabinka, tak do ciebie przywiązana, stawiła ci czoło, i nie cofnęła się przed wojną o niego... Oczywiście, zdajesz sobie sprawę, iż toczysz walkę z potęgą niemałą: miłością... Przekonałaś się, że oni są w porozumieniu. Jeśli Sabinka potrafi sprowadzić go tutaj w tak krótkim czasie, to ma go pod ręką, rozmawia z nim telefonicznie, ile razy chce. A skoro tak, któż ci zaręczy, czy ona pewnego pięknego poranku nie zniknie... Gdy straci nadzieję, że ty...

— Nigdy! Nigdy!

— Gdy powtórzysz jej to „nigdy", zachęcisz ją do jakiego szalonego kroku, i pytanie, czy amory ich nie posuną się... zgoła za daleko. Tylko twój wypróbowany zmysł dyplomatyczny może zaradzić złemu...

— Cóż ja mogę począć, jeśli ty zbliżasz ich do siebie i zachęcasz ich?

— Lepiej zbliżać ich do siebie i nie spuszczać z oka, anieżeli pozwolić, aby spiskowali za twemi plecami. Jeśli przeciwnika nie można pokonać, trzeba wdać się z nim w parlamentarkę.

— Z nim?

— On ma w ręku potężny atut: Sabinkę. Cóż wobec tego chcesz począć?

— Wydrzeć mu ją.

— Jej kosztem?

Hrabina popadła w chmurne milczenie.

— Ja z szarlatanem do stołu nie siądę — rzekła.

— Jeżeli minister nasz zjada pulardy z posłem bolszewickim w Warszawie, ty mogłabyś zająć krzesło przy stole z tym rotmistrzem, z którym nieraz obiadowałaś w towarzystwie królewskich wysokości. Jeśli zaświecisz nieobecnością, Zawoja uważać mnie będzie za wyraźnego protektora ich amorów.

— A czy nim nie jesteś? — podchwyciła zgrabnie hrabina, a on, przypierany do muru, znów się wyślizgnął:

— Nie znam go. A nie mógłbym przecież protegować kogoś, kogo nie widziałem na oczy.

— O! Zawoja to zgrabny gracz. Pamiętaj, że on w Cannes kupił sobie poprostu wszystkich, nawet ks. Władysława. A okazało się...

— Z tego względu trzeba mu przeciwstawić twój kunszt dyplomatyczny.

Hrabina czuła się zaszachowaną. Z ostatniej rozmowy z Zawoją wyniosła głęboką do niego urazę. Rozstali się na stopie wrogiej, uniemożliwiającej dalsze stosunki. Jednakże uwagi męża podziałały na nią, i poczęła liczyć się z tem, że Zawoja pojawi się niebawem w San Salvadour. Ostatecznie, lubo wzdrygając się na myśl o spotkaniu z nim przy jednym stole, dyplomatka powiedziała sobie, że nieobecni nie mają racji i przegrywają sprawę.

XXVIII

Trzynaście lat temu w późny, zgniły wieczór jesienny na skraju lasu w Grodzieńszczyźnie ukrywał się za drzewami tarantas, zaprzężony w dwa gniade

kłusaki. Przy nim stał zakapturzony hr. Erazm i spozierał w stronę rozwleczonej po równinie wsi szlacheckiej, gdzie w oknach strzech czerwieniły się światła. Gdy noc rozlała się w przestworzach, i mroki pokryły kirem ziemię, dał się słyszeć szelest w zaroślach, jakby przemykającego się lisa. Hr. Erazm drgnął, skoczył naprzód ku niewielkiej sylwetce, porwał na ręce w szal otuloną postać i wsadził jak kukłę w wehikuł. Tatar na koźle ściągnął lejce, rysaki poczęły rwać jak wściekłe, chlastały kopytami w roztopy, i w tej jesiennej szarudze znikła z ojcowskiej zagrody bosonoga szlachcianka.

Przepadła bez śladu w kniei lasów wielkowyskich, gdzie mieszkały dziki i jelenie... Odtąd bywało, zwłaszcza w pierwszych czasach, że po obiedzie w wielkowyskim pałacu, do którego zasiadano tam o siódmej wieczorem, hrabia przeprowadzał małżonkę do salonu, odchodził i znikał. Przebierał się w kancelarji, sam kulbaczył konia, i, chociaż w dżdżystą, wietrzną noc psa było źle wygnać na dwór, walił kilkanaście wiorst przez kałuże, wertepy w lasy. Bo lękał się, by rodzina Weroniki, wpadłszy na jej ślad, nie uprowadziła jej przemocą akurat w taką noc, gdy nikt nie spodziewał się zastać go w leśniczówce.

Gdy stukał do okna czarnej chaty, skrzypiały zawiasy, odmykały się drzwi i gorące ramiona obejmowały upiornego jeźdźca.

— O laboga, takiś mokry jak niestworzenie boskie... W taką pluchę...

Weronika nie odznaczała się urodą, a porównanie z klasycznie piękną hrabiną było zgoła wyłączone. Nie-

mniej podobała się więcej od najgładszych dziewczyn, bo rzucała na ludzi czar. Nieporównany wdzięk zgrabnej jak kozica Wery, który bił ze wszystkiego: ze spojrzenia, uśmiechu, z wyrazu miłej twarzy, z intonacji głosu i wzięcia, sprawiał, że młokosy we wsi jej rodzinnej lgnęły do niej, jak muchy do miodu. Niejedna przeto białogłowa radowała się w duchu, gdy Weronika „uciekła do Ameryki“. Przebąkiwano, że zwerbował ją handlarz żywym towarem i przewiózł przez granicę pruską.

W dwa lata później los jej ustalił się. Gospodarowała na swym własnym folwarczku, do lasów wielkowyskich przylegającym, jako pani Nowakowska. Mąż jej liczył siedemdziesiątkę, czyli trzy i pół raza tyle lat, co ona. Swego czasu nauczyciel był tak na nogi zreumatyzowany, że większą część roku spędzał na przypiecku wśród książek. O ile bowiem nie dopisywały mu nogi, o tyle głową mógł mierzyć się z wielkomiejskimi ludźmi, którzy pojedli różne rozumy. Spekulatywny, nieco marzycielski jego umysł pracował bez przerwy i dopraszał się karmu, którego dostarczał mu obficie hr. Erazm, więcej przebywający w Jaworówce, niż w Wielkowysku.

Skromny domek, po którym biegały dwie do niego podobne dziewczynki, był istotnem jego ogniskiem domowem, a w pałacu wielkowyskim czuł się jakby szefem wielkiej firmy, załatwiającym w biurowych godzinach sprawy gospodarcze i rodzinne. Owa wiejska, prostacza dziewczyna, która, mimo pewne wysiłki edukacyjne nominalnego swego męża, żyła z ortografją w niezgodzie i, gdy hr. Erazm był w Pomiaro-

wicach, pisała do niego: m u ¦j drogi, żyć bez ciebie cni s i e“, wzięła całkiem górę nad przepiękną damą książęcego rodu. A chociaż hrabia zdradzał ją niekiedy z własną żoną, poczytywał ją za swą istotną połowę.

W zimowe wieczory grywał w warcaby lub szachy z Nowakowskim, dyskutował z nim, czytywał poważne dzieła, przez niego zachęcony, potem Wera stawiała na stół poncz i placki swego wyrobu i, brząkając na mandolinie, wyśpiewywała miłym głosem piosenki ludowe, których niewyczerpany skarbiec nosiła w pamięci. Ona, lasy, polowanie, gospodarstwo i interesy wypełniały życie hrabiego, który zasklepił się w niem, schłopiał trochę i zdziczał tak, iż trudno mu było wychylić się poza obręb tego zaświatka.

W wielkowyskim pałacu sprawowała rządy hrabina. Mając nieczyste względem niej sumienie, mąż składał w jej ręce hegemonję, schlebiał jej na każdym kroku w sposób nawet niewybredny, podkreślał rzekomą swą niższość i grał komedję pełnego czci wielbiciela. Zdawało się, że ona decyduje o wszystkiem autokratycznie. Tymczasem, ilekrotnie chodziło o kwestje rodzinne wielkiej wagi, potrafił tak manewrować chytrze, że, pozornie nie naruszając supremacji małżonki, kierował biegiem spraw, jak sam uważał za stosowne. W duszy śmiał się z niej i nie lubił jej, gdyż nie znalazł w niej najmniejszego oddźwięku swej szczerej, romantyzmem podszytej duszy. Klękając z nią przed ołtarzem, zakochany był w cudownej jak obraz księżniczce obłędnie, lecz z tych uczuć nie pozostały ani strzępy. Okazało się, że obrazu nie można kochać.

Ostentacyjnie wielbił ją, jako wzór cnót i doskonałości, a w gruncie rzeczy miał ją za zimną, odpychającą, w sobie zakochaną istotę manekinową. Zawdzięczał jej wszakże Kazia, dobrze się zapowiadającego, i swoją, bardzo swoją, Sabinkę.

W jego mniemaniu, tak jak w przekonaniu matki, Sabinka, wychodząc za księcia Zygmunta, byłaby zrobiła zaszczyt jemu i jego rodzinie, dotkniętej zwyrodnieniem. Więc zrazu sprawa z Zawiejskim czy Zawoją nie podobała mu się wcale. Aliści książę wydał mu się nieodpowiednim dla Sabinki. Począł wnikać głęboko w tę materję, mając li tylko szczęście córki na oku, i wnet wyczuł, że dziewczyna byłaby przewróciła się na nice, aby zjednać dla Juljana jego względy, że ona „nic nie robi, tylko kocha go każdym nerwem“, żyje myślą o nim. Przekonywał się, że ona ma jego serce. Stanął przeto w zasadzie po jej stronie i, podbity promieniującą od niej miłością, radował się jej szczęściem, które rozumiał doskonale. Jeśli zaś grał z Sabinką w ciuciubabkę, to dlatego, że takim był zawsze w Wielkowysku i w atmosferze żony innym być nie umiał.

Przedewszystkiem musiał teraz poznać owego Zawoję, poznać dodna. Oczekiwał go z pewnym niepokojem. Gdyby bowiem miało się okazać, że nie jest Sabinki godny i nie daje rękojmi na przyszłość, wtedy hrabia musiałby przeciwstawić się temu małżeństwu całą siłą. Tego zaś bał się ogromnie, rozumiejąc, że wydrzeć to płomienne uczucie z serca Sabinki byłoby operacją nadwyraz trudną i straszną, a dla niego samego okropnie bolesną.

Po rozmowie z żoną, spoczął w jednym z półkolistych, palmami obramowanych wnęków, które oskrzydlały z jednej strony zajazd, i popadł w zadumę, gdy zbliżyła się do niego, szczególnie ładnie ubrana, wysłoneczniona córka i bez słowa pocałowała go w rękę.

— Jakże? Przybędzie dzisiaj rotmistrz Zawoja? — spytał niepotrzebnie.

— Będzie tutaj za dziesięć minut — odrzekła, jakby chlubiąc się dokonaną sztuką. — Pójdę do westybulu, a skoro przybędzie, przyprowadzę go do ojca.

W istocie, nie upłynęło więcej nad dziesięć minut, a elegancki, długi, popielaty automobil przeleciał cicho opodal ławki, na której siedział hrabia, i zatrzymał się przed barokowym frontonem hotelu. Od tego czasu hrabia przemienił się w oko.

O urodzie Juljana słyszał wiele, lecz, gdy ujrzał go zmierzającego obok uszczęśliwionej Sabinki ku swej ławce, był tak olśniony, że mógł był zapomnieć języka, jak jego żona, przy ostatniem z Zawoją spotkaniu. Narzuciło mu się wrażenie, że los zbliżył do siebie tę przepiękną parę nato, by się pokochali i należeli do siebie bezwzględnie.

Nastała chwila osobliwego napięcia ciekawości, gdy dwaj ci mężczyźni stanęli naprzeciwko siebie, niby zapaśnicy, którzy niebawem mają rozpocząć turniej. W ogromnem, a czarownem zmieszaniu Sabinka zwróciła się do ojca z odcieniem dumy:

— Pan rotmistrz Zawoja...

Hrabia, wisząc wzrokiem na twarzy gościa, powstał powoli, a Juljan ozwał się:

— Nie umiem powiedzieć, z jaką głęboką przyjem-

nością przychodzi mi powitać tak przez pannę Sabinę ukochanego jej ojca...

Już w tych słowach ujawnił się przed hrabią zgrabny salonowiec i filut pierwszej wody, który „tak ukochanego przez pannę Sabinę jej ojca" chciał odrazu nastroić dla siebie sympatycznie.

— Zbyt wiele słyszałem od Sabinki i od mej żony o panu, abym nie chciał zapragnąć poznać go osobiście — wycedził na to hrabia równie dyplomatycznie. Zaczem rozmowa potoczyła się tonem konwencjonalnym.

Ponieważ hrabiego, żubra, który nie wyjrzał z kniei od tak dawna, interesowało w tym świecie wszystko, więc, gdy ruszyli we troje do hotelu, nie mógł nie popatrzeć ciekawie na stojący tam jeszcze samochód i nie zagadnąć Juljana, który jął mu objaśniać, że to jest kabrjolet z fabryki Isotta Fraschini—jakim posługują się król włoski i inne koronowane głowy. Tłumaczył mu, na czem polega wyższość takich wozów nad innemi, gdy z hotelu rozległ się głos indyjskiego gongu, wzywający na śniadanie.

Hrabia zapomniał o wszystkiem, bo nie bez złośliwej przyjemności myślał, jak jego magnificencja przyjmie Zawoję. Obserwator cieszył się zgóry widokiem twarzy jej, z której wyczyta, czego nie powiedzą usta.

Gdy wkroczyli do sali jadalnej, hrabina siedziała już przy stole, dla niej zarezerwowanym, z Kaziem i panią Kromiczową, która, w poczuciu drażliwości sytuacji, nie śmiała zrazu podnieść oczu na tego, tylko przez jedną stronę proszonego gościa.

Zbliżywszy się do hrabiny, Juljan wyrzekł tylko z powściągliwą dworską kurtuazją :

— Witam panią hrabinę...

— Witam pana... — rzekła hrabina, podając mu rękę, i nie zamienili ani słowa więcej. Pod osłoną tego dziwnie lakonicznego powitania kryły się niebanalne uczucia.

W toku śniadania panie nie odzywały się prawie wcale, bo hrabia uwikłał Juljana w żywą rozmowę o finansowem i ekonomicznem położeniu Polski. Znając się na tem mniej, niż przeciętny inteligent, Juljan ograniczał się do roli gorliwego ucznia. Oceniwszy inteligencję hrabiego wysoko, wystrzegał się wszystkiego, co mogłoby uchodzić za blagę, lub tanie wkradanie się w jego łaski, czując, że przez to pognębiłby się fatalnie. Na to był sam zbyt inteligentny. Natomiast komentował uwagi hrabiego w sposób błyskotliwy, a gdy potrącił on o sprawę lokomocji, Juljan rozwinął swoisty, istotnie oryginalny pogląd na rolę konia w przyszłości, co zaimponowało hrabiemu niemało.

Niemal z rozczuleniem zaobserwował hrabia, jak Sabinka, słuchając ich rozmowy nabożnie, starała się spojrzeniem wysondować wrażenie, jakie jej ukochany wywiera na nim.

Po śniadaniu przeszli obaj do palarni, a następnie grali w bilard, gawędząc swobodnie. Juljan przypuszczał, że hrabia pocznie wkrótce nudzić się w tem zaciszu, chciał przeto pokierować nim. Bąknął o wyścigach konnych, które miały odbyć się w Hyères nazajutrz, i, gdy po podwieczorku żegnał panie, mógł szepnąć Sabince z zadowoleniem:

— Jutro panią zobaczę...

Hrabia pochwycił to uchem, oraz długie czułe spojrzenie, które towarzyszyło tym słowom.

XXIX.

Codziennie hrabia przepędzał kilka godzin w towarzystwie Juljana. Wieczór po wyścigach w Hyères minął im z Sabinką i Kaziem przyjemnie w Kasynie, gdzie grywała operetka. A następnego dnia hrabia sam wybrał się z Juljanem do Tulonu, gdzie zwiedzali arsenał mrynarki. Potem zasiedli do obiadu, który, dysponowany przez lwa sezonu w Cannes, zyskał najwyższe uznanie smakosza z Wielkowyska. A że przy kieliszku Juljan częstował go doskonałemi konceptami i anegdotkami, hrabia bawił się z nim świetnie.

Zgodnie ze swą metodą, nie wspomniał on ani razu imienia Sabinki, jednakże Juljan miał wrażenie, że zbliża się ku niej poprzez sympatję, jaką niewątpliwie zdobywa sobie u jej ojca.

Gdy w Tulonie dowiedzieli się, że nazajutrz mają odbyć się w malowniczym porcie regaty, hrabia postanowił zabrać na to widowisko Sabinkę i Kazia. Zawoja ofiarował mu swój samochód do dyspozycji, więc oczywiście nie zabrakło go przy boku Sabinki. A hrabia chwilami usuwał się z Kaziem i pozostawiał ich samych, by przyglądać się grze ich twarzy.

Gdy wracali na przeładowanym widzami statku z regat, a hrabia oddalił się od nich, Juljan spytał:

— Czy ojciec pani mówił co o mnie?

— Ani słowa.

— Egzamin jeszcze się nie skończył. Ale pytanie,

czy, jeśli go zdam chlubnie, ojciec pani potrafi wywrzeć nacisk na jej mamę? Czy postawi na swojem?

— Doprawdy, trudno powiedzieć. W każdym razie byłoby to dla mnie wielką radością, gdyby ojciec stanął po naszej stronie. Czekajmy.

Juljan westchnął ciężko.

— Wejdźmy na pomost kapitana okrętu, by popatrzeć raz jeszcze na ten piękny pejzaż — rzekła Sabinka i poczęła wspinać się na pomost po wąskich, żelaznych stopniach, przyczem podała rękę tuż za nią postępującemu kawalerowi. Hrabiemu, który szpiegował ich, zdało się, jakby Juljan był pocałował tę rączkę i podsadził dziewczynę w ramionach na schodki. Zaczem wsparci o żelazną poręcz pomostu, spozierali więcej w swe oczy, aniżeli na wspaniałą panoramę portu. Nie przyszło Sabince na myśl, że na pokładzie jednego ze stalowych kolosów, co zszeregowane wystawały wysoko z lazurowej płaszczyzny, mógł w tej chwili aspirant Jacquières malować sobie w duszy obraz jasnowłosej Polki, która przeszła przez jego życie, niby miraż.

Tego wieczora, gdy z balkonu restauracji przyglądali się ogniom bengalskim, oświetlającym port, powstał projekt nowej wspólnej wycieczki. I we dwa dni potem spoczywali we czworo na murawie w głębokim parowie gór Maurów, a nad nimi sterczały omszałe szczątki średniowiecznego klasztorka.

Pociągnięty za język przez hrabiego, Juljan opowiadał epizody z martyrologji Wołynia i Podola w r. 1918, gdzie nieraz z kilkunastu ułanami rozbijał watahy rozbestwionego chłopstwa i ratował rodziny ziemiańskie

od męczeńskiej śmierci. Wyuzdane barbarzyństwo hajdamackiej dziczy przepełniło go raz na zawsze nietylko najwyższą pogardą dla tych pobratymców, ale niewiarą w duszę ludu wogóle i umocniły w arystokratycznych tendencjach. Zapuściwszy zasłonę na krwawe te obrazy, wspomniał, jak w czasie najazdu bolszewickiego z półszwadronem jazdy udało mu się rzucić popłoch w kolumnę piechoty bolszewickiej, ciągnącą z furgonami w stronę Warszawy. Wnet narrator począł się zapalać; ponosiła go emocja wojacka, bawiła karkołomna impreza, radowała dezorganizacja tchórzliwych i gapiowatych hord najezdnych, które poniechały część zapasów i rejterowały. W głosie jego wibrowały akcenty rycerskie, ze źrenic strzelała fantazja, i hrabia wyczuwał w nim urodzonego żołnierza.

Sabinka zaś zdejmowała mu słowa z warg, poprostu przeżywała z nim wszystkie te momenty bitewne. Gama uczuć grała na jej licach i sprawiała wrażenie jednej z tych dzielnych, rycerskich kobiet kresowych, co z nieporównanem bohaterstwem stały przy boku swych mężów. Był w niej zadatek na żonę i towarzyszkę oficera. Oboje zapominali o obecności hrabiego.

Chociaż dnia tego późno wrócili do hotelu, hrabia kazał sobie podać herbaty i zatrzymał Sabinkę przy sobie.

— Ty rozumiesz się dobrze z panem Zawoją... —

— Oh, tak — zawołała, oblewając się szkarłatem w podnieceniu. — Nie wiem, czy mogą być dwie istoty, które rozumiałyby się lepiej. Nie mamy dla siebie tajemnic... Przeżyliśmy chwile. które nas tak zbliżyły

do siebie, tak zbratały nasze dusze, że nic, nic nas nie rozdzieli.

— Co to za chwile?... — wyszeptał poważnie ojciec, i nareszcie poczęła się ta upragniona spowiedź. Sabinka opowiadała o Lanzim, o wyznaniu Juljana na balu. Łzy szkliły się w ślicznych oczach, gdy streszczała scenę między nimi w ustroniu „Kalifornji“, i drżące dłonie ściskały skronie, gdy odżył w niej lęk o ukochanego, gdy mówiła mu: „pan nie może mnie tak zostawić, tak opuścić... swej żony..“

I stała się rzecz niezwykła. Hrabia zapomniał patrzeć, lecz słuchał, nie zdając sobie z tego sprawy, że słucha. Przysłonił oczy dłonią. Mógł był przekonać się, że metoda jego nie jest wcale doskonała, albowiem teraz dopiero miał możność wejrzenia w morze ich miłości.

A gdy załzawiona dziewczyna skończyła opowieść o dziejach swego serca i oczekiwała odeń ciepłego słowa, zerwał się na nogi i rzucił:

— Późno już, późno. Trzeba pójść spać...

Nazajutrz po południu zjawił się Zawoja, by osobiście uwiadomić hrabiego i Sabinkę o balu kostjumowym, jaki na ten wieczór zapowiadało Kasyno w Hyères.

— Przypuszczam, że moja żona nie pozwoli Sabince pojechać na ten bal — rzekł hrabia i wziął Juljana nad morze, gdzie usiedli w trzcinowych fotelikach.

— Pan będzie na tym balu? — bąknął hrabia niedbale i nagle, nie czekając odpowiedzi, ozwał się dobitnie: — Co pan ma za plany na przyszłość?

Po chwili milczenia, Juljan odrzekł:

— Gdybym był sam, wstąpiłbym do wojska, chociaż coprawda dla mnie powinna być nieustająca wojna. Jednakże, żeniąc się, muszę myśleć o swej przyszłej królowej i rodzinie.

Hrabia zwrócił swój fotelik tak, by fizjognomję Juljana mieć przed sobą, poczem bąknął zimno, z głupia frant:

— Pan się żeni?... Z kim?

— Z pańską córką... — odparł czelnie Juljan.

— A jeśli jej panu nie dadzą? — pytał lodowatym tonem hrabia.

— To ją sobie wezmę...

— I później co pan postanowił?

— Postanowiłem... być skończenie porządnym i szlachetnym człowiekiem...

— Bagatela. To nie tak łatwa rzecz...

— To trudno, lecz czegóż człek nie zrobi dla ukochanej nad życie kobiety....

— I wówczas jeszcze może to być za trudno...

— Nie. W tym wypadku to nawet łatwo, bo jak się ma anielsko dobrą kobietę, nie można nie stać się samemu dobrym. To działa zaraźliwie, przynajmniej na mnie.

— A gdzie zamieszkacie? W raju?

— Nie, w Polsce.

— W wędrownym namiocie...?

— W miłym domku wśród gór Karpackich.

— Naturalnie pustym jak wasze kieszenie...

— Nie, prócz szczęścia, będą w nim stoły, krzesła, szafy...

— No, i łóżka.

— ...Jedno. Na dwa nas nie stać.

— Ale miłością żyć nie można.

— Nie, lecz bez miłości także żyć nie możemy.

— Więc żywić się będziecie zupką z lubczyku i kompotem z rajskich jabłek...

— Z pewnością. Przytem będziemy jadali codziennie jeden obiad. Pan hrabia także dwóch nie jada.

— A skąd na to pieniądze?

Juljan pogłaskał włosy i odparł chłodnym tonem:

— Będziemy swe dzieci pokazywać za pieniądze...

Przez długą chwilę hrabia skubał wąs, poczem ozwał się:

— Dobra myśl!... A kiedy te dzieci przyjdą na świat?

— To zależy od tego, kiedy pan hrabia da na zapowiedzi.

— Ja nie wchodzę w rachubę. Moja żona dysponuje wszystkiem. A ona nigdy nie oddałaby wam Pomiarowic.

— Wiem o tem, że matka postanowiła ukarać córkę za swój błąd.

— Jaki swój błąd?

— Że wydała przez omyłkę na świat córkę, która mogła upodobać sobie takiego, jak ja, człowieka....

— Dość, że nie da wam ona ani grosza.

— Tem lepiej. Nie będziemy mieli obowiązku wdzięczności względem nikogo...

— Pan jest warjat!...

— Chwilami jednak rozsądny.

— Czy teraz ma pan chwilę rozsądku i przytomności?

— Jestem tyle przytomny, ile może być nim szalenie zakochany Polak.

— Muszę pana spytać serjo, jak długo jeszcze zamierza pan trzymać się fałd Sabinki?

— Niedługo.

— Jak długo?

— Tylko do swej śmierci...

— Czyż pan byłby wart tak prześlicznej dziewczyny?

— Owszem. I ja powszechnie uchodzę za pięknego mężczyznę...

— Skromnością pan nie grzeszy....

— Nie. Bo to się wcale nie opłaca.

— A moralnie czy pan jej wart?

— Bez kwestji, bo umiem ją uszanować w całej pełni. Zresztą, tak sądzi panna Sabina, a ona jedna jest w tej materji kompetentna.

— Ale wierności nie potrafiłby pan jej dochować?

— To dziwnie łatwo, bo dla mnie istnieje na świecie tylko jedna kobieta: ona. Wszystkie inne to stworzenia rodzaju żeńskiego.

— Frazes.

— Bynajmniej. Mam na to dowód. Z miłości dla panny Sabiny popełniłem coś, co trzeźwy, porządny, rozsądny mężczyzna poczytałby w gruncie rzeczy za wielkie głupstwo.

— Co takiego?

— Oparłem się pokusie siarczyście ponętnej białogłowy, która wystawiała mnie na ogniową próbę. Tylko taki warjat, jak ja, potrafi być tak cnotliwym...

— Aż pana samego to boli...

— Z pewnością. Bo tego nikt mi za dobre nie poczyta. Nawet panna Sabina uważałaby, że nie mogło wcale być inaczej. Cnota się nie opłaca. Nawet w niebie. Lepszy bowiem jeden nawrócony grzesznik od stu cnotliwych. Ja zaś nie mogę nawrócić się do panny Sabiny, bo inne niewiasty wcale dla mnie nie istnieją...

— Czy długo? Po kilku latach...

— To rzecz pewna, że dla mnie do śmierci istnieć będzie tylko jedna kobieta: ona... Serce ludzkie jest bezporównania wierniejsze od ciała. Można mieć wiele kobiet, lecz kochać można tylko jedną. Ja zaś nie pragnę kobiety, którejbym nie kochał. Bo pożądam nietylko radości, lecz szczęścia.

Hrabia umilkł, zamyślił się nad swemi własnemi sprawami miłosnemi, lecz Juljan zainterpelował go:

— Czemu to hrabia nie starał się wejrzeć w nasze serca?

Ocknąwszy się z zadumy, hrabia uśmiechnął się i wybuchnął:

— Pytać się was miałem o to? Tylko półgłówek pyta o takie rzeczy. Czyż to nie widzę, co się z wami dzieje... Gdy jedno z was wchodzi do pokoju, drugie przybiera natychmiast inny wyraz twarzy, siedzi inaczej w krześle, mówi innym głosem, innym tonem, dźwięcznie, przyjemnie, bo mówi nie do mnie, lecz do swego odpowiednika. Wygłasza zdania, jakie nie przyszłyby do głowy wobec mnie samego. W gruncie rzeczy poprzez wszystko, co mówicie w mej obecności, powtarzacie sobie: kocham... Ja staję się między wami nikim, powietrzem lub przeszkodą do całowania się.

— Nie sądziłem, że hrabia może być okrutny...

— Jakto?

Jeśli, widząc to wszystko, hrabia dręczy nas, miasto dawać zaraz na zapowiedzi... na dzień swych imienin.

— Na kiedy? — krzyknął raptem hrabia, podskoczył w fotelu i nie mógł już dłużej powstrzymać się od homerycznego śmiechu. — Już na drugiego czerwca. Tak wam śpieszno. A niech was nie znam... I to tak zgodnie obmyśliliście sobie?

— Chodzi nam przecie o uczczenie imienin hrabiego... — bąknął Juljan, śmiejąc się w duszy serdecznie.

A hrabia powstał i, trzymając się za boki, pękał od śmiechu, jak hreczkosiej w czasach, gdy pszenica płaci.

— Koniecznie pragniecie uczcić me imieniny... A niechaj was gęś kopnie... Cóż z wami począć?

— Poddać się i kwita.

— Tylko tego potrzeba, a powie pan sobie: „wygrałem ze starym sprawę gładko“.

— Nie może być inaczej. Z tak inteligentnym i rozumnym mężczyzną nie można nie przyjść do końca.

— Bezwstydny pochlebca.

— Bezwstydny, to prawda, ale pochlebca — nie. Bo, będąc bezwstydnym, dodam, że mimo wszystko hrabia jest pod pantoflem... A wielka szkoda. Człowiek z takiem sercem... — dorzucił zcicha, żałośnie Juljan.

— Kto panu mówił, że mam dobre serce? — zaperzył się skryty człowiek.

— Dobre serce ma jeszcze prawie każda ciocia z prowincji. Hrabia posiada wiele więcej, niż dobre serce. Posiada w piersi... s e r c e...

— Co to znaczy?

— To takie serce, co rozumie wielką miłość.

— Skąd u licha pan może to wiedzieć?

— Czuję to przez skórę. Zresztą, po kim panna Sabina odziedziczyła swoje cudowne serce?...

— Panie! — zawołał hrabia, stając przed nim kogucio. — Mówiłem o panu: warjat! To nieprawda. Pan jest arcyniebezpieczne indywiduum...

— Sam mówiłem to sobie niekiedy...

— Tak niebezpieczne przy swej bezczelności, że pana powinni zamknąć...

— Niema potrzeby. Panna Sabina unieszkodliwiła mnie całkowicie.

— Ładnie na panu wyjdzie.

— Lepiej nie mogłaby wyjść w żadnym razie.

— Ciekawym.

— Bo, jak mówiłem to hrabinie, będzie najszczęśliwszą z kobiet.

— Może nawet przez całe życie?...

— Bezwątpienia. Naszej miłości starczyłoby na dwa życia.

— Jej serca pan tak pewien?

— Widziałem je przecież w całem blasku i klękałem przed niem, jakby przed ołtarzem... Ona nie kocha we mnie, jak zwykle panny, małżeństwa, lecz kocha mnie samego indywidualnie. Nie zamieni mnie przeto na księcia, na Krezusa, ani na innego przystojnego mężczyznę. Ja jeden tylko jestem jej szczęściem... tak, jak ona mojem. Dlatego to pani hrabina musi z kretesem przegrać swoją sprawę przeciwko nam...

Hrabia miał wrażenie, że jest zewsząd osaczony, skrępowany przez to „niebezpieczne indywiduum“, a

jeszcze więcej przez ich ogromną miłość. Nie mogąc dać sobie rady w tej chwili, rzucił:

— Niech mi pan da swego egipskiego papierosa. Kaporalów nie mogę palić.

Juljan podał mu papierośnicę, którą on począł oglądać ciekawie. Był to bowiem wyjątkowo piękny, złoty przedmiot sztuki, wysadzany szmaragdami, który Juljanowi ofiarował Monseigneur, opatrzywszy własnoręczną wyrytą dedykacją i podpisem.

— To dla hrabiego Zawiejskiego... — zauważył hrabia.

— Tak jest. Dlatego pójdzie to na skarb narodowy... Skoro dla swej królowej jestem królem, król ten może nazywać się poprostu Zawoja...

Pogrążony w milczeniu, hrabia stał bez ruchu z pochyloną głową. Juljan nie przerywał ciszy, rozumiejąc, że waży on coś w myślach. Wreszcie, zapaliwszy papierosa, hrabia wyszeptał jakby do siebie: — Hrabina nie zgodzi się na to nigdy... Ona pana niecierpi... Na to nie mam rady....

— I ja, niestety, także nie... — szepnął Juljan.

W tej chwili ukazały się pani Kromiczowa i Sabinka, która dotąd nie chciała przerywać im poufnej wymiany myśli.

— Kuzynka prosi pana do siebie na chwilę rozmowy — oznajmiła Juljanowi pani Kromiczowa ku zdziwieniu wszystkich. Zwłaszcza hrabia był wielce zaintrygowany, co żona jego miała do powiedzenia Zawoi, albo raczej, co za torpedę do rozsadzenia tej miłości przygotowała dyplomatka, która od chwili pojawienia się Juljana żuła w sobie gniew.

Gdy Juljan odszedł do hotelu z panią Kromiczową, Sabinka próbowała napróżno wybadać ojca, o czem toczyła się jego rozmowa. Ozwał się tylko:

— Któż zaręczy, czy on nie zmaluje znów w życiu jakiego potwornego szaleństwa...?

— Ja za niego ręczę — wyskoczyła hardo dziewczyna.

— Ty?

— Przysięgam, że on nigdy nie zrobi nic brzydkiego. Obawiałby się przecież, abym z tego powodu nie kochała go mniej.

Aby miłość jej miała kiedykolwiek wygasnąć całkowicie, było to w jej pojęciu niemożliwością.

Poczęli rozmawiać o czem innem, gdy znów ukazała się pani Maryla, wołając zdaleka:

— Sabinko, do mamy!

Przelękła się dziewczyna czegoś, zwłaszcza, że podświadomy strach był jedynem uczuciem, jakie w tym czasie budziła w niej matka.

Zastała ją i Juljana w gabinecie hotelowym, przeznaczonym do przyjmowania wizyt, a bogato kwiatami przyozdobionym, siedzących przy oknie, z którego było widać ocembrowane i w nikłą fontannę ujęte źródełko wody mineralnej, a dalej łazienki oraz zaczątek lasku, ciągnącego się na przestrzeni kilkudziesięciu morgów między morzem a gościńcem.

— Moja Sabinko... — poczęła miłym tonem hrabina. — Nie wierzę w romantyczną miłość. Jednakże nie upieram się przy swojem zdaniu; nie będę stawiać ci przeszkody do... tego, co poczytujesz za szczęście, o ile mnie przekonasz, że jestem w błędzie, o ile mi dasz

dowód, że ta miłość twoja ma zadatek trwałości... Mówiłam to panu Zawoi. Postanowiłam oddać ci przeznaczony dla ciebie majątek i na ten związek zezwolić, jeśli zobowiążesz się wyrzec się wszelkich z panem Zawoją stosunków do końca tego roku, jeśli nie będziesz się z nim widywać, ani korespondować, a uczucia twoje nie ulegną zmianie... Nie masz jeszcze dwudziestu lat. Zanim weźmiesz na siebie obowiązek żony, przykujesz swe życie do męża i zamkniesz się w pewnem kole spraw i ludzi, zalecałoby się bardzo, abyś poznała więcej świata i zaznała niezależności i swobody. I stan panieński ma niemałe powaby...

Przysiadłszy na taburecie, Sabinka słuchała matki z wylęknioną minką.

— A zatem po Nowym Roku przekażę ci Pomiarowice, które tak lubisz, wraz z zabytkami po mym dziadzie, oraz kapitał, tobie zapisany — akcentowała dyplomatka i ciągnęła z obleśnym półuśmiechem: — Nietrudno ci będzie przecież pozostać jeszcze kilka miesięcy córką. Z rodzicami nie będzie ci chyba źle... Chodzi o podstawy twego codziennego bytu... Skoro ty zgodzisz się na to, zgodzi się niewątpliwie pan Zawoja i wyjdziecie na tem oboje jak najlepiej, bo ze znacznym majątkiem, a ja będę o przyszłość twoją spokojna... Więc co, Sabinko?... Godzisz się, oczywiście. Daję ci dowód wielkiej miłości dla ciebie...

Zakłopotanie zamykało Sabince usta. Zgubiła się w lesie argumentów, względów, interesów i wynosiła z tego pewien niesmak, bo wyczuwała w adwokackiej mowie matki fałszywą nutę. Jedno było jasne, że nie chce żadnej zwłoki ślubu, a długi okres rozłąki z Julja-

nem byłby dla niej czemś nadwyraz okropnem. Ale nie śmiała tego wyznać. Spojrzała pytająco na Juljana, który wydał jej się zasępiony. Z tego wywnioskowała, że i on projektem jej matki nie jest wcale zachwycony, i ozwała się żywo:

— Ja zgodzę się na wszystko, co pan Juljan uzna za dobre.

— Ależ, moja Sabinko, pan Juljan życzy sobie właśnie, byś ty decydowała o tem — wpadła z ferworem hrabina.

— Pani hrabina posuwa się trochę za daleko w tem twierdzeniu — zauważył Juljan. — Pragnąłem tylko dowiedzieć się, jak panna Sabina ustosunkuje się do tej propozycji, lecz zachowuję dla siebie ostatnie słowo.

— Niech pan da mamie odpowiedź bez najmniejszego względu na mnie..

— Wydaje mi się — wpadła jeszcze hrabina — że pan poprostu nie może nie zgodzić się na to. Pomiarowice, posag Sabinki, to przecież coś warte... A od tego uzależniam swoją zgodę na ten związek.

— Mimo to wszystko — podniósł się donośny głos Juljana — ja tej propozycji nie przyjmuję...

— Jakto? Pan odrzuca cały posag Sabinki?

— Tak jest, odrzucam... Mówiąc krótko i węzłowato: kochamy się i pragniemy się połączyć, a więc nie zgodzimy się na nic, co w jakikolwiek sposób krępowałoby nas... Czy mylę się, panno Sabino?

— Nie, nie — odrzuciła emfatycznie dziewczyna.

— A to, co pani hrabina proponuje, odsuwałoby nasz ślub w rezultacie ad calendas graecas...

— Wcale nie — zaprzeczyła hrabina. — Po Nowym Roku odbyłby się ślub w Wielkowysku.

— Pozwolę sobie na pytanie: czy pani hrabina tylko epuzera poczytuje za dobry materjał na męża dla panny Sabiny?

— Nie rozumiem.

— Gdy wykazuję pani hrabinie czarno na białem, albo raczej biało na czarnem, że nie chodzi mi o nic, tylko o ukochaną istotę, jestem w jej pojęciu niegodny panny Sabiny. Godnym jej mogę stać się jedynie przez to, gdy... wyciągnę rękę po jej posag.

W pierwszej chwili hrabina zapomniała języka.

— Myślałam tylko o Sabince, której pragnę zapewnić dobrobyt.

— Jeśli pani hrabina pragnie zapewnić córce dobrobyt z epuzerem, to tem więcej chyba powinna zapewnić jej dobrobyt z człowiekiem bezinteresownym.

— Tak pan podkreśla swoją bezinteresowność, a ja wątpię o niej mimo wszelkie pozory. Nie uwzględnia pan wcale dobra Sabinki, odrzucając moją propozycję. A odrzuca pan ją bezwzględnie dlatego, że lęka się, by Sabinka o panu nie zapomniała przez ten szereg miesięcy. Sabinka nawet bez posagu, lecz ze znacznemi sperandami, przedstawia jeszcze niemałą wartość pieniężną....

Juljan uśmiechnął się ironicznie.

— W istocie pani hrabina w sposób nadzwyczajnie subtelny przeprowadziła dowód, że jestem spekulantem. Ale dowód ten upada jednak całkiem, bo panna ze sperandami nie może dla epuzera przedstawiać żadnej wartości, jeśli może on ożenić się z damą bogat-

szą od króla angielskiego... Jeśli pani hrabina kwestjonuje szczerość mych uczuć, przysługuje mi prawo kwestjonowania szczerości całej propozycji pani hrabiny...

— Pan mnie podejrzewa?...

— Pani hrabina chce zyskać na czasie... Chce przez ten czas chwycić się wszelkich środków, by wyrugować mnie z serca panny Sabiny, by wznieść niebotyczne między nami zapory i postawić na swojem, kosztem córki... Wierzę w pannę Sabinę, jak w słońce. Wiem, że nic nas nie rozdzieli, że pani hrabina nie dopięłaby celu, lecz ile kosztowałby ten eksperyment pannę Sabinę...? Odrzucając ten projekt pani hrabiny, uwzględniam dobro panny Sabiny... Jeżeli rzeczywiście chodzi pani hrabinie o to, by zyskać przekonanie, że z naszej „romantycznej" miłości może wykwitnąć dla panny Sabiny szczęście, będziemy starali się oboje przekonać ją o tem nie przez okrutną katorgę kilkomiesięcznej rozłąki, lecz... całem naszem pożyciem.

Z pięknych oczu hrabiny wyjrzała furja.

— Sabinko — zwróciła się ostro do córki. — Czy ty zgodziłabyś się wziąć ślub wbrew woli mojej i ojca? Bez naszego błogosławieństwa?

— Proszę mamy... postąpię tak, jak postanowi pan Juljan... On stał się mi najbliższym z ludzi i w duszy ślubowałam mu już jakby przed ołtarzem...

Hrabina powstała, odetchnęła ciężko i wyrzekła:

— Straciłam córkę...

— Ależ mamo droga...

— Nie mów mi nic. Powiedziałaś dosyć... Zaprawdę inne pragnęłam zgotować ci szczęście...

Zwróciła się z marmurowem czołem do Juljana, który zbliżył się do drzwi.

— Tego pan nie zrozumie, że nie pragnę, aby pan rezydował w pałacu, w którym przebywa duch mego dziada...

— Rozumiem to już doskonale — odrzucił Juljan z naciskiem i chmurą powagi na czole. A potem słowa jego kapały niby krople płynnego ołowiu:

— Rozumiem, że pani hrabina nie dopuściłaby do tego w żadnym razie, ani za żadną cenę... Nie dopuściłaby, aby taki Zawoja, lubo chyba nie bolszewik, miał w tych murach nawiązywać nić tradycji z jej dostojnym, a niestety ginącym rodem... i aby miał na jego zgliszczach słać gniazdo nowego rodu, rodu Zawojów...

Gdy drzwi zamknęły się za nim, Sabinka blada, cicha, spozierała na matkę, która, odwrócona od niej, stała w oknie bez ruchu, w słup zamieniona.

— Mamo!... Mamo!... — szept błagalny, modlitewny przeszył ciszę — bez odzewu.

Dziewczyna westchnęła i szybko wyszła za Juljanem.

XXX.

O tej porze hrabia przechadzał się powoli, przystawał i znów posuwał na ganku hotelowym, czekając na Juljana. Lecz tak był zamyślony, że w pierwszej chwili nie spostrzegł wychodzącej z westybulu pary. I oni nie zauważyli go wcale. Zbliżeni do siebie, pogrążyli się w poufną rozmowę. Juljan coś jej przekładał, ona

słuchała pilnie i tak kroczyli wokoło zajazdu ku stojącemu na uboczu samochodowi.

Zanim Juljan wsiadł w niego, przypomniał sobie, że nie pożegnał się z hrabią Erazmem. Spostrzegłszy go, siedzącego na ganku, pośpieszył do niego.

— Nie wiem, czy zobaczę pana hrabiego tak prędko.

— Zobaczymy się przecież pojutrze na wyścigach w Hyères.

— Ach, tak... Pojutrze wyścigi.

— Pan nie opuszcza jeszcze Rywjery?

— Jeszcze nie... Bądź jak bądź, proszę mi wierzyć, że chwile spędzone z panem hrabią zaliczam do najprzyjemniejszych na tym brzegu. Gdyby nawet hrabia nie był ojcem panny Sabiny, nie mógłbym o nim zapomnieć.

— Bardzo pięknie... — uśmiechnął się hrabia filuternie. — Ale ja jednak nie mogę dla was nic uczynić.

Juljan odpowiedział uśmiechem.

— Jedno może hrabia jednak zrobić dla swej córki...

— Co takiego?

— Ot, kochać mnie tak, jak onaby tego pragnęła...

Wyciągnął rękę, którą hrabia uścisnął mocno, serdecznie... A przytem zajrzeli sobie w oczy głęboko i wymownie.

Ów Zawoja była to nadzwyczajna bestja, zdobywcza, nieprzeparta a fascynująca. Gdyby Sabinka nie była na taką jego miłość odpowiedziała miłością, byłaby zaiste najgłupszą gęsią wśród niewiast. Składali się oni na melodyjny, zachwycający, podniosły akord.

Gdy Juljan, odjeżdżając, żegnał go spojrzeniem i kapeluszem, hrabia przesłał mu pozdrowienie gestem rę-

ki. A potem, medytując, mówił sobie, że wprawdzie będzie mógł uczynić dla nich niejedno, lecz nie wykrzesze dla nich takich Pomiarowic.

Udał się do żony.

Gdy państwo Moreccy i pani Kromiczowa zeszli na obiad w wieczorowych strojach, nie było przy stole ani Sabinki, ani Kazia. Po długiej chwili zjawiła się panna w bladozielonej tualecie balowej z perłami na szyi, ze względu na dancing, jaki miał odbyć się tego wieczora. A Kazio trochę rozczerwieniony wpadł w dziesięć minut później i, na zapytanie ojca, czemu się spóźnia, tłumaczył się, iż, myjąc swój rower nad morzem, nie dosłyszał gongu.

Obiad minął w senliwym nastroju. Hrabia i Sabinka nie odzywali się prawie wcale. Gdy raz ojciec zagadnął ją o coś, zdało się, jakby spadła z księżyca. Kazio referował matce, gdzie był i co widział, poczem pani Maryla bawiła hrabinę opowiadaniami o losach, kolejach i poczynaniach różnych znajomych i nieznajomych w Nicei. Chociaż zwykle takie historje o bliźnich, skandaliki i ploteczki zajmowały hrabinę żywo, tego wieczora nie podniecała narratorskich wylewów kuzynki. A na Sabinkę nie podniosła wzroku ani razu.

Poza obozowiskiem stołów i stolików, na których błyszczały niby fantastyczne kwiaty świetlne, różnobarwnemi, przeważnie ponsowemi kapturkami przykryte lampki elektryczne, mieścił się pod szklaną kopułą werandy doskonały kwartet, który po dłuższej poobiedniej pauzie począł popisywać się wykwintną muzyką kameralną, aby następnie zaintonować tańce.

Dla Sabinki orkiestra ta stanowiła największy po-

wab San Salvadour, więc siadła u wylotu werandy na kanapie z panią Marylą i panną Ward. Podczas, gdy one rozmawiały żywo z kilku panami, stojącymi przed niemi, zanurzyła się w świat tonów, głucha na rozmowę i ślepa na spojrzenia, jakiemi śliczną, w seledynowe jedwabie obleczoną blondynę muskali mężczyźni.

Ocknęła się jednak, gdy ukazał się we drzwiach Kazio, rozglądający się po sali. Zerwała się i pośpieszyła do niego.

— Wszystko dobrze... Nikt nie zauważył niczego... Szofer był na oznaczonem miejscu. Skinąłem na niego z okna, a potem, gdy wynosił walizeczkę, wyszedłem z nim na dwór przez drzwi dla służby. Byłabyś mogła wszystkie swoje stroje pozabierać.

— Dziękuję ci, dziękuję za wszystko.

— Licz na mnie, Sabinko. Zawsze we wszystkiem będę się starał ci pomóc.

— Ojciec nadchodzi. Patrzy na nas. Chodźmy do muzyki.

Niedługo potem Sabinka wychodziła z sali z panną Ward, gdy natchnęła się na ojca.

— Czy nie masz ochoty dzisiaj potańczyć?

— Owszem... — odrzuciła zmieszana. — Nie rozpoczynają jednak jeszcze tańców, więc wychodzę nad morze z Miss Ward na kwadrans.

— Weź na siebie najcieplejsze okrycie, bo wieczór chłodny.

Miss Ward gdzieś się zaprzepaściła, ale Sabinka nie szukała jej. Pobiegła po schodach na piętro i wpadła do pokoju, który zajmowała z panią Marylą. Wrzuciła na siebie sweter, na to długi ciemny płaszcz, włożyła

na głowę kapturek i padła na kolana przed wiszącym nad łóżkiem obrazkiem Matki Boskiej Częstochowskiej.

Z twarzą w dłoniach ukrytą streściła się w bezsłownym, kornym nastroju służebnicy niebiańskiej. Rozesłała przed Bogiem swe serce, niby przejrzyste zwierciadło. I modliła się nie zwykłym różańcem słów pacierza, lecz napięciem duszy na nutę archanielską, lecz całą duszą, wezbraną wysoko dźwiękami hymnu błagalnego, a zarazem dziękczynnego. „Panie, patrz w me serce, i sądź. Sądź i przebacz... Przebacz i świeć mi w życiu niegasnącą gwiazdą... I chwała Twa niechaj będzie wiekuista, bo jesteś prażródłem miłości... A wszelka miłość jest niebem na ziemi...“

Gdy tak klęczała, przez rozwarte okna napływała rozlewna muzyka włoska i, skoro dziewczyna podniosła się na nogi, oplotła ją bluszczowo, otuliła w ciepłe zawoje erotyki tak, iż zatrzymała się, wsparła głowę o framugę okna i rozkołysała się na błogiej fali tonów. Muzyka, z natury swej stokroć pełniejszym i skończeńszym będąca wyrazem miłości od wszelkich słów języka ludzkiego, śpiewała jej to, co ona sama miała w sercu, i za nią spowiadała się niebu, ozłoconemu mirjadami gwiazd. Niby gorący miraż księżycowy, na licach dziewczyny zawisł najsłodszy, cudowny blask szczęścia. Zdało się jej, że, jak wówczas podczas balu, słyszy wyraźnie dźwięk jego głosu, rozprzęgający w niej włókna kobiecego serca, rozmarzający i zabierający ją na własność — ów niezapomniany, a tomy poezji zamykający dźwięk: miłość... miłość...

Ten głos syreni wołał ją, budził dreszcze przeczuwanych radości. Zabrała jeszcze w duszę kilka tak-

tów ballady z pod włoskiego nieba i wybiegła z pokoju.

Noc zalała lasek morzem mroków. Zanurzyła się w nie dziewczyna i biegła szybko znaną ścieżką w stronę szosy, gdy raptem z ciżby drzew padło słowo, które gromem jej się wydało:

— Sabinko!

— Ojciec! Boże, wszystko stracone!

Dziewczyna pochyliła się na najbliższe drzewo, jakby spiorunowana.

Wysoka sylwetka wyrosła przed nią i... objęły ją ojcowskie ramiona. Zgoła niesamowity ojciec wrócił ją do życia, podniósł i rozpromienił ją nieoczekiwanym całkiem szeptem:

— Idź, Sabinko... Idź do niego.

Czyż wszystko było snem na świecie?... Przywarła się do dobrej piersi ojcowskiej, jak dziecię, objęła go za szyję i nie umiała nic więcej wyrzec nad drżące:

— Ojcze!... Mój ojcze!

Lecz w tem wypowiedziała wszystko. On pocałował ją w czoło, raz jeszcze przycisnął do siebie i powtórzył:

— Idź, dziecko moje... Bóg z tobą!

Jeszcze zadrżało jej serce na sercu ojca, potem szła dalej. Szła coraz szybciej i szybciej, płynęła w nowe życie.

Hrabia Erazm wlókł się za nią wśród cieniów. Przystanął pod gałęziami platanów i spozierał na drogę, na której spoczywała szeroka wstęga latarnianego światła. Opodal tej złotej plamy czernił się wóz,

a przy nim wysoki cień mężczyzny, który ubierał dziewczynę w długą, futrzaną dachę.

Znikli w głębi pojazdu, znikł pojazd, znikło całe widziadło. Tylko nisko po ziemi, cicho szedł drżący turkot i grał w uszach ojca jeszcze wtedy, gdy zamarł hen wdali.

Wspomnienie, niezapomniane wspomnienie przystąpiło do niego i towarzyszyło mu w las, gdzie zapatrzył się w noc, nad morzem wiszącą, rozgwiażdżoną, i myślał, jak to dziwne, że w życiu jego córki powtarza się to, co on inscenizował kilkanaście lat temu.

Wreszcie zapalił papierosa, z serdecznym a złośliwym uśmiechem wyobrażając sobie, z jaką miną przyjmie ucieczkę Sabinki jego żona. A on zgryźliwym jej lamentom wtórzyć będzie na basetli...

Tymczasem gorące jego życzenia leciały za kochankami i, wracając powoli do oświetlonego gmachu, nucił sobie w duszy starą, przez Mickiewicza ulubioną, a nieraz w izbie Jaworówki śpiewaną romancę:

Już miesiąc zeszedł,
Psy się uśpiły,
A ktoś tam klaszcze za borem...
Pewnie mię czeka mój Filon miły
Pod umówionym jaworem...".

KONIEC